







SFINX.

POWIEŚĆ

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Wydanie drugie przejrzone i poprawione.

Tom pierwszy.



POZNAŃ

NAKŁADEM I CZCIONKAMI LUDWIKA MERZBACHA.

1874.

Wzrost - 353



SFINX.

TOM PIERWSZY.

Na ludziach co świat jeszcze kochają, co młodzi sercem tak dalece, że wszystko żywe i wesołe kołacze im do niego i głowę zawraca; — klasztor ze swemi cichemi mury, ciemnymi, okopciałemi sklepieniami i przerywaném tylko powolnemi kroki człowieka lub zegarni milczeniem, robi ściskające, smutne wrażenie, takie właśnie jakie na ich czole czyni chłód zimnego sklepu. Radzi są co najprędzej wyniść z niego na świeże powietrze, do ruchu, do tłumy i wrzawy, jakby się obawiali aby kamienna trumna umarłych dla świata nie zamknęła się nad niemi na zawsze, nie przytrzymała ich zimnym swym uściskiem. Lecz dla tych, co ciałem i myślą przewędrowali przez krainy wesela i młodości, ten obraz doskonałego spokoju, pokoju jakiego świat dać nie może, tyle ma ponęty i uroku!

Niech co chcą pisać ludzie dumni i nową jakąś nauką pijani, oszaleri, nie widząc prawdy za złocistemi blaskami nowości, niech wyrzekają przeciw instytucyi, której uprzedzenie pojąć im dziś nie pozwala lub przedstawia fałszywie ze stanowiska na jakim stoją; — ileżto przecie zawiedzionych i utrapionych przez świat, westchnie ku niedostającej im ciszy klasztornej! Te westchnienia daleko silniej mówią nad wszelkie rozmnowania przeciwne. Samo pozornie najcięższe dla człowieka wyrzeczenie się własnej woli, jakże się staje pożądaniem, gdy ilekroć jęj użył, zawsze go wiodła ku zgubie, gdy znużony padał, nie wiedząc co począć z sobą. Naówczas z rozkoszą wyrzekł się kierunku życia i zdał je w ręce starszego, jako lekarza duszy; z rozkoszą oddzielił się od świata zawodów, walk, czczego już dlań na zawsze.

W wiekach wiary wszyscy dzisiaj kończący samobójstwem moralném lub cielesném, których boleść spadła lub zabija, szli w zacisze klasztorne, rozdmuchać w sobie ostatnią, zawsze na dnie tlejącą iskierkę religijnego uczucia, aby się ogrzać przy świętém, od niej roznieconém ognisku. Dawniej klasztor istotnie był portem, gdzie nie zawiewały wiatry ni burze świata, gdzie słodka dla skołatanych, jednostajna cisza, długie lata w chwilę niespostrzeżoną zmieniała. Tak go pojmowali założyciele zakonów wielu, takim go czynić, były powinny istotne potrzeby natury ludzkiej; że mogły się klasztory stać schronieniem próżniactwa, nie przeciw ich użyteczności, jako przytułku skołatanych życiem — nie mówi. Wszystko na świecie ludzie zepsuć umieją, — i wszystkiego nadużyć.

Nie wiem czemu, ja także lubię ciszę klasztorną i nie minę, gdy mogę, żadnego z tych starych mieszkań pustelniczych, nie zaczerpnąwszy w nich spokoju, jak się czerpie u cichego źródła chłodną i orzeźwiającą wodę dla ust spieczonych podróżą. Dotąd jeszcze stare nasze klasztory tchną dawnym spokojem.

Lat temu kilka przejeżdżałem przez małe w naszej staréj, pocziwéj Litwie miasteczko (nazwisko pozwolicie mi zataić, jak ja pozwalam wam je zgadywać), — miasteczko u którego przedmieścia, w pewném od wrzawy mieszczańskiej i rynkowej oddaleniu, wznoszą się białe i czerwone mury kapucyńskiego klasztoru i kościoła.

Mieścina ta zewsząd wzgórzystym i pięknym otoczona krajem, który zamyka prawie dokoła widok sinych, ciemnych lasów sosnowych i jodłowych, wznosi się na dolinie opasanej gajami dotąd niewytrzebionemi, brzoza podszytych jałowcem.

Gaje tego rodzaju widzieć można tylko na Litwie: składają je smukłe, białe brzozy, przez których przerzedzone szeregi sinieje niebo dalekie; a ciemne i pokrzywione jałowce rozścielają się u nóg, jakby broniąc przystępu. Rzadko inne drzewo zabieży do brzeźniaku, a wzrosłszy w nim, stoi z brzegu

i zdaje się smutne, osamotnione, jak wśród obcych, radeby uciec a nie może.

Mała rzeczulka, z jednej strony wijąca się po ogromnej zielonej łące tatarakami obrosłej, z drugiej tworząca staw czysty, osadzony wierzbami staremi, podchodzi prawie pod same mieszczan ogrody. Za rzeczką zielone uprawne wzgórki, gdzieś tam urozmaicają stare drzewa z wykarczowanych pozostałe lasów i grusze po miedzach stojące, sosny na których barć oparta ochroniła je od siekiery. W dolinach pomiędzy pagórkami, widać wsie szare i białe, ciemnych kościołów kopuły i dzwonnice staruszki. Z drugiej strony miasteczka ogromny klasztor kapucyński, postawiony w XVII wieku, wspinałemi murami swemi i drewnianym krzyżem kościoła, na ciemnym tle jodeł się maluje.

W tym wieku powrotu do wiary katolickiej tylu rodzin polskich, od niej odpadłych wprzód, powrotu spowodowanego zarówno gorliwością Zygmunta III, wymową księdza Skargi i reakcją konieczną przeciw niestrawionym a zapalczywie przyjętym, jak pożądana nowostka, zasadom protestantkim; — wzniosły się u nas kościoły i klasztory w większej może liczbie niż wprzód, gdy wiara jedna, niezachwiana trwała jeszcze.

Nawróceni na wiarę ojców i dziadów synowie i wnuki, spieszyli ze wspinałemi budowy i bogatemi dary, dowodząc swęj gorliwości ku katolicyzmowi i szczerości nawrócenia. Mnożyły się wspinałe klasztory, a szwedzki marmur, którego pobożny użytek wskazał, sprowadzając go do wileńskich kościołów, Zygmunt III, zdobił nietylko ołtarze, ale zewnętrzne facyaty kościołów, na których wyginanych gzymsach wznosiły się kamienne kwiatów kosze i kamienne aniołowie ze złoceniem rozpiętymi skrzydły. Świeące krzyże wieńczące miedziane kopuły, strzelały nagle z głębin lasów i pustyń. Posypywano kalwaryjskie drogi ziemią umyślnie z Jeruzalem przywiezioną; chwymano święte obrazy w Rzymie (jak Sapielha kodeński), kradziono relikwie męczenników świętych, zakupy-

wano w Augsburgu bogate trumny, srebrne sarkofagi, przepyszne monstracye od złota i drogich kamieni, zamawiano najdroższe obrazy u najslawniejszych malarzy. Domy Boże jaśniały przepychem, który im ze skruczą i pokutą ofiarowała gorliwa pobożność nowo nawróconych. Wielkie sioła i włości zapisywano sługom Bożym aby się modlili o przebaczenie winy ojców i późne opamiętanie obłąkanych dzieci.

W tynto czasie wzniósł się klasztor i kościół Kapucynów, na samém wybrzeżu lasu jodeł i sosen, opodal na ówczas od maléj miejsciny, którą składały kilkadziesiąt mizerynych domostw nad brzegiem błotnistéj rzeczki Bystrzyczki.

Później dopiero Bóg płacąc dzieciom za ojca, zasilił miasteczko handlem. Urosło one niespodziewanie i jakby podziękować chciało klasztorowi, do murów jego pokornemi przysunęło się lepianki. Do nagłego i niespodziewanego wzrostu téj, dosyć od innych oddalónéj i zasuniónéj w lasy osady, przyczyniły się niemało: sława odpustów kościelnych i obrazu Ś. Antoniego, który cudami począł naokoło sływać. Corocznie w czerwcu, pobożne tłumy pielgrzymów, odbywszy nowennę, zalewały miasteczko, cały prawie tydzień w niém trwając. Stary parafialny modrzewiowy kościółeczek, założony tu w XIV wieku, po przejściu parafii i cura animarum do zakonników, został opuszczony. Otoczyły go dookoła nowe mogilki; poprawiony, podparty, później przebudowany, stał się Cementarzową kapliczką, gdzie w dzień Ś. Józefa odprawiało się uroczyste nabożeństwo, bo to był dawny patron parafii.

Nowe mury z całém staraniem i przepychem, na jakie tylko dawniej budując się zdobywano, wzniosły się na obszer-nym placu, nadanym dziedzictwem OO. Kapucynom. Nie założano ziemi, cegły i pracy. Ogród zarwał aż jodeł od lasu i szeroko się rozłożył po za klasztorem; cegła z gnojónéj długo wypalana gliny, dźwięcząca, czerwona, w krocach tysięcy wzniosła się i wyciągnęła ogromnemi mury opasującemi nie tylko mieszkanié klasztorne, kościół, podwórzec, ale wielki

i prawie wytworny ogród kapucyński, gdzie na kwiaty, drzewa, szpalery i kwatery, sadzawkę, kapliczkę, mostki i niewinne starców rozrywki, było dość miejsca. Tam widziałeś dawniej owe cyfry z bukszanu, imię Jezusa i Maryi zielenią na piasku wypisujące, cudne kompasy na ziemi wysadzone i tysiączne pobożne wynalazki tego rodzaju.

Fundator miał widać na myśli uprzyjemnić życie samotnikom, o ile tylko było w jego mocy. Ciemne dla modlitwy i dumań szpalery lipowe, altany, w których stały kamienne ławy, stoły i świętych posągi; osadzona olchami na których bociany klekotały sadzawka; sad bogaty w wyborne owoce, bawiły oko i dozwalały cieszyć się zielenią, powietrzem, szczebiotaniem ptastwa, nie patrząc na obcych ludzi i nie będąc dla nich widowiskiem. Tu mógł zachwycony lub spłakany zakonnik, upaść wśród przechadzki na natchnioną modlitwę, nie wstrzymując się myślą, że ludzie obcy, ludzie świata, wezmą uczucie jego prawdziwe, za obłudny rachunek. W owych czasach, gdy taka jeszcze mnogość protestantów kraj zalewała, zakonnik często nawet modlitwę ukrywać musiał przed światem; bo i ona mogła być powodem zgorszenia i grzechu

W pośrodku ogrodu pagórek wyniosły, na którym przeczystą zbudowano szopkę opartą na dębowych z kory nieodartych słupkach, dozwalał spojrzeć ztąd na cały otaczający krajobraz, który oko obejmowało panując nad nim. Ztąd miasteczko, rzeczułka niebieska lub złocista wedle stanu nieba, zielone łąki i siola szarzące i wzgórza i ciemne lasy i żółte pola i ruch gościńca osłoniętego obłoczkiem kurzawy, widać było jak na dłoni. Tu nieraz najstarszy z zakonników z siwą brodą, o taju przychodził pogrzeać się na słońcu, gdy cały ogród murem i szpalerami zaciemiony, już w chłodzie wieczoru lub jeszcze w rosie poranniej spoczywał. Tu patrząc na mogiłki czarnemi i białemi krzyżykami, płowemi świeżemi grobanii zasiane, modlił się o śmierć mienagłą, przyto-

mną, na którąby się, jak podróżny na ucztę idący, mógł przygotować zawczasu i ubrać duszę w najlepsze szaty.

Blżej klasztoru, zwrócone ku południowej stronie, zakryte od północy, sławne kapucyńskie gwoździki pełne, i białe lilie chodowane rękami starców, zakwitały na pstrych grzędkach, gdzie jeszcze nie było żadnego z tych nowo poznanych i polubionych u nas kwiatów obcych ziem, ale stare i z klimatem naszym już oswojone narcyzy, irysy, orliki i t. p.

Wpółśród kwiecica i liścia rozsypane znaki pobożności przypominały wszędzie modlitwę. Wysoki mur opasujący arkadami dokoła cały ogród, w kilku miejscach zdobiły kapliczki z kalwaryami i posąжки świętych. Wzniosły krzyż drewniany pomalowany brunatno, dźwigał ramiona litości nad gałęzie drzew zielone. Przy nim rósł jeden z tych rzadkich, pięknych jałowców, przybierających kształt drzewa i podobnych do jodły.

Prócz zakonników i ptaszków, rzadko ciekawy przychoździeń zawitał do cichego ogrodu. Tu przecież niejedno, długie nawet życie między kościołem, celą a grzędką kwieciastą spłynęło; nie jeden siwo-brody starzec podlewał i oczyszczał posadzone wążlą latoroślą drzewko, na którego liście poglądał niespokojnie sądząc, że los wychowańca przepowie mu zgon bliski. Kwiaty kapucyńskie nie tylko zabawą dla nich samych, ale często wdzięczną dla sąsiadów bywały ofiarą, zwłaszcza białe, wonne lilie i przepyszne gwoździki szkarłatne.

Kościół podobny wszystkim kapucyńskim był bardzo obszerny, trochę przyciemniony i ozdobny snycerskimi na drzewie robotami, które tu kruszcowe zastępowały. Wielki ołtarz ławki i kilka mniejszych ołtarzy bocznych z dębu wyciosane zastanawiały delikatnością roboty i pięknym, choć w smaku XVII wieku rysunkiem. Posągi kilku świętych także były z drzewa. W pośrodku nawy pod sklepieniem, stała jakby w powietrzu zawieszona kalwarya, Chrystus konający na krzyżu i Jan z matką Bożą, oczyma ławami wpatrujący się w Zbawiciela. Za ołtarzem głównym, całkowicie w drewnianą sny-

cerzyczynę strojnym, zamknięty chór Kapucynów zajmował obszerną salę.

Nieraz z niej dochodzące głosy pieśni, pruszały przechodnia co ukląkł na chwilę pomodlić się w kościele. Na sklepieniach kilka obrazów z życia matki Bożej, wprawną ręką Dankertsa malowanych, zachwycaly kolorytem i wielką rysunku śmiałością. W pośrodku na kopule było wniebowzięcie wyrażające chwałę Maryi i chwałę kościoła, którego ona wedle wielu tłumaczów była figurą. Ciemny kościół, od ozdób drewnianych przyciemniony bardziej jeszcze, czysty i utrzymany starannie przez rok cały, w chwale, blasku i wdzięku ukazywał się, gdy jedno z wielkich świąt obchodzonych tu z przepychem na jaki ubodzy żebracy Chrystusowi zebrać się mogli — nadeszło. Na Ś. Antoni, Ś. Franciszek, Porcyunkule, Zielone Świąta zwłaszcza i Boże Ciało wszystko tu okrywało się zielenią i kwiatami. Od posadzki kamienną, potrząśnioną tatarakiem i jedlinką siekaną do najukrytszych ołtarzy, wszędzie błyszczały kwiaty i szemrały liście. Pilastry nawet ostawiano jedliną, a w wielkim ołtarzu potężne wazon, bukiety rozkwitłe, błyszczały razem z mnóstwem świec jarzących. Ta zieloność i kwiecistość świętego miejsca, nadawały mu nowy i nieopisany wdźwięk. Z pośrodku gałęzi gdzieniegdzie na murze wyglądał stary wyszczerbiony grobowiec, z herby rytemi na kamieniu, znikłymi postaciami rycerzy nieuleknionych i niewiast pobożnych i mężnych.

Na posadzce kamienną, niedaleko wnijsia do podziemnych sklepień grobowych, oznaczonego dwoma żelaznemi kołkami, leżało wieko marmurowe założyciela, skromne i umyślnie z pokorą rzucone pod nogi pobożnych. Tu żadnego znaku, żadnego herbu, coby wysokie urodzenie i piastowane przypominały godności — kilka tylko wierszy proszących o modlitwę za grzesznika.

Znacznie później na facyacie kościoła położono czarny marmur z długim napisem pochwalnym, na który wysiliła się wdzięczność zakonników. Tam żony, dzieci, starostwa, komi-

sye graniczne i poselstwa na sejmy założyciela, obszernie i skrupulatnie wyliczone zostały, cnoty uwielbione wymownie. Wśród innych grobowców, uderzał manzol synowski, hetmańskiego dziecięcia, co dokończył ojcowską ręką poczęte mury; manzol wspinały, przedstawiający rycerza w całej zbroi, wspartego na zdjętym hełmie jakby chciał pot otrzeć z uznojonego czoła. Symboliczny wieniec owoców i kwiatów, ubierający ramy grobowca, oznaczał przynioły towarzyskie i dobre uczynki zmarłego.

Kamienna przedziwnéj roboty kropielnica, wsparta na czterech aniołkach, atrybuta czterech cnót unoszących, zdobiła wnijście kościelne. Wspinały organ, błyszczące swe flety wznoszący jak pęki strzał ku górnemu sklepieniu, zajmował cały chór nad wnijściem. Drewniane, takiżé roboty jak posągi wielkiego ołtarza anioły z trąbami stały na wierzchu jego. Organ ten za szczególną dyspensą dla odpustów innogi lud przywabiających, mieli sobie dozwolony Kapucyni.

Takim był kościół zakonników. Ale trzeba go było widzieć w dniu uroczystości. pełnym ludu, w świetle mnóstwa świec jarzących, w obłokach dymu kadzideł, w kwiatach i zieloności, aby całą świetność i piękność jego ocenić. Wygodny i obszerny klasztor przytykał do niego, długie swe ramiona podparte szkarpani i zakończone półokrągłemi wieżyczki wyciągając od kościoła na prawo i lewo. Tu z równą troskliwością, myślano o wygodném pomieszczeniu ojców i upięknieniu niewinném pobytu ich w tym porcie schronienia doczesnego.

Nieskończone korytarze, sklepione i wygodne schody, łączyły z sobą piętra i cele. Na ścianach tych długich linii murów, ten sam Dankerts de Ruy, żywoty Ś. Franciszka, Antoniego i wiele z historyi świętój w wielkich arkadach cele oddzielających wystawił. Błyszczały jasnymi kolorami te nieśmiertelne dzieje religijnego ducha, aby na każdym kroku miał je przytomnemi oczom duszy i ciała zakonnik. Stary gdański zegar, poważnym krokiem od lat przeszło dwóchset

idący, przerywał sam jeden wielką ciszę korytarzy. Drzwi celi i izb wychodzące na nie, okładane były dębowymi odzwianiami nie wytwornej roboty, ale przedziwnych linii, pełnych prostoty. W jednej arkadzie paliła się lampa niezgasała dniami i nocą, przed ogromnym krucyfiksem, u którego zwykle na krótką modlitwę przyklękali przechodzący zakonnicy. Dalej piękny założyciela portret, ale bez buławy, zbroi i błyskotek, w stroju pielgrzyma, przypominał go modlitwom przechodzących. Jeszcze dalej twarze synów jego, dobroczyńców spadkowych klasztoru i znakomitszych zakonu generałów i świętych, pozawieszane były naprzeciw okien, między drzwiami celi. Obrazy zakonników do ostatniej, najbliższej nas należały epoki; dawniej bowiem nazwiska się zapierając, przez pokorę też nie dozwolali rysów znikomego ciała podawać potomości.

Zwłoki szły do wspólnego grobu, pamięć w zapomnienie pokory pełne, świętym potrzeba było zostać, aby żywot na ziemi przedłużyć.

Na tych ogromnych korytarzach, po których długo z przyjemnością przechadzać się było można, cisza uroczysta panowała nieprzerwanie prawie. Odmykające się ciężko drzwi celi, kroki uzbrojonych trepkami nóg zakonników, świergot ptasząt a zwłaszcza jaskółek klejących gniazdko pod dachami, stąpanie powolne zegaru, słychać było po całym gmachu. Na korytarze wydłodziły drzwi wielkich sal refektarza, biblioteki i innych. Ztąd także na pierwszém piętrze było wyjście na chór.

Refektarz wedle zwyczaju ogrzany piecem niezmierniej wielkości z niebieskich kafli zbudowany, w którym mało było na raz całą drzew furę spalić, znajdował się jak zawsze na dole. Snit jego z ruchomych desek złożony, przepuszczał ciepło do nieopalanых cel zakonników.

Wszystko tu obrachowano na ogromną skalę; a że ilość choć szczupłych cel była bardzo wielka, refektarz więc rozciągał się niemal przez całe jedno skrzydło klasztorne, wsparty

będąc tylko na murowanych słupach, podtrzymujących belki misternie wyrabiane, zczerniałe od czasu i ciepła. Całą szczytną ścianę poprzeczną zajmował i tu jeszcze krucyfiks; drugą obraz Ś. Antoniego. Na murach były zakopcone freski i wypisane zdania z pisma świętego. Dokoła otaczały go dębowe ławy i także stoły na skrzyżowanych w X. sparte nogach, zastawione kufami glinianymi, polewanymi misami i wytwornej czystości naczyniem. Drewniane bukszpanowe łyżki leżały na swoich miejscach, wysłużwszy już kilka pokoleń i powoli ustępując miejsca nowszemu, gorszemu, lipowemu. Od strony okien wzniesiona trybuna dębowa dla lektora, który wedle zwyczaju zakonnego czytywał w czasie jedzenia, odznaczała się piękną, ale niewytworną robotą.

Okna refektarza wychodziły na ogród. Przez nie widać było kwatery kwiatowe osadzone bukszpanem i zapach lilii zalatywał przez kraty, misterną robotą ślusarską wykute, w pośrodku których wieniec obejmujący imię Marya wyrobił pobożny rzemieślnik.

Oprócz opuszczonej sali obrad i wyborów na piętrze znajdującej się, gdzie widzieć było można, nad ławami, wiele ciekawych portretów rodziny założyciela z twarzami widocznie innego świata, innej epoki — była tu jeszcze wielka biblioteka.

Sklepiąca ta sala, w górze obwieszona żywych kolorów freskiem wyobrażającym czterech Doktorów kościoła z dodatkiem Ś. Franciszka przysłuchującego się ich dyspacji, — ostawiona była szafami dębowymi roboty jednej ręki co i ołtarze kościelne. Ale tu snycerz widocznie się wysilił. Wieńce kwiatów, owoców, emblematy pobożne, stroiły każdą szafę wierzchołek. Na stole w pośrodku stojącym spartym na czterech delfinach, stał śliczny kościany krucyfiks staroświecki, przypominający aby nauce przewodniczyła wiara.

Biblioteka początkowa, ofiarowana przez hetmana, pomnożona darami synów jego i wnuków, obfitowała w dzieła ciekawe. Nawrócony niedawno założyciel, miasto spalić fo-

lianty różnowierców, dał je z innemi zakonnikom, aby co na zgubę duszy służyło, w innych ręku, na ratunek obrócić się się mogło. W zamkniętych szafach, w dole zbrojnych kratą trzymano tych niebezpiecznych więźniów, których grzbiety tylko pargaminowe poglądały złocistemi litery z zamknięcia. Klucz prohibitorum był u O. gwardyana, który wedle potrzeby udzielał starszym Bezy, Melanchtona, Oekolampada, Kalwina, Lutra, Serweta i mnóstwa broszur XVI wieku tu złożonych. Na górnych pułkach kolekcya Bollandistów, Bullarya, wielkie biblioteki i encyklopedye teologiczne, przepyszne edycye ojców kościoła, biblie polyglotty, komentarze, słowniki i zbiory podróży zalegały, ledwie się ciasno inogąc pomieścić. Tu kryły się w oddziale manuscriptorum, ciekawe historia domus, konnotacye, compendia privilegiorum przez pobożnych braci spisywane; tu nie jedna nota rzucona na białym brzegu foliantu, zdradzała umysł niepospolity lub nieznaną światu wielką walkę odbytą z szatanem wątpliwości, w zaciszy klasztornej.

Niestety! im bliżej nas, tém trudniej było o noty i rękopisma, bo duch zakonny nikł i z serc wygasał. Dawniej droga biblioteka, teraz zasuwawa się pyłem, a zamek jój potężny jeden już tylko braciszek i zakrystyan umieli otwierać. Z okien biblioteki widać było podwórzec klasztorny, na którego zielonój murawie, stały dwa posągi: Matki Bożej i Ś. Antoniego z dziecięcim Jezus na ręku, z lilią w dłoni; widać było gościniec i miasteczka część, łąki, rzekę, dalekie wsie i lasy.

Gdym jeszcze zwiedzał to miejsce, klasztor żył dawném, pozostałem z przeszłości życiem. Poczciwi zakonnicy byli przyjaciółmi całego sąsiedztwa, ich klasztor najgościnniejszym z domów, ich obiady ze sławnym stokfiszem uchodziły w poście ze najsmaczniejszych, choć je dobre serce więcej niż wytworne przyprawki krasilo; a stary miód tylko na Porcyunkulę i Ś. Antoni w małych kieliszczykach podawany, sławny był na mil dwadzieścia dokoła.

Wszystkie prawie cele były jeszcze zajęte, ale po większej części przez siwych jak gołębie starców, którzy jedną nogą stali już w grobie, choć z żywocią młodzieńczą pieszko nieraz spieszyli z pociechą i modlitwą, do oddalonego łoża chorych i konających.

Któż nie zna celi kapucyńskiej? wszystkie one na jeden wzór stawione: z jednym okienkiem na ogród, z gwoździem na oknie, z maleńkiem łóżeczkiem zasłanem twardą sukienną, pościelą, z krucyfiksem w głowach tapczan, ze dzbanem wody u drzwi. Rzadko nawet obraz, nagie mury téj ciasnej komórki wielkiego ula, rozwesela.

Całe sąsiedztwo kochało Kapucynów i żyło z nimi jak z przyjaciółmi. Dobijano się o dozwolenie kilku tygodni pobytu na wsi, jednemu z ojców przy dworków wiejskich kapliczkach. W niedziele i święta tłumnie zbierano się do kościoła.

W poście posyłano ryby, w lecie brano od nich kwiaty, radośnie pokazywano śliczne i misterne ich roboty, zielone i białe stoczki. Szlachta okoliczna składać się zdawała familią zakonników, a każdy z chęcią, z troskliwością spieszył uprzedzając ich potrzeby, i dając datek, radował się jakby go odbierał. Pomimo ciszy klasztornej, zanknięcia, posępnych murów i sąsiedniego ciemnego jodłowego lasu ze swym szumem posępnym, tak tam było lekko i wesoło!! kwiaty wschodziły w ogrodzie bujne, rozkoszne, silne; ptacy szczebiotali na gałęziach, chłopięta do posługi kościelnej wzięte z pucłowatemi twarzyczkami aniołków, figłowali na podwórzu; starcy nawet uśmiechnięci byli spokojni, tak widocznie w téj ciszy klasztornej kosztowali szczęśliwości.

Nigdy spór, nigdy zwada żadna nie gorszyły sąsiedztwa, a familia zakonna kochała się jak istotna rodzina, lepiej od niejednej krwi i interesami połączonéj. Lecz powoli, powoli zaczęły się wypróżniać cele, a zapępiać cmentarz; grzędy ogrodu chwastem zarastać, brukowany podwórzec otoczyły chciwe ruin pokrzywy; wielki krzyż ogrodowy, spróchniał od

spodu i upadł. Gwardyan ujrawszy go nazajutrz po burzy na ziemi, zapłakał; bracia milczący i zamysleni odeszli.

Gdy raz pierwszy zajął do tego uroczego klasztoru, był on jeszcze w całym blasku życia i pomyślności. Przejeżdżając gościńcem, który około wrót dziedzińca kościelnego się przesuwają, zasłyszałem śpiewy, ujrzałem drzwi otwarte i zatrzymałem się zdjęty ciekawością. Była to godzina południowa, nikogo w kościele prócz kilku chłopców i dziadów w chórze za wielkim ołtarzem śpiew zakonników rozchodził się poważny pod wysokie sklepienia. Ukłakłem naprzód, potem poszedłem oglądać napisy, nagrobki i obrazy. Właśnie gdy się z ciekawością Wniebowzięciu Dankerts'a przypatrywałem i dobywał ołówka dla zanotowania tej pięknej kompozycji, ujrzałem przed sobą zakonnika (bo śpiew w chórze już był ustalony a chłopcy uwijający się z miotłami, musieli o bytności mojej rozchodzącym się z chóru powiedzieć).

Staruszek powitał mnie zwykłym chrześcijańskim pozdrowieniem, przypominającym dawne wieki, kiedy znak krzyża i te słowa tajemnicze różniły w tłumie pogan pierwszych sług ukrzyżowanego Messyasza.

— Cóż to za piękny kościół! zawołałem w uniesieniu. Jakie wspaniałe malowidła!

— Prawda, że śliczne? uradowany przerwał mi śmiejąc się weselo staruszek. Stare to są panie dzieła starzej pobożności i talentu! A widziałeś pan piękne posągi drewniane w wielkim ołtarzu, które tak wychwalają artyści? Widziałeś pan ołtarzowe obrazy nasze? Jeśliś pan ciekawy a lubiący te rzeczy, poprosiłbym go i do klasztoru, na korytarzach są tej samej ręki sławnego Dankerts'a roboty, w bibliotece też; a w sali wyborów portrety, jak mówią, ciekawe.

Widząc, że na same wyliczanie oczy mi się zapalały, uśmiechnął się starzec i począł od oprowadzenia naprzód po obszernym kościele; tłumacząc, wskazując, objaśniając, ciesząc się jak dziecko gdy się wychwalał.

— Pobożni ludzie dawniej, rzekł, niech im Bóg da za

to niebo, co mieli najdroższego to pod skrzydła krzyża składali. Hetmani, najwyżsi dygnitarze myśleli o ubogim zakonniku, aby się on za nich pomodlił, gdy wysokiego stanu obowiązki, gdy świat otaczający odrywał ich pomimo woli od Boga i modlitwy. Pobożna myśl więcej wzniosła monumentów, więcej dzieł wielkich sztuce natchnęła, niż дума nawet i próżność. Dziś — dodał — ale nie czerńmy swych czasów, mają i one zaprawdę swoje dobre!

Westchnął zakonnik; po cichu rozmawiając przyszedł pod ołtarz w kaplicy ukryty; ale starzec, przeciwko zwyczajowi, nie zwrócił uwagi mojej na obraz zajmujący wielkie ramy dębowe, kolorem drzewa świeższą wskazujące robotę. Spojrzałem od niechcenia tylko, myśląc, że w istocie może robota nie zasługiwała na uwagę. Ale jakżem się zdziwił widząc nowy, świeżo jeszcze skończony, kolorytem uroczym ozdobny obraz, zdradzający mistrzowską prawdziwie rękę

Stałem zdumiony, z oczyma wewnątrz wlepionemi. Nowych obrazów tego rodzaju nikt już podobno u nas nie ujrzy; głębokić wiary, zapалу i prawdziwego talentu potrzeba było aby stworzyć coś podobnego. Obrazy religijne naszych czasów są zimne i sztywne, życia w nich nie ma, bo ducha braknie.

Ten, z całą naiwnością starych mistrzów szkoły florenckiej, przedstawiał znajomy rys podania. Był to wizerunek Ś. Łukasza zachwyconego widzeniem Matki Bożej, której rysy anielskie miał przenieść na płótno. W górze obrazu na czystym lazurze, wśród lekkich obłoczków, w wieńcu drobnych aniołków splecionych rączkami, ukazywała się królowa niebios w białej szacie zwycięstwa. Korona z siedmiu gwiazd błyszczała nad jej czołem. Na ręku dziecko Jezus spoczywało, z dziwnym wyrazem bóstwa w małej twarzy, spoglądając z matką razem na świętego ewangelistę.

W dole starzec kładący, zachwycony, z piętami w dłoni, z oczyma wlepionymi w obraz niebieski, zdawał się żyć i oddychać. Wpół otwarte jego usta, jakby zbytek uczucia i westchnienie radosne rozwarły. Dwóch aniołków uśmiechających

się, podtrzymywali płótno i paletę. Wół, symboliczne znamię ofiary, padł na nogi i świetne przytulił skrzydła. Zwie-rzę to nawet było tak naturalne a tak razem idealne, tak wiele miało wyrazu, że m się coraz bardziej wpatrując dziwił i zachwycił. Ogół tego utworu kolorytem pełnym życia i harmonii uderzał. Każda twarz doskonale mówiła co jęj malarz kazał, wszystko żyło, a żyło tęp idealnem życiem drugiego świata, którego chciwie w dziełach sztuki szukamy.

— Zkądże ten obraz, zawołałem zdziwiony.

— Alboż istotnie tak piękny? spytał mnie naiwnie starzec, patrząc mi w oczy z uwagą.

— Cudnie piękny!

— No! doprawdy! Dziwy panie!

— Któż go malował? spytałem znówu, bo widocznie świeży.

— Boć nie ma w istocie i tygodnia, jak go poświęcono i na ołtarz wzniesiono.

— A zkadżeście go dostali?

— E! to robota klasztorna! dodał staruszek ciszej potrząsając głową — tutejsza.

— Jaktó? tutejsza? coraz bardziej zdziwiony spytałem żywo.

— Tak jest, tak. Malował go ci brat Maryan.

— Zapewne kopiował z jakiego starego, a kopia mu się, nie ma co mówić, przesłicznie udała.

— O! nie! on to całkiem swoje inwencyą zrobił. Ale ojcu gwardyanowi wcale się nawet to nie podobało, prawdę rzekłszy przedmiot nam niebardzo do ołtarza przypadał i nowe musieliśmy dać robić ramy, bo daleko większy rozmiar od starego obrazu co tu był wprzódy, a który w kawałki się od wilgoci z muru sączącój popadał.

Gdyby kto inny mi to mówił, załedwiebym uwierzył, żeby w celi tego klasztoru zasuniętego w głuchą ciszę lasów litewskich, mógł się taki utwór urodzić; utwór niepospolitego

natchnienia pojęty po mistrzowsku i po mistrzowsku rzucony na płótno.

— A malarz ten? spytałem staruszka.

— Brat Maryan mówicie? to laik klasztorny, odpowiedział zażywając tabaki Kapucyn.

— Wielki malarz! a tak nieznany! tak nieoceniony! zakrzyknąłem z podziwieniem, oczów nie mogąc oderwać od obrazu.

Staruszek zdawał się pochwał tych słuchać z powątpiewaniem o mojej znajomości rzeczy; odwoził mnie nawet od tego obrazu do fresków Dankerts'a i snycerszczyzny niemieckiej, ale długo naopróżno. Ja cały zajęty byłem nieznanym wielkim malarzem, spółrodakiem.

— Nie mógłbym odwiedzić w celi jego brata Maryana? spytałem nieśmiało po chwili namysłu.

— Czemuż nie? zapewne można będzie. Ale to panie trochę dziwny człowiek, smutny, zamknięty w sobie, milczący. W klasztorze wybacza mu się to. po części przez miłość chrześcijańską, po części że i klasztor ma od niego dosyć, pracuje dla nas. Nie wiem czy odwiedziny nieznanego będą mu smakować, lubi biedaczysko samotność.

— Ale na chwilę?

— Chodźmy! rzekł ojciec Serafin, chodźmy, spróbujemy, jeśli się nie modli to nas musi przyjąć.

Po drodze nie mogłem wytrzymać, żeby nie rozpytywał o brata Maryana, ale niewiele o nim dowiedzieć się mogłem.

— Świat go nęcił, mówił ojciec Serafin, szukał spokoju, jakiego on dać nie może, w cichych murach naszych. Nie o nim tak dalece nie wiem, prócz, że zapewne szczęścia nie zaznał. Ze wszystkiego widać, że malarzem być musiał i za świeckiego życia. Ślady niezagasłych cierpień aż tu z nim przyszły. Modlitwa, praca, wiele ran goi. W nich on szuka lekarstwa i pociechy.

Zbliżyliśmy się do drzwi celi i ojciec Serafin zapukał.

Głos przytłumiony odpowiedział niezrozumiale ze środka.

— To ja, to ja, rzekł łagodnie starzec, ja z gościem co waszego świętego Łukasza w kościele zobaczywszy, chciał koniecznie brata poznać i w celi odwiedzić.

Drzwi się otworzyły i weszliśmy do szczyplęj izdebki zakonnika. Była to cela wszystkim innym podobna, jedno okno kraciaste oświecało ją tylko. Wąskie łóżeczko, stolicek i stółek prosty stały na swoich zwyczajnych miejscach. W pośrodku ze zdumieniem postrzegłem najniwygodniej rozpięte duże płótno na trzech prostych kijach sznurami jako tako powiązanych, oparte. Potrzeby malarskie, farby, kamień, paleta, pędzle, leżały obok na ziemi. Między obrazem a ścianami, za ledwie przecisnąć się było można. Jednym rzutem oka pojąłem jaką męczarnią było żyć w tej ciupce tak ciasnej i tworzyć tu, nie mając gdzie usiąść, jak łokcie wyciągnąć. Niepodobieństwem było zrobić kilka kroków lub przejść nie zachowując największej ostrożności. Światło padające było niewygodne i niedostateczne, słońce biło na płótno, a smugi cieniów rzuconych przez kraty, krzyżowały się na niem i dziwiły je dziwacznie.

Pospolity artysta, który tyle potrzebuje wygodę, światła tak jednostajnego, tak ob zernego miejsca; nie pojąłby nawet jak tu malować było można. Prawie pod kątem prostym z konieczności ustawiony obraz, zdawał się nmyślnie jak najniwygodniej umieszczony. Inaczć byłby całkowicie zaparł przejście między drzwiami a łóżeczkiem. Dowiedziałem się późnić że gwardyan opuszczoną salę obrad dawał bratn Maryanowi na pracownię, ale ten chcąc czemś okupić przyjemność malowania, dobrowolnie na niewygody ciasnej celi się skazał.

Na wielkiem płótnie węglem, śmiało, ogromnemi pociągami narzucony był projektowany rysunek. Kilka innych ram wisiały na ścianach, stały na podłodze sparte o nie, tak że ruszyć się tu wśród tych rzeczy trudno było. W pośrodku celi, w habicie bez kaptura stał zakonnik wysokiej postawy i ślicznego charakteru głowy. Wypelzle z włosów czoło, porys-

wane zmarszczkami poprzecznymi, oczy w padłe lecz świecące, nos suchy, kształtny, usta wąskie i blade ale pięknych linii, szyja muskularna i silna, wystawały tylko z pod grubój sukni braciszka. Ręka brunatnym włosem pokryta, trzymała pęzel gdy wchodził. Wyraz téj postaci i twarzy zapał pełnej, smutku i rezygnacyi, zachwycał jak niespodziane zjawisko.

Stałem w progu, braciszek spojrzał ku wchodzącym i zmieszał się widocznie, rumieniec przelotny pokrył mu chude policzki, zadrżała ręka; szybko pęzel wsunął w paletę, rzucił o podłogę i pospieszył ku nam.

Jak błyskawica tylko dumne jakieś uczucie przeleciało po twarzy jego, natychmiast zmienił się gwałtowném wysileniem jój wyraz i schylone czoło pobladło znowu.

Na zapytanie moje, zadziwienia i pochwały, odpowiedział kilką niewyraźnemi słowy, pełnemi skromności i pomieszaniami; pomieszania dziwnie wydającego się przy pooranem czole i siwiejącym włosie! Zdawało się jakby bronił nam wnijscia i chciał wyprzeć na korytarz koniecznie. Mnie zaś bardzo o to chodziło, żeby zobaczyć inne roboty Braciszka. Podwoilem pochwał i usilnej prośby, a za wstawieniem się ojca Serafina, pozwolono mi nareszcie, wpół prawie gwałtém wcisnąć się do celi i spojrzeć na nowe obrazy. Wszedłem spiesźnie z uwagą jednak jakiejś wymagało przeciskanie się między natłokiem sprzętów.

Najpierwsza robota mokra jeszcze i niedawno habitem przechodzącego nielitościwie starta, wyobrażała Ś. Antoniego z dzieciątkiem Jezus. Nie wiedziałem wówczas kto, czy sam malarz, czy jeden z braci przechodząc posunął po niej suknię i prawie całkiem zniszczył. Westchnąłem, bo obraz był przesliczny. Wielkie płótno podmalowywać zaczęte, wyobrażało przyjęcie stygmatów S. Franciszka. Chrystus w niebiosach i zakonnik na ziemi połączeni cudownemi promieniami, oba po mistrzowski pojęci. Z części wnosząc o całości, nowe dzieło mogło przejść Ś. Łukasza Założyciel zakonu

zostawiony w półcieniu sztucznym (gdyż najwyższe światła otaczały Zbawiciela), zaczęty był z doskonałą znajomością wszystkich materyalnych sztuki resursów. Drugi zakonnik od blasku zasłaniający się ręką, pełen naiwnej naturalności, zdawał się nie widzieć i nie pojmować nadziemskiego zjawiska.

Twarze dwóch zakonników wystawiały doskonałą sprzeczność dwóch natur ludzkich: natury poetycznej, idealnej z prozaiczną i poziomą. Obie zresztą były piękne, łagodne i szlachetne. Chrystus ukazujący się w niebiesiech niał bóstwo w obliczu. Widok otaczający, złożony z drzew odwiecznych, pokręconych dębów, smukłych jodeł i ciemnych sosen, wyborne tło stanowił.

Koloryt ciepły był i żywy, a tak misternie urozmaicony, stopniowany, że choć bez pomocy wzorów i całkiem z praktyki (*de pratique*) malowany obraz, zdał się owocem długich studyów. Stałem przed nim długo, nie mogąc się odeń oderwać. Inne pomniejsze *quadri*, przedstawiały poczęte lub wykończone już całkiem obrazki: Śmierć Ś. Józefa, ucieczkę do Egiptu, nawrócenie Ś. Pawła, męczeństwo Ś. Katarzyny i t. d. We wszystkich też sama wprawna ręka, silne uczucie, koloryt pełen harmonii.

Gdyin się wpatrywał w te niespodzianie napotkane skarby, brat Maryan stał w progu, prawie zawstydzony, ze spuszczeniem oczyma i rękami, rzadką swą siwiejącą już brodę na piersi zwiesiwszy. Nic mi nie odpowiedział na pochwały, na zapytania, jak gdyby lękał się wylać, jakby bał w sobie obudzić myśl nowemu stanowi niewłaściwą. Próżno usiłowałem go do rozmowy nakłonić, musieliśmy wreszcie obejść, dziwnie niepowodzeniem tém dotknięty. Z pokorą i łagodnością pożegnał mnie braciszek, ale bał zdaje się rzecz słowa, lękał spojrzeć na mnie, w którym opuszczony świat widział. Probowałem nabyć jedną z prac jego, lecz gdyin o to przebąknął żądanie, odpowiedział mi skłopotany, że prace jego do niego nie należą, że niemi rozporządza ojciec gwardyan.

Poszliśmy więc ze staruszką do celi gwardyańskiej, gdzie

przyjęty gościnnie i uczęstowany, gdyś spytał czyby nie można co z robót brata Maryana dostać; — rnmiany, otyły i rubaszny przełożony, odpowiedział mi z głośnym i szerokim śmiechem:

— Mój Jegomościunin! alboż to doprawdy co tak osobliwego.

— Są to bardzo piękne obrazy, a kiedyś może i wysokiej będą ceny. Brat Maryan będzie drugim Lekszyckim, jest nim już dzisiaj.

— Któż to dobrodzieju Lekszycki?

— Sławny krakowski malarz, zakonnik reguły Ś. Bernarda.

— A! a! Jestże tam co skończonego u brata Maryana?

— Zdaje mi się, dodałem żywo, że ucieczka do Egiptu.....

— To dobrze! Pieniądzy od Jegomości nie chcemy, ale gdybyś pan co w zamian ofiarował dla klasztoru?

— Co będziecie życzyli sobie? Bardzo chętnie; rzekłem żywo.

— Gdyby tak piękny ornat pąsowy? Nie mamy już w czém przystojnie dni świętych Męczenników obchodzić. (Mówiąc to zdawał się powątpiewać ażali to otrzymać może). Zgodziłem się chętnie na żądanie. Gwardyan zwycięzko trochę się uśmiechnął jakby dziwiąc i litując nademną, a podnosząc z miejsca rzekł:

— Chodźmyż po tę ucieczkę.

Zwrócił się powtórnie do celi brata Maryana.

Gwardyan wszedł do niej nie pukając, a malarz nie musiał nawet usłyszeć skrzypienia drzwi, bośmy go zastali klęczącego przy łóżku z twarzą w dłoniach ukrytą. Przed nim był dziwny krucyfiks, który mnie uderzył — krzyż bowiem Zbawiciela wetknięty był na grzbiecie brązowego Sfinksa. Na rubaszne powitanie przełożonego, zerwał się do-

piero żywo i jakby zawstydzony stanął przed nami uśmiechając się, z założonemi po monastycznemu na piersiach rękami.

— A! a! jak to tu przejść! zawolał otyły gwardyan — ledwie się za temi gratami przecisnąć można. Pozawczoraj już jakieś malowidło zatarłem, a, co gorzej daleko, nowiu-teńki habit powalałem na nic. — Ot, dodał, ten pan ży-czyłby sobie waszój ucieczki do Egiptu, malowidła, które wychwała bardzo. Ofiaruje za nie pąsowy ornat dla konwentu. na dni Męcenników. Jeśli to wam bracie nie robi wielkiej przykrości rozstawać się ze swoją pracą. .

To mówiąc łagodnie spojrzał na mnicha; ten pobałł trochę, ale nic nie rzekł tylko głowę skłonił, szybko zwrócił się ku obrazowi, zdjął go z pospiechem. wlepił weń oczy raz jeszcze jakby go żegnał i (bojąc się może, żeby mu później odwagi nie zabrakło) oddał w ręce przełożonemu.

— Wszystko to, rzekł, własność klasztorna. Bogu dziękuje, żem się zdał na coś przecie. Bierzcie proszę.

Cenę ornatu wypłaciłem natychmiast, uszczęśliwiony nabyciem tak łatwém rzeczy tak pięknej, a tak niespodzianie wśród drogi schwytanój. Ojciec gwardyan z Serafinem odwołani dla pilnój sprawy wyszli na chwilę, a ja pozostałem sam na sam z bratem Maryanem.

Zbliżyłem się do niego usiłując wybadać, czyby nie przyjął jakiejś małej ofiary dla siebie, pozbawiając się obrazu, którego zdawał się żalować; ale mi odpowiedział z uśmiechem litości łagodnej:

— Reguła nasza nie pozwala nam mieć własności; zresztą ja nic nie potrzebuję. Spokój, cisza klasztoru, oto moje skarby.

To mówiąc przyłożył rękę do serca i dwie łzy zakręciły mu się w oczach.

— Świat więc zranił ci serce? spytałem z współczuciem.

— Nie pytaj pan, odpowiedział. Musiałbym przypominać to, o czém chcę zapomnieć. Miłoby ci było dla pró-

żnej ciekawości, drogiego, najdroższego na długo pozbawić mnie pokoju, który nareszcie zyskałem?

— To nie jest ciekawość, odparłem, to prawdziwe współczucie. Ująłeś mnie wielkim talentem, jesteś artystą. Niedawno może wdziałeś tę suknię. Cierpiełeś wprzód pod inną, a cierpiełeś srodze zapewne? gdyś w końcu skryć się musiał pod kaptur mniszy z duszą zdaje mi się nie do niego stworzoną.

— Jakto? rzekł Kapucyn z pogodnym smutkiem wpatrując się we mnie. Już sądzisz o mnie bracie! tak mało mnie znając? tak rychło? któż wie do czego stworzony byłem! dodał. To pewna, żeś tutaj szczęśliwy, o ile człowiek na ziemi nim być może.

Wtém usłyszeliśmy kroki nadchodzących zakonników, brat Maryan umilkł. Zaledwie Gwardyan z Serafinem weszli pożegnaliśmy się. Nie wypadało mi pozostać dłużej, aby nie zabierać czasu zakonnikom i nie przerywać podróży: uniosłem z sobą, tylko przedmiot do długich rozmyślań i zdobył się Ucieczkę do Egiptu.

Słońce się miało ku zachodowi, gdym przeprowadzony przez poczciwego ojca Serafina uporczywie częstującego mnie tabaczką, przeszedł znowu cicho dziedzińce klasztorne i dostał się do moich ludzi i koni zniecierpliwionych niespodziewanie długą po klasztorze wędrówką. Wszystkie projekta podróży złamane zostały stratą czasu; musiałem nocować w miasteczku, gdyż o dobrych czterech milach dopiero mogłem się spodziewać wygodnej karczmy na trakcie, a tyle już zrobić nie było podobna przed nocą lasem i dosyć złymi drogami.

Nazajutrz raniutko wstąpiłem jeszcze na mszę do Kapucynów, potem na kawę do ojca Gwardyana, ale brat Maryan, jak mi mówiono, był trochę niezdrowy i już go widzieć nie mogłem. Nie bardzo się o to starałem lękając się mu uprzykrzyć, wiedząc jak nie miło świat przypominać może, że co od niego przychodzi do zakonnika pragnącego zapomnieć wszystkiego co za sobą zostawił.

W kilka dopiero lat później, dostałem w miasteczku wieści o pochodzeniu zakonnika i jego młodości, a znacznie później przypadkiem wpadły mi w ręce i inne materyały tej powieści. Ani jak, ani z kąd ich nabyłem, nie widzę tu potrzeby wypisywać.

Brat Maryan wedle jednych już nie żył, wedle drugih w dalekim podobno gdzieś klasztorze kończył spokojnie życie. Nic o nim z pewnością powiedzieć mi nie umiano. Sam klasztor zostawiony pustką, rujnował się z tą przerażającą szybkością, z jaką nikną dzieła ręki ludzkiej dane na pastwę czasowi.

Kilka lat zmieniły go do niepoznania. Mur obwodowy powywałał się w wielu miejscach, z kościoła poopadały tynki, na klasztorze dach świecił licznemi dziury, zielsko zarastało dziedzińce, wróble gnieździły się w bibliotece i refektarzu. Pająki, niedopérze, myszy mieszkaly same po celach i korytarzach milczących.

Freski Danckerts'a pozaciekały, a wiele obrazów i suycerszczyzny niewiedzieć gdzie i jak poznikały. Nagie ściary na których tylko ślad długo przytknionych ram pozostał, dziwnie smutne robiły wrażenie. Bezbożne ręce Żydów z miasteczka, wiele drzewa z budowli klasztornej do pieców swoich poprzenosiły. W ogrodzie cyfra tylko Maryi wśród chwastów jeszcze trochę widna była. Zdziczały i strzeliły w górę szpalery, zazieleniała sadzawka zielskim, wiatr powyłamywał drzewa.

Stary zakrystyan sam jeden jeszcze pilnował ruin i czekał śmierci na dawnem swem stanowisku; złamany we dwoje, blady jak upiór, a jak grób milczący, obchodził z kluczami gmach we dnie, i w nocy przysłuchiwał się głosom, które zdawały mu się z pustej wylatywać budowy. Przysięgał on, że nie raz słyszał grające zeicha organy i księży o północy odśpiewujących Requiem.

Nie byłbym mógł nigdy nic stanowczego powiedzieć wam o młodości tego, którego później znalazłem pod suknią mniszą i nazwiskiem brata Maryana; gdyby nie nowa podróż i przypadkowy nocleg w miasteczku. Wiedziałem już z będących w ręku moim papierów, o dalszym życiu i losach artysty co obłókł habit zakonny; ale nie jeszcze o jego pochodzeniu i dziecińczych latach, o których mileżały ndzielone mi notatki. Napróżno starałem się czegoś dowiedzieć od sąsiadów klasztoru: starzy wymarli, młodszy zapomnieli.

Jużem był powiedział sobie, że się nie nigdzie nie dowiem, gdy nocując w miasteczku, znudzony w długi wieczór jesienny, ujrzałem wchodzącego do mojej izdebki Żyda gospodarza domu, który potrząsając jarumką, z jedną ręką w kieszeni czarnej sukni, wsunął się by w oczy zajrzeć podróżnemu i trochę go wy badać.

Był to starzec już pochyły, na jedno oko ślepy z wypadku; siwych ogromnych włosów i długiej brody, chudy, zgięty, ale pomimo lat żywy. Jedyńm okiem, które mu pozostało błyskał dowcip i przebiegłość; głos jego silny jeszcze i młody (bo nie stracił zębów), zadziwiał przy pomarszczonej twarzy.

Zaczęła się rozmowa poczęta jak zwykle wzajemnym badaniem. Żyd starał się dowiedzieć kto byłem, z kąd jechałem, dokąd, i po co? ja niedbale wypytywałem o okolice, o ceny zboża i t. p.

— A pan tu pierwszy raz w tej stronie? rzucił Żyd.

— Nie, byłem już razy kilka, odpowiedziałem, i w klasztorze.

— Był pan dawniej w klasztorze?

— Tak; jeszcze za Kapucynów. Przyszedł mi na myśl brat Maryan i westchnąłem.

— Szkoda pocziwych zakonników, dodał Żyd przypochlebiając mi się. Od ich wyjścia i miasteczko znacznie podupadło.

— A znaliście zapewne dobrze zakonników?

— O! o! jakże nie! wszystkich! Trzymałem u nich grunt gdzie była wapielnia.

Od słowa do słowa, przeszliśmy do brata Maryana.

Malarza? spytał Żyd.

— Wiesz i o tym? podchwyciłem ciekawie.

— Nu! jak nie! ruszając ramionami zawołał Żyd stając przy piecu gorącym i zakładając ręce za pas.

— Wiesz z kąd był rodem?

— Jak?? Rodem był prawie z miasteczka, bo tuż z okolicy. Gdyby nie mrok, pokazałbym jegomości miejsce gdzie stał domek jego ojca. Dziwo, że wiem jego historią i ojcowską! Pewnie lepiej nikt jęj nie wie!

Tak przypadkiem od starego Szanula dopytałem się pierwszej części historyi, którą czytelnikom moim daję. Wprowadzony na trop dopełniłem ją później w sąsiedztwie zebranemi powieściami.

Niedaleko opisanego w pierwszym obrazku naszym litewskiego miasteczka, za rzeczułką, na której brzeg drugi wiódł wąty mostek jakby cudem dziwnym na dygocących utrzymujący się palikach; w dolinie małej, u kraju lasu z sosen, jodeł, brzoź i grabów a niskiej dębiny złożonego, stał mały domek przed laty. To przed laty, nie oznacza więcéj nad kilkadziesiąt. Dziś tam kupa gruzu tylko i poorane do kola pole, a stary omszony krzyż wśród grzedy świadczy, że niegdyś szła tutaj drożyna, gdzie teraz miedza tylko się przesuwá. Domek ów dawny, który otaczały pozostawiane na świerczéj trzebieży brzozy białe i wysmukłe sosny, płoty kamienne, malownicze chat litewskich stróże i płytkie zarosłe rowczaki; trzymał środek między dworkiem szlachcica a chatą wieśniaka.

Widać było spojrzawszy nań, że człowiek co tu zamie-

szał był także ni to prostym wieśniakiem, ni szlachcicem. Coś pośredniego między temi dwoma. Dworek miał ganek o dwóch cienkich słupkach i wystawce, który już pretensy niby do szlachectwa dowodził. Bo dawniej, jak wiadomo, rodziłem się pod gankiem, znaczyło jestem szlachcic. Ale pominąwszy ganek, była to tylko dość obszerna i porządna chata z bierwion sosnowych na mech układanych zbudowana, z maleni okienkami, o sporych czystych szybkach. Wysoka słomiana strzecha, pod cieniem drzew porosła rychło zielonym aksamitnym mchem, unosiła na sobie jeden murowany, czerwonawy komin dość niekształtny i nadkaszony od słoty i wiatrów. Małucie podwórko obrzucone płotem kamiennym, zamknięte było z jednej strony szopką skleconą niestaraunnie, o wrotach podwójnych i nieszczelnie z dranic zbitych. Za dworkiem pociągał się ogródek warzywny i sadek owocowy, w którym szczepy wcale nie bujały. Zielona łączka żerdziami niedbale opasana, musiała także do właściciela dworku należeć. Las sąsiedni, prawie do szopki przytykał, i w piękne ranki wiosenne słyhać tu być musiało wśród ciszy pól, gruchanie dzikich gołębi, dziwaczne stukotanie dzięciołów, zawodzenia słowika, nawet szmery owadów leśnych. Bocian przyjaciel człowieka usiadł na strzesze szopki, aby sąsiadować z nim wedle zwyczaju i pod jego opieką gniazdo mógł odlatując zostawić.

W tym dworku-chałupce, mieszkała podówczas cała rodzina Bartłomieja Rugpiutisa. Nazwisko samo i jego litewskie znaczenie dowodziły pochodzenia tego człowieka i jego pierwiastkowego stanu. Ale pan Bartłomiej dawno z właściwej Litwy (a raczej ze Żmudzi) wyszedłszy, tu uchodził już za coś nakształt szlachcica, bo ubierał się w kapotę. Wszyscy tak u nas zaledwie sierp porzuciwszy lub łokicę sklepowy, chwyтали zaraz za tarczę i szablę. Rugpiutis po żmudzku oznacza troskliwego o żniwo, o zboże. Zaczni też a poczciwi przodkowie Bartka o nic się więcej długie lata nie troszczyli krom o zbawienie duszy a o chleb powsze-

dni. Poddani żmudzkich włości familii Hetmana, który zbudował kapucyński ów klasztor wyżej opisany, Rugpintisy pracowali dotąd jak dawniej około rodzinnego zagonu. Jeden Bartek przypadkiem ze stann, w którym się urodził, wyszedł na nowe stanowisko. Potomek Hetmański wziął go był naprzód za pacholika, przypadkowo z potrzeby wybrawszy jako roztropniejszego na miejsce zmarłego nagle sługi. Zostawiono go potem przy dworze. Bartek wiele się tu nauczył, ale też zapomniał wiele. Nauka świeżo nabyta była nłankową i śmieszną, a zapomnienie dotknęło najważniejszych wieśniaczych cnót ludu, skromnych prawda ale wysokiej ceny w oczach tych, co cenią uczynki ich prawdziwą wartością, nie połykiem i pozorem

Bartek chciwie chwycił wszystko co było z brzegu; nie wiele mu chodziło o użytek jaki z tego miał uczynić. Ciekawy był i pragnął wyniesienia się nad swoich: co tylko go od nich oddalało, dobrém mu się zdawało. Cudaki w głowie potworzyły się z pomieszanych wiadomości; ale on tak był nabytkiem swoim szczęśliwy! Pochlebnik niezręczny ale niczém niezmiessany, i bezwstydnym, nieustannością uniżeń i pochlebstwa płacił za jego grubiaństwo i niezgrabność. Rysy jego twarzy nieforemne, okrągłe, sklepane, czoło niskie a szerokie, usta ogromne a obwisłe, szare oczki, wieczny uśmiech głupkowato frantowski i niczém niezachwiana wiara w siebie, w każdym widna ruchu; stanowiły powierzchowność tego człowieka. Mały, pękaty, kwadratowy, silnie zbudowany, miał odwagę bezrozuinną dziecka co się jeszcze nigdy na niczém nie sparzyło. nieprzezorność dziecięcia roztrzępanego, a w złym razie głupia! zupełnie nie pojmując co się z nim dzieje.

Chciwy jak najwięcej się nauczyć, nie pytał czego i jak się uczył, byleby coś nowego. Wszystkich rzemiosł po trochu zakosztował, każdego umiał po odrobinie, a nie do rzeczy. Lecz talenta swe wychwalał z tak silną i niezachwianą w nie wiarą, że nią, nieraz nawet zawiedzionych obietnicami swemi, znowu potrafił w pole wyprowadzić.

Jedyną myślą i dążeniem Bartka było wznieść się i pozyskać niezależność. Tak też służył i nadskakiwał panu, że wkrótce nie tylko zupełną swobodę ale kawał ziemi na pograniczu miasteczka odebrał w nagrodę. Góry ale znakomicie odważny, ruszył na plac budować się tak właśnie jak Fernand Cortes na zdobycie Meksyku; bez odpowiednich środków, ale z silną żądzą dopięcia co zamierzył.

Nieforenny ów dworek, któryśiny widzieli był prawie dziełem rąk jego, a przynajmniej dziełem jego przemysłu.

— Co to mądrego ciesielka! rzekł nocując u ogniska pod sosną na swojém już polu, pierwszego wieczora po objęciu wytknionego żerdziami dziedzictwa pustego jeszcze. Co to mądrego ciesielka! Siekiera, piła, sznur a dobra wola, ot i cieśla!

Nazajutrz więc zaraz kupił w miasteczku siekierę i piłę, ale jednakże dla bezpieczeństwa jak powiadał, najął na tydzień cieślę do pomocy, aby się jego robocie przypatrzeć. Po tygodniu, wyczerpując się z niego co tylko potrafił pochlebstwem, gorzalczką, gawędką poufałą, rozstał się z pomocnikiem i na gotowych podwalinach, począł bierwiona sosnowe, już posprowadzone na plac, układać. Ale wybrnąwszy szczęśliwie z uszaków, gdy przyszło do dachu, znowu sam sobie rady dać nie mógł. Powrócił więc do cieśli. Założywszy z nim pierwszą parę krokiew odprawił majstra, który widząc jak z niego żartują doprawdy się już pogniewał.

Gniwającego się pana majstra Bartek pocałował w ramię, a sam wrócił do poczętego domku. Ile się napra owal nim krokwie powciągał i ponstawiał, sam tylko Pan Bóg, a on drugi wiedział. Często nie mogąc sam ciężarowi podołać lub dać sobie rady, czyhał na drodze na przechodzących do kościoła i miasteczka wieśniaków i za niuch tabaki lub wesolą pogadankę, zyskiwał pomoc ich łatwo.

Tak narreszcie wzniósł się dach, ale czém go było poszyć? Słomy nie było za co kupić; łaskawego pana coby może dopomógł, daleko szukać, wyjechał z domu; kommissarz

nielitościwy był głównym nieprzyjacielem Bartka. Poszedł do głowy po rozum.

We dworze uczył się różnych rzeczy, między innemi, był tam jakiś Klein, Niemiec, co drzwi, uszaki, ławy i stołki a nawet knfry pokostował. Patrzając na jego robotę i rozcierając mu farby, Bartek jak powiadał, nauczył się malować. Niemiec, ani się spodziewał, żeby mu figlarz Żmudzin miał taką spłatać sztukę a koniec końców chleb odebrać. Ale po jakim czasie obeznawszy się z farbami, smaženiem pokostu i robotą całą, Żmudzin poszedł cichaczem do pana ofiarując się officynę nową darmo pokostować, byleby mu kupiono farby i kamień. Starego tedy Kleina odprawiono, a Bartek stanął do roboty i wyszedł zwycięzko.

Cały dwór wziął go za wielkiego człowieka obaczywszy jak on, co się nigdy nie uczył, doskonale wypokostował wszystko, gdyby sam Klein. Pan śmiał się, a Bartek dostał wówczas w darze kamienną płytę, knrant, rogowy nóż i peźle: wziął je był z sobą nawet na nowe dziedzictwo. Ten kamień rzucony z początku pod drzewo, przyszedł mu na myśl gdy słomy do poszycia dworku zabrakło. Spojrzał na poczęty i tak szczęśliwie do góry doprowadzony budynek, westchnął, nderzył się w czoło kilka razy, potem nie wiele myśląc chwycił za tłómoczek. za kij, świsnął, obejrzał się na cztery wiatry i poszedł drogą w prawo.

Na prawo widać było w pewném oddaleniu nowo wystawiony i żółty jeszcze od drzewa świeżego dwór. którego bieleńkie kominy błyszczały na zielonym dywanie wznoszącego się po za nim pagórka. Tam ndał się Bartek dźwigając na plecach cienką swą płytę i cały przybór malarski. A idąc nieraz poskrobał się w głowę; dziwne bowiem i trudne do spełnienia krzyżowały się w niój projekta.

Nowego dworn właścicielem był exekonom dóbr pańskich, których częśćkę wioski nabył na dziedzictwo, nałupiwszy i nadusiwszy niemało grosza. Znany ze swego sknerstwa i szachrajstwa nie łatwo dawał się wyprowadzić w pole; a tu

właśnie o coś podobnego szło Bartkowi. Zbliżając się do wrót zwolnił kroku, chcąc widać koniecznie na drodze gdzie spotkać się z nowym dziedzicem. Tak też się dobrze wyrachował, czy los mu posłużył, że właśnie nowy obywatel wychodził w białym kitlu w pole, gdy Bartek niby już pomijał obojętnie zabudowania jego

— A! niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus! Ot to kopę lat Wielmożnego pana nie widziałem.

Wielmożny pan bardzo już polechtał dumę szlachetki.

— Na wieki wieków, to Waćpan panie Bartłomiejn, rzekł stary wypłacając się tą samą monetą. A jak mi się tam miewacie?

— Żle! pomyślał Bartek, za Wielmożnego płaci gotówką Waćpanem, nie chce zostać w długu, podobno nie nie wskóram. At zwyczajnie, dodał głośno, maui się jak groch przy drodze. Ale cóż to ja widzę; panisko śliczny dwór pobudował! Co za dwór! a! a! co za dwór! wykrzyknął z coraz wzrastającym niby zapałem i miesieniem jakby go pierwszy dopiero raz oglądał. Dalipan w całej okolicy nie podobnego nie zobaczyć. Całą gębą, pański dwór!

— Alboż to asan co myślałeś? ozwał się uśmiechając polechtany po duszy exekonom.

— Otóż z Jegomości teraz taki pan całą gębą, — pan Wielmożny! — obywatel.

— Widzisz kochanku, Pan Bóg nagroził i pobłogosławił pocziwój pracy mojej. Ale to na starość chleb, gdy zębów już omal.

— Gadaj pan zdrow! oj! oj! Sto lat wam! Dajże mnie Boże takie zęby nie urzekając! I przeżegnał się, a po chwili dodał: — Ale taki jednej rzeczy tu braknie. Żle, źle, jak Bóg miły, niedobrze i nie dokończono, i nie po pańsku

— A cóż tam u licha widzisz niedokończonego? panie Bartłomiejn!

Bartek raz drugi niby stroskaną robiąc minę głową pokiwiał.

— Widziałem, rzekł do siebie, wiele pańskich dworów, ale nigdzie bez tego się nie obeszło. Chyba to może na później odłożone; ale i tak nic do rzeczy.

— Cóż to ty tam szepczesz? nic do rzeczy.

— A! jużciż! Drzewo nie pokostowane! Okiennice, uszaki, okna, wszystko się w mig popaczy, pozsycha, powykrzywia a potem popruchnieje i pognije!

— Dla czego? drzewo suche, spuszczone w jesieni!

— Śmieć się pan z tego! Co to pomoże kiedy nie pokostowane?

— A! ty myślisz, że ja pokostować będę?

— Nie wiem, ale gdybyś pan robił całą gębą po pańsku i chciał żeby potrwało, trzeba by koniecznie. W każdym porządnym dworze nie inaczej.

— Frant, stręczysz mi się na robotę.

— Cha! cha! ja! zawołał śmiejąc się Bartek z dość do brze udanym podziwieniem. Właśnie Wielmożny pan trafiłeś. Gdybyś mnie pan jak prosił i przeplacał, czasu nie mam zamówiony jestem do Zasiszek.

A w Zasiszkach mieszkał główny nieprzyjaciół exekonom, stary kawaler, któremu darować nie mógł obywatel świeżej kreacy jakiegoś wykrzykniku obelżywego, wyrzeczonego z powodu projektu starania się o jego siostrę.

— Zgodzono mnie malować cały dwór na de novo i wcale po pańsku, dodał Bartek. Ten sobie nie żałuje.

— Hui! ten szerepetka z Zasiszek! rzekł przez zęby szlachcic, doprawdy?

— Wziąłem nawet bargeld dwa złote zadatku, mówił Żinudzin, muszę pospieszać na noc tam koniecznie, przyrzekłem być dzisiaj. Dobranoc Wielmożnemu panu!

— Poczekajno bo, poczekaj! zawołał exekonom, a jakim tam kolorem będziecie malować?

— Już to oni nie żałują! Honestel! Biało! biało,

odparł Bartek. Blejwasem calusienki dom, blejwasem a tylko od tyłu czerwono. A co mają płacić temu partole, temu partaczowi pijanicy z miasteczka, u którego zawsze farba pęka i osypuje się, a taki drogi – zgodzili mnie. Ja niewiele wymagam. Dobranoc Wielmożnemu panu, muszę pędzić; spóźnię się.

— Czekajno! sam widzisz, że już późno, przecedził przez zęby niewyraźnie szlachcie zastanawiając się i myśląc, do Zasiszek przed nocą nie zajdziesz. Kiego licha się tak spieszyć? Dwór ci nie uciecze, przenocuj u mnie.

Bartek choć ndawał, że mu było pilno, nie dał się jednak bardzo długo prosić i mówić sobie do trzech razy; zawrócił się skrobiąc w głowę, niby niechętnie... i skutkiem dyplomatycznych kłanist swoich nazajutrz miał robotę we dworze, kilkadziesiąt złotych zarobku; a tymczasem wyprawieni ze słomą Indzie kryli mu chatę w dodatku. Z dziedzina Nowego dworu ujrzawszy złocisty daszek chałupy swojej, z bijącym sercem dokończył jako tako pokostowania i pospieszył napowrót.

Murów, drzwi i okien brakło. Nie zafrasował się wcale Żmudzin, obejrzał tylko, jakby latające po świecie myśli chciał polapać na drodze, nacisnął czapkę na uszy i ruszył do miasteczka z miną poważną. Mina ta była mu potrzebna. Tu trudniej było niż ze słomą, brakło bowiem cegły, wapna i majstra, a w dodatku pieniędzy. Bez majstra, rzekł w duchu, oszedlbym się łatwo. Alboż to święci garuki lepią? Widziałem ci to jak się piece stawiają, trochę mam wyobrażenia o zasklepieniu i wiązaniu cegieł, wapno rozprawię. Kichnia to blichtr tylko bo i drewnianą lopateczką toż samo zrobię. Aby kamień ta i młotek, aby sznurek a tarciczka to i pion. Ale wapno i cegła, to szk! Tego nie zrobię sam, trzeba dostać.

Przychodziło mu na myśl kupić, ale obrachowawszy się z kasą w skórzanym woreczku u pasa wiszącą i pomyślawszy że będzie potrzebował pieniędzy na zagospodarowanie nie

czuł się w siłach kupić. postanowił dostać cegły i wapna jak mówił po prostu psim swędem. To znaczyło, że chciał nie zapłacić a mieć.

Pod miasteczkiem na tak zwanych Glinkach, nie opodal od chałupy Bartka były cegielnie żydowskie, tam udał się Żmudzin grając rolę slugi od dworu Starosty. Począł się dopytywać o gatunek cegły, o cenę i dawał niby minowolnie do zrozumienia, że ze dwakroć sto tysięcy na nową stajnię potrzebować mogą. Żydzi gorąco chwycili się tego z łatwo-wiernością, której powodem było, że wiedzieli, iż Starosta nie miał cegielni. Bartek popatrzywszy, pomruczawszy odszedł tymczasem, ale tak aby go mogli wyśpiegować w miasteczku. Chaim, stary, szczwany lis, postawił kwartę miodu i począł badać go, naglić, usiłując wyrozumieć Żmudzin udawał gluptaszka, p tēm trochę podpiłego.

— Bo to widzisz Asan. rzekł dobrodusznie, rzeczy są jeszcze dalekie i niepewne. Albo będą murować stajnię je-śli cegły dostaną tanio albo ją będą stawiać z drzewa.

Żyd się zapalił domyślając tajemnicy jakiejś, której nie było.

— Ja tylko tu tak przyszedłem ze swego domysłu, dodał Żmudzin, mnie tu nikt nie posłał, ręczę Wasanu, że nikt mnie nie posłał. At tak, chciałem sobie zobaczyć.

— Nie zapićraj się Wasan

Bartek począł się zaklinać ale tak doskonale, że Żyd mocniej się jeszcze ntwierdził w przekonaniu, iż to był poseł tajemny.

— Co Waś do mnie się uczepiłeś! mówił napastowany, niby się broniąc. Ja nic nie wiem! Ja tak sobie zaszedłem, ja sam tu niedaleko się bnduję i potrzebuję cegły dla siebie, zajrzałem zobaczyć i potargować. A jakby była dobra a tania, nawiasemby się Jaśnie Wielmożnemu panu o niej mogło powiedzieć jakie słówko.

I tak dobrze grał komedią, że Żyd nadzieję dostarczenia dwóchkroć sto tysięcy cegieł dla Starosty, opłacił darmo

dostawując parę tysięcy kopciałki i dobrej wypalonej cegły Żmudzinowi do jego chałupy. Szczęściem wkrótce potem istotnie zamówiono cegłę, u Chaima, a Żyd pozostał w przekonaniu, że Żmudzin tajemnie mu to wyrobił, był więc jeszcze dla niego z wysokim szacunkiem.

Gdy już cegła stała w kostrach na placu, poskrobał się znówu Rugpiutis w głowę i począł głęboko zamyślać nad wapnem. Kapucyni mieli wapniarnię na kawałku gruntu przytykającym do ich ogrodu, sprzedaż wapna robiła im kilkaset złotych do roku, a mieszczenie najęci, wypalaniem jego się zajmowali.

W sobotę poszedł Bartek do Kapucynów, a że był i z natury swój bardzo pobożny i wiele miał do Boga interesów, gorliwie się też modlił. Po nabożeństwie zaszedł do celi Ojca Gwardyana.

Tu pokłoniwszy się i ucałowawszy pasek Ojca Dobrodzieja, westchnął.

— A co tam powiesz moje dziecko? spytał starszy łagodnie. Czego tak głęboko wdychasz?

— Ja tu Dobrodzieju, do jego łaski, po radę przyszedłem.

— No, i po jakąż to przecie?

— Aby tylko Dobrodziej łaskawego dał ucha.

— Dla czegoż nie! mój kochanku: jeśli ci potrafię poradzić z całej duszy.

— Miałem to ja sen Dobrodzieju!

— O! o! sen! Sen mara, Pan Bóg wiara, kochanku.

— Toć to ja wiem, ale sen bardzo dziwny.

— Naprzykład? spytał zażywając tabaczki starszy. Cóż tam takiego?

Bartek znówu westchnął, ręce załamał, w niebo spojrział.

— Trzeba Dobrodziejowi wiedzieć, że ja jestem biedny chudy pacholek, si rota, biedota. Starosta wywiózł mnie ze Żmudzi, a że mu się służyło pocziwie i co mogło skarbiąc

laski jego czyniło, dał mi kawalinę gruntu, ot tu nie opodał pod lasem. Ja tedy własnymi rękoma i z wielkim mozołem pobudowałem sobie chalupinę. Dostałem cegły na piecysko, a majstra i wapniska mi braknie. Wapno zwłaszcza spać i jeść mi nie daje, a kupić go nie mam za co. Otóż wczoraj nastękawszy się około tego wapna, którego z palca nie wyłamać, a nie wiedzieć z kąd go wziąć, bo nawet nie słyszałem czy gdzie bliżej dwóch mil się znajduje. —

Starszy się uśmiechnął i zażył tabaki.

— Wczoraj tedy usypiam z tą troską gryzącą. Aż we śnie widzę patronkę moję, która mi się objawia w jasnym obłoku i powiada wyraźnie: „To czego żądasz tak bardzo znajdziesz u OO. Kapucynów. Jutro pomódl się w kościele, a potem idź do O. Gwardyana, pokłoń mu się do nóg. a otrzymasz czego żądasz. On cię i zrozumie, wysłucha i obdarzy.“ Obudziłem się w zimnych potach, pomodliłem i ot kłaniam do nóg Dobrodziejowi.

Gwardyan wesoło się rozśmiał.

— A wiesz Waść, rzekł, musi to być prawda co powiadasz, bo i ja sobie teraz przypominam, że się mnie także śniło abym ci dał wapna. Ale razem odebrałem rozkaz z nieba, aby za każdy korzec wysypać ci trzydzieści pasków z ogórkami kapucyńskimi.

Bartek pobladł.

— Tego rodzaju sny święcie spełniać potrzeba, bo są widocznie natchnione z niebios, dodał Gwardyan. Wieleż ci tam korcy wapna potrzeba mój kochanku?

Bartek po swojemu skrobiąc się w głowę myślał jakby się z tego! wykręcić ale pomysłu mu brakło. Starszy śmiał się w duchu z konceptu Żmudzina.

— Coś nie mogę się obrachować, rzekł nareszcie Rugpiutis, — ale wie Dobrodziej co? Prosiłbym tymczasem o wapno, a po ogórki przyjdę na ostatku, gdy już będę wiedział wile mi się ich należy.

Naśmiewszy się do woli z przebiegłego chłopka, Gwar-

dyan dał mu chętnie wapno potrzebne, a z nim razem nankę, aby mogąc pracować nie zebrał bezwstydnie. Pracuj moje dziecko, rzekł, nie jesteś wcale głupi, masz zdrowie i siły, wiek po temu, mógłbyś łatwo zarobić co; wstyd i upokorzenie ostatnie wykრęcać i wypraszać figlami.

Zamiast przyobiecanych pasków, dano Bartkowi robotę, kazano odnowić pokost na drzwiach cmentarzowych i balustradzie chóru kościelnego.

Tak wszystek już mając gotowy materiał Żmudzin jął się roboty; ale ta nie łatwo mu poszła. Żle sobie przypominał jak się co robić powinno, i nie mógł podolać całkiem nowój dla siebie pracy. Rzuciwszy więc zainprowizowaną kielnię i linie, poszedł do miasteczka. Tam trzy dni tabaczką częstując wszystkich majstrów mularzy, dla których szczególny teraz powziął szacunek smakując nadzwyczaj w ich towarzystwie; przypatrywał się robocie, opowiadając im bajeczki. Czwartego dnia wrócił do chałupy i śmiało już wdał się w wyprowadzanie komina. A chociaż mur jego inwencyi nie bardzo był gładki, choć komin nie trafił w zostawiony namyślnie otwór na środku dachu chałupy, przecież jakoś to się zrobiło. Z piecem było mnóstwo trudności, ale nałamawszy ręk, głowy i cegły, dał i temu rady jako tako.

Stała tedy owa chałupa, ale drzwi jeszcze, okien i stołów brakło. Główne wejście zaparłszy tymczasowo zbite z kilku opółków wrotkami na drewnianych biegunach, Bartek puścił się na wędrówkę raz jeszcze i to nie ostatni.

— Najpotrzebniejsza mi teraz, mówił do siebie w drodze, przyjaźń jakiego stolarza. Poczełwi bo to ludzi w ogólności ci stolarze! Naród ciót pełen i niezuć najmoralniejszych. nie tak jak mularze, którzy z Żydami jedzą i za pan brat przestają z niemi. Prawda, że stolarze napijać się czasem lubią, ale któż bez słabości?

Mularze, teraz zwłaszcza gdyin już piec postawił, wydają mi się dziwnie barbarzyńskim ludem.

Przebiegł myślą wszystkich w miasteczku majstrów stolarzy, ale na żadnego z nich widać wiele rachować nie mógł, bo frasobliwie głową kiwał. Wszystkie interesa z mieszczany najłatwiej się w szynkach zawiązują i kończą. Bartek więc zasiadł pod wiechą, czekając co mu los nadarzy. Wierzył on bardzo w trafę, w szczęśliwy los, ale przez nabożeństwo nazywał Opatrznością fatalność, której ponęty go łudziły.

Nieraz tak sobie samym kłamiemy. Szczęście tak dobrze Bartkowi dopisywało, że się go i uadał spodziewał.

Pod wieczór nadeszła z flaszką wódki, córka majstra cechowego Łukasza Justysia, którą Bartek znał i dawniej. Wypadało koniecznie do niej się poumizgać, a że to łatwo zwłaszcza po piwie przychodziło Żmudzinowi, począł od: Dobry wieczór panience, przeszedł z dziwną łatwością do zapytań o zdrowie godnej rodziny, nareszcie odprowadził dziewczynę do drzwi domku ojcowskiego.

Justysia, jedyne dziecko pana Łukasza wielkiej używająca swobody, zawdzięczając mile słówka Bartka zaprosiła go do środka. Początek tych odwiedzin nie poszedł łatwo, gdyż majster powód ich przypisał nie tak wdziękowi Justysi, jak raczej ponętom flaszki z wódką niesionej przez nią pod fartuszkim. Ale gdy nie w ciemną bity Rugpiutis, rozpoznał przyczyny zimnego przyjęcia, i kwaśno mu ofiarowanego odmówił kieliszka, a cały się zajął Justysią, zmieniała się całkiem postać rzeczy. Stolarz przypominał sobie nagle, że Bartek był uwolniony przez pana, miał własny kawałek gruntu i gadano o nim, iż skrycie grosz gromadził. Chłodne więc w początku przyjęcie przybrało rychło pozór goręcej przyjaźni, zwłaszcza gdy Bartek miodu przynieść kazał i począł zrzęcznie rzemiosło stolarskie wynosić.

— Bo to zdaje się nic, nic! mówił podweselony. — Stoi na pniu drzewo, kłoc gruby i bez formy, czarny, niezgrabny. A niechno do niego zawężmie się stolarz, patrzaj! już wypiłował tarciczkę, a z tarciczki dłubie, dłubie i robi co dusza zapragnie: stoliczki, stolki, szafki. Ot ot! aż miło spoj-

rzec. To mi sztuka! Nie wielka rzecz mularzowi nagromadzić cegły, polepić, i coś tam z tego wybudować, to i bobry panie budują. Stolarz u mnie panie człowiek.

Przy miodzie poczęła się coraz serdeczniejsza gawędka i od słowa do słowa Żmudzin wszystkie swoje starania o nową chałupę szumnie nazwaną dworkiem z pewnemi jednak potrzebnymi odmianami i poetyzując niektóre okoliczności, opowiedział. —

— Gniazdeczko się ściele, rzekł w końcu, a później, ha i czas będzie pomyśleć o ptaszku! Człowiekowi samemu źle i nic do rzeczy żyć. A byle było dwoje, będzie wszystko.

Majster wziął to za delikatne przymówienie się do Justysi, zwłaszcza, że w opowiadaniu dowiedział się o wyprowadzonym już kominie i postawionym piecu. Justysia zaś dla pewnych, bardzo ważnych, niemogących się tu wyłożyć przyczyn, potrzebowała koniecznie iść za męża, nie w miasteczku gdzie była nadto znajoma, ale kędyś dalej. Zastawiono więc sidła na Bartka a Bartek niby dla interesu kilka dni przebawił w miasteczku, uczęszczając także do szklarza z którym uczynił umowę o okienka, nawzajem mu zobowiązawszy się wypokostować dwie szafy. Ze one koniecznie pokostowane być były powinny. o tém postarał się szklarza przekonać. Dziwił się Żyd jak tego dotąd wcale się nie domyślał.

Ze stolarzem było trudno i szło tępo, trzeba było do prawdy umizgać się do bladój Justysi, do której Bartek wiele serca nie miał, a lękał się by potem nie roszczono do niego jakich dziwacznych pretensyi i nie kazano mu się zenić. Justysia, niebezpieczna Syrena, szczerze chcąc już pójść za męża tak się przymilała do Bartka. że Żmudzin począł zamyślać się o niebezpieczeństwie swego położenia. Napróżno usiłował on prowadzić interesa serdeczne stępo, ona ciągnęła go galopem do celu. Zląkł się by go za sobą nie uniosła. Historia drzwi i ławek inogła się skończyć tragicznie. Żmudzin

podumał nad tém, zważył wszystko i wieczorem z miasteczka po dwóch tygodniach pobytu, zniknął nagle.

Powróciwszy do chałupy z oknami pod pachą i kupioném narzędziem stolarsko-ciesielskiém, wziął się sam Rugpiutis do roboty ław, stołów, drzwi i polic. Nie szło to łatwo: paczyło się i darło surowe drzewo pod surową ręką, ale choć nie gładko, dokonał Bartek dzieła winszując sobie, że wczas się opatrzył jak dalekoby go zawieść mogło upodobanie w stolarskim rzemiośle i Justysi. Jakiś dobry duch czuwał nad Żmudzinem, bo mu jeszcze jednego niebezpieczeństwa oszczędził. Trzeciego czy czwartego dnia po powrocie z miasteczka zajęty był właśnie oglądaniem deszczek na lipowy stół głównej izby: gdy wyszedłszy na próg gdzie suszył tarciczki, ujrzał zdaleka drogą od miasta ku chałupie idącą, postać kobiecą. Przeczucie jakieś mówiło mu, że to była Justysia goniąca za nim i uważająca go już za narzeczonego. Bartek zaledwie miał czas zawołać: I nie wódz nas na pokuszenie! rzucił się żywo na strych, wciągnął za sobą drabinkę i zaszył się w siano. Wkrótce dały się słyszeć kroki nadchodzącej a potem wołanie, a potem śpiewka wesoła.

Justysia (doskonale ją widać było ze strychu) ubrana jak od święta, świeża, z miną figlarną, w gorseciku czerwonym, faldzistej spódnicy i białej jak śnieg koszuli, w granatowym kabaciku, stanęła w progu różnemi głosami wołając na wszystkie strony.

— Panie Bartłomieju! Panie Bartłomieju!

Bartek wciąż szeptał sobie: I nie wódz nas na pokuszenie! A wpatrując się niepostrzeżony w Justysię, zimnym się potem oblewał.

Dziewczyna śpiwając usiadła na progu aby poprawić pończochy, zajrzała potem do izby, opatrzyła cały domek jakby już swój własny, nie minęła najmniejszego kąta, rzuciła nawet okiem na strych gdzie marzył biedny Rugpiutis. Wyczekawszy się dobrze, stolarzanka nareście położyła w pier-

wszój izbie na najwidoczniejszym miejscu tombakowy pierścienek ze szkiełkiem, i powoli, bardzo powoli, oglądając się kilkakrotnie odeszła nazal do miasteczka.

Bartek zlął złamany ze strychu i to nie prędko, obawiał się długo powrotn natrętnój dziewczyny.

Na tém skończył się romans poczęty, gdyż Justysia nie mogąc dłużej czekać, we cztery tygodnie potem wydała się za czeladnika przybyłego z daleka i przyjętego przez ojca na naukę. Bartek zjawił się dopiero na wesele, ndając, że z dalekiej za interesem Starosty powraca podróży; a tak dobrze kłamał wielką rozpacz i żale, że Justynka (pocziwe seree) uwierzyła mu i pozostała na długo najwierniejszą jego przyjaciółką. Z jój nawet natchnienia, posłuszny mąż, poprawił nieco stolarszczyzny w domku Bartłomieja. Na zimę tedy chałupa była zupełnie skończona, opatrzona, i poświęciwszy ją wprzód (bo Bartek był nieznamiętnie pobożny), wniósł się do niej dumny dziedzic, nasycając dziełem swoim.

Wprawdzie ze ścian wiało, komin dymił niepołahowanym sposobem, drzwi żadne szczelnie się nie przynikały; ale to były maleńkie niedogodności w miarę, wielkiej rozkoszy posiadania domu. Ah! go zaopatrzyć we wszystko co było potrzeba, począł znown Bartek uciekać się do przemysłu, jedno sam kłęcząc drugie dostając psim swędem. Tak naczynia i spiżarniane zapasy po trochu się zebrały. Justysia teraz najlepsza przyjaciółka Bartka, odwiedzała go czasem dobrą niosąc radę; on się już od niej na strych nie chował nie widząc niebezpieczeństwa.

Nadeszła wiosna, Bartek począł się mocno zadumywać znou. Zaledwie śniegi zląły, pomyślał o opasaniu granic dziedzictwa swojego płotami. Główny dziedziniec wedle zwyczajn potrzeba było murem z dzikich kamieni obrzucić. W téj stronie Litwy o nie łatwiej jak o kamień. Leży ich tysiące wszędzie po polach, błotach, nad drogami, najrozmaitszych barw, dziwnych czasem kształtów, niekiedy drobne, to znów ogromne i na wpół w ziemię zaryte, zdają się szczą-

tkami potrzaskanego jakiegoś świata. Pokładów skał nie ma w ziemi nigdzie: gładkie, otarte, przyszły tu widać z wielkimi wody potopu i oschłe zarzuciły łożysko bajecznego morza co łączyć miało Bałtyk z Czarnym. O drobno więc kamienie łatwo było, ale węglowe wielkie i idące na spód bryły, nie bez potu i znoju trzeba było wywazać z ziemi, toczyć na miejsce i ustawiać pod linią. Wierzchnie zebrały się tuż prawie i bez wielkiego zachodu; trochę nakrajaną ukradkiem na cudzej łące darniny, posłużyło do spojenia wątliej, ale mającej z czasem nabyć trwałości, budowy. Ogród i łączkę otoczył Batek żerdziami, o które równie łatwo mu było jak o kamień. Z pomocą przyjaciół zaciągnięto dwa wielkie szare kamienie do wrót i płaską płytę czerwoną na próg chaty, wykuwszy na niej nieforemny krzyżyk. Dwie mniejsze zastępowały ławki w ganeczku. Podrapawszy ogród motyką posiał na nim trochę konopi, lnu i jarego żyta.

— Tandem, rzekł biorąc za kij i oglądając się z uśmiechem, potrzeba mi się ożenić a ożenić bogato, bo inaczej rady sobie nie dam. Potem pomyślemy o sposobie do życia.

Zaparkłszy staramie drzwi chałupy i poleciwszy strzelcowi Starosty, który wtedy około lasu chodził, aby mu ję pilnował, Rugpiutis puścił się pomodliwszy i nażegnawszy drogę, siebie i cztery świata strony. Nie wiedział dokąd idzie, ale stałe miał postanowienie powrócić jeśli nie żonatym to zaręczonym.

Z tą myślą, zakasawszy poły, utwierdziwszy na kiju nowe buty, podtoczywszy spodni i rozpoczynając rozmyślanie o słodyczach stanu małżeńskiego, machinalnie puścił się ku Nowemu dworowi. Minął jednak nie zastanawiając się Nowy Dwór i wijąc się pomiędzy wzgórkami drogą zapuścił dalej, niekiedy tylko spoglądając na słońce. Wiedział, że droga, którą szedł, prowadziła do Zasiszek, ale po co się nią kierował, nie myślał; ze słońca wnosząc mógł się spodziewać zajść na noc do tej wioski.

Kraj, który tak wesoło bosemi nogami przebiegał

Bartek, pięknym był obrazem, ale nań mało zważał podróżny. Na prawo kamieniste litewskie wzgórza, gdzieniegdzie rzadkim gaikiem odziane, wznosiły uprawne swe grzbiety. Dołem płynął strumień popsuty moczeniem konopi, natkany licznymi kołami, które je wstrzymywały na dnie; — przecież piękny. Liczne stada gęsi nadające inie Zasiszkom, rozkoszowały się na wodzie. Brzegi strunienia gęste zielono-żółte zarastały tataraki. Na piaszczystych wybrzeżach czeruiąły rozsypane cienne kształtne jałowce; drobna rokitnica z popielatą zielenią tuliła się w wilgotnych dołach. Z gęstych drzew wyglądał dwór biały o wysokim dachu. Były to Zasiszki. Od dworu linią stały wysnurowane czarne chatki wieśniaków, ich odrywy, szopy i stodoły. Gdzieniegdzie z pomiędzy dachów jodła, brzoza lub grabina podnosiła szumiące czoło. Dwór Zasiszki, którego właściciel był, jakżeśmy widzieli, srogim antagonistą pana ex-ekonomy, dosyć wspaniale wyglądał zdaleka. Na prawo niurowana kuchnia, na lewo lamus i sernik wysoki z blaszaną chorągiewką, dalej maleńki skarbiec, patrzyły z drzew gęstych.

Mieszkał tu stary kawaler pan Tomasz z Burdzie Burda z siostrą swą panną Weroniką Burdziannką, starą już ale jeszcze żywą, i nietracącą nadziei wyjścia za mąż panną. Ani wiedział jak do wrót dziedzica doszedł nasz Bartek i jak musiał się już na wszystkie strony oganiać kijem i butami na nim wiszącymi, oskakującym go psom

Burda siedział w ganku. Jak wszyscy próżniacy, którzy czatują tylko na gawędkę, pan Tomasz łakuwał jej wielce, bo nie miał co robić, a pracować prócz tego nie lubił. Obaczwszy człowieka w stroju podróżnym odwołał zażarte psy i począł kiwać nań, aby się zbliżył do ganku.

Pan Tomasz (gdyż historya nasza obejść się nie może bez jego wizerunku), był typem dawuić może pospolitym, dziś zapewne rzadkim. Małego wzrostu, gruby, szerokich ramion, koczupatego włosa, siwych oczek, wielkich brwi mężczyzna. Ospa oznaczyła go desenikiem wyszukanym na policzkach teraz

czerwoną zachodzącym barwą. Oprócz tego był piegowaty, miał plamę od ostudy na niskiem czole i cztery piękne brodawki na twarzy. Pomimo tych przypadkowych dodatków, uchodził w owych błogosławionych czasach za wcale przystojnego mężczyznę, z mocy axyomatu, który powiada, że chłopu dość być trochę piękniejszym od djabła. W istocie p. Tomasz miał to trochę, i uważał się za kawalera przystojnego. Nizkie owe czoło napiętnowane ostudą niekiedy siną, a najczęściej koloru brudnego i nieoznaczonego, zdobiła jedna ze czterech brodawek na samém skroni nakształt przejrzałej poziomki wyrosła. Na tym pagórku puszczały się już coraz bujniej i gęściej długie włosy białe. Druga siostra umiesciła się przy nasadzie nosa, trzecia w środku lewego policzka, czwarta na brodzie. Był to rodzaj samorodnej hiszpanki. Usta pana Tomasza koloru brodawek, były obwisłe, a dolna wargę przeciętą zupełnie na dwoje, co mu szczególny nadawało wyraz. Ryże, zamaszyste, do góry podczesane bakembardy, kolczyk w uchu z turkusem dopełniały fizyognomii. Ubiór pospolity, w lecie mieszkańcom wsi właściwy, składał się z kitla, i szarawarów płóciennych z czarnym pasem rzemiennym. — Chustki na szyi nikt w domu latem nie nosi i pan Tomasz cierpieć jęj nie mógł, zwał ją nawet pogardliwie chomątem. Naprzeciw p. Tomasza siedziała panna Weronika Burdzianka, osóbką malcúnka z zadartym noskiem, trochę do brata podobna, ale nieskończenie od niego przystojniejsza, z jedną tylko nie nieznaczącą brodaweczką na uchu, którą brać było można za znamię przyczyniające piękności. Skutki umywania starannego ogórkową wodą, okazywały się na prawie białej jęj twarzy. Tłusciuchna, okrągła, rumiana, blondynka, lubiąca zaloty, piosenki wieczorne, plotki pokątne, odpusty tłumne, skoki rubaszne, młodzież śmiała i ochoczą i t. p. Spodziewam się, że z tych kilku słów łatwo już rozumiecie pannę Weronikę, której podobnych kapryśnych, dziś wesołych jak ptaszęta, jutro milczących jak ryby blondynek, mających łzy i śmiech na pogotowiu zawsze

tak jest wiele po świecie! Któż z was jednęj przynajmniej w życiu nie znał panny Weroniki?

Brat panny, Tomasz Burda, lubił także polowanie, hulankę, czasem kieliszek w dobrym towarzystwie ale słabość miał prawdziwą, nieszczęsną namiętność dla płci pięknej. Całe życie kochał się, starał lub pokątnie biegał za wszystkimi ładniejszymi dziewczętami dworskimi i wiejskimi, jakie mu się tylko na oczy nawinęły. Panna Weronika udawała, że tego nie widzi i była zupełnie neutralną nawet gdy pan Tomasz wdierał się do garderoby zostającej pod jej bezpośrednim zarządem. Ta powolność panny Weroniki zyskała jej szacunek i niezłomną przyjaźń brata. Kto wie ażali nie było trochę rachunku w postępowaniu siostry? Tak bajali sąsiedzi, którzy sądzili przebiegle, że zamykając oczy na figle braterskie, siostra zagradzała mu drogę do ożenienia, a tak odziedziczyć kiedyś po nim majątek spodziewała się. Panna Weronika była o dziesięć dobrych lat młodszą od pana Tomasza, pan Burda zaś liczył sobie (gdy go do tego zmuszono rozumie się) coć około czterdziestu. Ale były to tylko domysły i gadaniny, jakich na wsi pełno i nie więcej.

Opadnięty od psów warkliwych Bartek i oswobodzony od nich jedném słowem gospodarza, postąpił ku gankowi, ze zwykłym pobożnym powitaniem: — Niech będzie pochwalony. —

— Na wieki! A zkądże to kochanku?

— A! to Wielmożny pan mnie nie poznaje?

— Dalifur, (to było zakłęcie zwykle pana Tomasza). Dalifur nie, kochanku. Coś mi się ochapia, ale, ale, czy nie ze dworu Starosty?

— Tak, tak, dawniej, odparł Bartek, a teraz dziedzie gruntu własnego pod..... ickami i domu, a do usług pańskich malarz z professyi. Pokostowałem cały dom w Nowym Dworze, prawda, że tylko na czerwono. —

— U tego ślachetki! szerepetki! nowęj fozy szlachcica i dziedzica! U tego...

— Łupiskury, dodał Bartek

— Cha! cha! wybornie, masz słuszność, Łupiskura. Ojciec jego handlował końmi, syn z ludzi skórę drze. Inaczej już go nie będę nazywał. Siostruniu każ mi dać kieliszek wódki, a jako dworskiemu starki. No, ale cóż cię tu sprowadza?

— Szukam roboty, może jaka u Wielmożnego pana się znajdzie?

— Zobaczymy. A powiedzżeno mi naprzód jak to tam w Nowym Dworze?

Bartek zrozumiał, że trzeba mu było pomalować Nowy Dwór na czarno, dziedzica także nie szczędząc; a że nie było w istocie nic bardzo dobrego o nim mówić, puścił cugle językowi.

— W Nowym Dworze, rzekł uśmiechając się figlarnie, jak zwyczajnie w Nowym. Wszystko nowe, pan jak z igły, buty nowe bo niedawno jeszcze chodził w postołach, i państwo nowe, bo niedawno przed panami czapkę zdejmował do ziemi. Ludzie skwierczą, pan cały dzień łaje: jedno drugiego się nie trzyma. Chce coś z pańska kroić, a nie bardzo mu się klei, wszędzie z pod pańskiego kontusza ekonomski kańczuk przegląda. Kupił już Jegomość dryndulkę po nieboszczyku proboszczu z Chorochorowa, żeby po staremu kałanaską nie jeździć.

Pan Tomasz słuchając śmiał się i coraz podbudzał jeszcze Bartka do gadania. Wkońcu tak mu się żmudzkie koncepta podobały, że zaprosił przybyłego na noc, i wytrzymał go cały wieczór u drzwi swego pokoju częstując piwem i gorzaleczką, do których wrodzony jakiś pociąg miał Rugpiutis.

Nazajutrz rano znalazła się jakaś robota, pod której pozorem wstrzymał Bartka pan Tomasz. W istocie chodziło mu tylko o łatwą pogadankę, w której nie miał wcale potrzeby ze słowami się rachować; gdzie pytanie każde żadaną wywoływało odpowiedź, żart przychodził na zapotrzebowanie, a sze-

roki i bujny śmiech rozlegał się swobodnie. To też przy ucierającym farby Rugpiutisie, pan Burda przesiedział cały ranek i pospieszył do niego znów po spoczynku poobiednim. Ludzie dworscy widząc tak wysoce ceniony talent przez pana z uszanowaniem poglądali na wielkiego człowieka w osobie Żmudzina i pękali od śmiechu ledwie gębę otworzył, tak byli przekonani, że co tylko powie, warte jest współczucia i sowytych oklasków. Bartek ucierając farby i rozmawiając żywo i ochoczo, rzucał przecież oczyma po swojemu, tak że nic nie uszło jego uwagi. Na pozór cały oddany pracy, więcęć przecież zajmował się tém co go otaczało, niżeli robotą nad którą zdawał się wysilać. Postacie, ruchy, obyczaje ludzi otaczających połapał zaraz na korzyść swoją i wiedział już drugiego dnia kto ze sług jest ulubieńcem pana Burdy, kto upodoban i protegowany przez pannę, znał na palcach wszystkie intrygi dworskie. I niekoniecznie w widoku jakich korzyści czynił te postrzeżenia, po większej części przychodziły mu one starym nałogiem, mimowolnie, jak rodzaj zabawki co to przecie w razie i przydać się na coś może. Wśród roboty, ku wieczorowi nagle kurant stanął w ręku Bartka, usta mu się szeroko rozwarły, głowa podniosła, szyja wyciągnęła, osłupiał. Przyczyną tego niezwykajnego podziwu była postać, którą ujrzał na drożynie od obór ku folwarkowi wiodącej. Było to dziewczę lat może ośmnastu lub dwudziestu (świeżość nie dozwalała sądzić dokładnie o latach bo świadczyła przeciw innym oznakom wieku), ciemnowłose, czarnookie, maleńkie, zgrabne, krągłe, z pańską miną i chodem jaśnie wielmożnym. Była ona tém, co to dawniej zwano hożą czarnobrewką, ale i czémś więcęć jeszcze. Owa młodziuchna i śliczna czarno-brewka miała twarz, chód, dumne wejście i ruchy wielkiej pani, coś szlachetnego i samowolnego w sobie; zdradzającego albo szlachetność wrodzoną, albo bardzo tylko przesadzone udawanie charakteru wręcz przeciwnego naturze. Biała jak mleko, zaledwie nieco zarumienione mając policzki (a po staremu jagódki) z twarzyczką podłużną, prze-

ślicznie zaokrągloną, z oczyma dziwnie jasnymi i wielkimi, a czarnymi jak dwa węgle, okrytemi powieką oszytą długą rzęsą ciemną i opasanemi wyżej brwią jak ciemna linia śmiało rzucona przez malarza, z usteczkami rumianemi, drobnemi i podrzuconemi w dwóch końcach ku górze, z bródką dołkiem oznaczoną, świeża, tak, że puszek zda się jak na nietkniętym owocu jeszcze ją okrywał; szła Franka przesuwając się jak zjawisko przed oczyma Bartka. Czarne jej włosy, wyczesane i świecące, spadały w dwóch długich warkoczach na kształtną kibić. Ubrana czysto i starannie a nie jaskrawo (miała na sobie blado-różową sukienkę i czarny fartuszek, białe kliniki na nieninie białej szyjce i czarne trzewiczki odbijające od świeżej pończoszki). wydawała się Bartkowi czémś wielkiem, najmniej kuzynką Jéjmości. Wracała wprawdzie z obory od dojenia krów z kluczami w ręku, a za nią niosły dwie hoże dójki śmiejąc się i chichocząc ogromne naczynie z mlekiem, przykryte czystym cedzidłem; ale w Litwie i panienki dworskie często do krów chodzą. Bartek z uszanowaniem zmierzył oczyma śliczną dziewczynę, która ukradkiem spojrzała także na niego, a tak w nią oczy wlepił chciwie, że aż uśmiech mimowolny ale prędko pohamowany, na usta jej wywołał. Pan Tomasz nadchodzący schwytał Żmudzina na uczynku.

— A co to Waszeć już — dalifur na dziewczęta mi się zagapiasz? zawołał pan Burda śmiejąc się. Zawstydzony Bartek począł zapalczywie trzeć farbę i szukać konceptu na odpowiedź w głowie, aby się wykłamać z zagapienia. Nie chciał być bowiem posądzony o utratę przytomności z jakiegokolwiek bądź powodu, a uczuł, że musiał mieć minę dość głupawą. Wyobrażał też sobie, że ta pauna nieskończenie być musiała wyższą stanem od niego; a kto zna obyczaje litewskie, zwykłą skromność stroju wieśniaczek i chętne zajmowanie się gospodarstwem, nie zadziwi się omyłce Bartka. Była to bowiem omyłka, z której wkrótce wyprowadzony został przez pana Tomasza.

— A któżto waści wpadł w oko, zawołał Burda, czy sroga Naścia upodobana zazdrośnemu ekonomowi, czy Parasia rumiana ulubienica Fedora gumienego, czy może sama Franka?

— Wszystkie trzy! rzekł ochłonawszy Bartek.

— O! dalifur! na raz za wiele! zawołał pan Tomasz rycząc od śmiechu.

— Dla oczów nie, odparł Żmudzin schylając się nad kamieniem.

— A prawda, że Franka ładna? spytał stary kawaler klaskając językiem.

— Któraż to Wielmożny panie?

— Niby nie wiesz! o! franta kawałek! Różowa sukienka, nieszpeta panienska! dodał Burda rad wielce z rymu i konceptu, przymrużając jedno oko.

— Królewski kąsek!

Tomasz wesa przymusnął: Prawda! rzekł. Ot wiesz co, dodał żywo jakby myśl chwytając, masz chłotę, masz ochotę jak widzę, ja ci będę swatem, żeń się i kwita.

Bartek spojrział wielkimi oczyma na pana Tomasza, biorąc to za żart gospodarza i ruszył ramionami wracając do tarcia.

— Wysokie progi na moje nogi! rzekł wzdychając.

— Dalifur nie! sierota! moja siostra ją z łaski na opiekę wzięła. Nie bez tego żeby téż wydając ją za mąż, trochę grosiwa i coś na gospodarstwo nie dała. Ot gotowa dla Warszeci żona, a cóż?

— Nadto coś na wielką panią wygląda.

— A! at! to tylko zdaleka!

— He? A pan ją zna i zbliśka? spytał złośliwie Bartek. Pan Tomasz pokręcił go za ncho.

— Łotrzel! zkał ci ta domyślność?

— Służyłem we dworze pana Starosty, to dosyć powiedzieć.

— Ale u mnie to wcale co innego — u mnie tego nie ma!

— Oh! oh! mruknął Żmudzin pochylony obiema rękami na kurancie. Znamy Wielmożnego pana! Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi! Szlachta jadąc na odpust do Chorochorowa z córkami, objeżdżają nawet grunta Zasiskie.

P. Tomasz serdecznie śmiać się począł.

— O Frankę nie masz się co bać, to dla mnie zakazane. Faworyta mojej siostry, z małą przy niej dniem i nocą. Bartek głęboko dumiał.

— Diable piękna, rzekł po chwili, ale nadto ma mnie wielmożnej pani. —

— A pracowita dodał p. Tomasz, a łagodna gdyby gołąbek.

— Cóż to ja pan tak zachwala, jak zepsuty towar na sprzedaż?

— Żart żartem, żeń się doprawdy, począł nagle p. Tomasz.

— A gdyby? Mnie bo i potrzeba żony, ale z dodatkami wielą, z pieniężniami, z krowami, z koniem, trzódka, kuferkami, nasypkami i strasznie bogatą!

— Franka nie żartem będzie miała wyprawę, rzekł nastając dziedzic.

— Gdyby to nie pan rekomendował? odparł Żmudzin śmiejąc się.

— A cóż to ja szkodzę? Będziesz miał opiekuna we mnie, nic więcéj.

— I przyjaciela przy żonie? he?

Oba poczęli się śmiać i na tém skończyła się rozmowa. Bartek wieczorem wymknął się na zwiady i szpiegi. Z dobrze dosyć udaną obojętnością począł wypytywać o Frankę nim się do niej zbliżył. Ale wszyscy jakby sobie dali słowo, wynosili jednogłośnie jej przymioty, najmniejszój nie ukazując plamki.

— Wiesz waćpan co, powinienbyś się z nią ożenić, rzekł Bartek ekonomowi, wysłuchawszy zapalczywych jego pochwał.

— Albo to ja głupi! odpowiedział tamten machając ręką nad głową.

— No? a toż czemu?

— Waćpan, rzekł Intendent z miną głębokiego dyplomaty, — waćpani udajesz bardzo przebiegłego, a takić błahćj rzeczy poninchać i domysleć się nie możesz. Franka paniczowi się podoba (paniczami zowią się kawalerowie do lat choćby siedmdziesięcin), a nie śnie się do nićj umizgać bo dziewczyna harda jak królowa i wie, że wstydemby go tylko nakarmiła. Czeka więc zaczaiwszy się, a gdy obdarzywszy ją suto i ujawszy, zaręczy za jakiego mazgaja, wtenczas Franka jego! a mężyisko, no! potrzyma się za głowę!

— Takie to interesa! zawołał Bartek, masz waćpan racyą, to bardzo być może!

— Panicz i mnie ją stręczył i kilka innym, dorzucił ekonom, ale nie w ciemię nas bito. Żadna Franka, piękne dwie krowy, ślicznych para kłaczy i inne dodatki, ale, ale. To, ale niebardzo smaczne. Ja się dzielić nie lubię.

Bartek twardo się zamyslił, wziął powoli za czapkę i dawszy w koło — dobranoc! wyszedł kiwając głową, szturchuając w palce.

— E! rzekł w końcu do siebie, kto nie aży nie ma! A no! spróbujmy! Gdyby co najgorszego wypadło, jużciż to ja nie pierwszy podobno; a to takie głupie nieszczęście, że plunąć na nie chyba, a nie gryść się nićm.

Trafem spotkał Frankę na drodze i pozdrowił ją zdjęciem czapki i —

— Dobry wieczór! Dziewczyna uśmiechnęła się i nie zdała daleką i trudną do zawiązania rozinowy. Bartek przeprowadzając ją powoli do bliskiego przelazu, z całym jaki tylko miał dowcipem, śmiałością i wesołością się popisał. Dumna i poważna Franka kilka razy białe śmiejąc się pokazała ząbki. Na ten dzień tak się skończyło.

Nazajtrrz kilka razy rzucił farby malarz i podchodził pogadać między bzy pod okno garderoby. Franka też z kluczami przeszła mimo niego daleko więcej razy niż wczora.

Przebiegły Żmudzin wyrachował nawet, że dłuższą drogę wybrała do lochu pod pozorem, że ta była suchsza.

Na zawiązujące się stosunki p. Tomasz patrzył okiem wesołym i żartował z Bartka. Żmudzin uśmiechał, ale nie zapierał i nie bronił, gdy mu zarzucono, że się w France pokochał. W istocie nie było się czego wstydzić.

— No, ale co to z tego będzie? spytał nareście Burda w tygodni potém, gdy już cały dwór szeptał o miłostkach ładnej dziewczyny, ze żmudzkin, jak go nazywano, niedźwiedziem?

— Co ma być, odparł Rugpiutis, niedźwiedź zwyczajnie niedźwiedź, wydrze barć i pójdzie w las.

— O! tak nie, mój kochanku! szybko i marszcząc się rzekł pan Tomasz, niedźwiedź mógłby dostać po skórze.

— A jakże?

— Niech niedźwiedź weźmie sobie barć na plecy i rusza.

— Wie pan jak się łapią niedźwiedzie w puszczach około Miednik?

— Nie.

— Ja panu powiem! przy barci robią klatkę, meszka lezie do miodu, a wpada w niewolę.

— A na co mu się miodu zachciewa?

— Ba! to prawda! Ale gdyby niedźwiedź zabrał sobie barć, to co będzie miał w dodatku?

— Mówiłem ci już nie raz.

Bartek potrząsnął głową.

— Wie, wielmożny panu co. Gdybym ja się ożenił, a ktoś mi dając posag żonie, chciał kupić moję hańbę...

— To cóż? z przymuszonym śmiechem zapytał p. Tomasz. — To cóż?

— Nie dałbym się.

— Któż ci to napłócił banialuków?

— Tak to, samo przyleciało.

— Zkąd? Nie zkąd tylko z głupich ludzkich języków?

— O! z wiatrem, wielmożny panie!

— Niechże sobie i pójdzie z wiatrem. Wać licha wie co i dla czego wymyślasz. Chcę wyposażyć Frankę, przez wzgląd dla Weroniki. Nie mam do niej żadnej pretensyi. Dość naturalnie mówiąc to ruszył ramionami, ale pomieszany wzrok nie uszedł bacności Żmudzina.

— Żadnej pretensyi? spytał głupkowato Bartek udając łatwowiernego.

— Dajże mi pokój! pogardliwą robiąc minę, rzekł Burda. Taż się to dziecko wychowało u mnie, ani mi się taką wydaje piękną jak wam, bo rosło to ze smarkacza pod memi oczyma.

— No, kiedy tak, to prosiłbym pana, schylając się do kolan Burdy zawołał Bartek, prosiłbym pana o Frankę i o poparcie życzenia mojego u Wielmożnej panny. Niech ją państwo wydadzą za mnie. Mam grunt własny, dworek (nigdy Bartek chatą nie nazywał tego, co istotnie nią było,) mam i sposób do życia.

Radość źle utajona błysnęła w oku pana Tomasza, który natychmiast poszedł do siostry. Bartek porzucił robotę i wyknął się ku garderobie, dając z za bzu znaki France. Franka na próg wybiegła — A co? spytała.

— A cóż! słowo się rzekło.

— A pan?

— Ma mnie z pozwoleniem za dudka, poszedł wesolutki jakby się dopiero na świat narodził. Ale pamiętaj panienko śliczna.

— Wszakżem przyrzekła? dumnie przerwała Franka.

— Ja od dziś zaraz ruszę ztąd niby do domu, ale na zawołanie od zmroku zawsze czatować będę. Jeśliby panu przyszła jaka dziwna fantazyja, proszę mi dać znak albo zawołać, a ja się przystawię w mig.

Tych kilka słów tylko powiedziawszy, rozeszli się szybko; gdy p. Tomasz powrócił przed oficynę już Bartek zamyślony z udaną pilnością czyścił starannie zaklapane peźliska.

— Ciesz się Rugpiutis, rzekł, panna pozwala, ja także,

ma się rozumieć. Dajemy France pięćset złotych, dwie krowy, dwie szkapy ze źrebkami, dziesięć owiec i wyprawę przystojną. Dla sieroty, trzeba coś puszczając ją w świat uczynić. Dzisiaj was zaręczym, a po zapowiedziach ślub. Ale pamiętaj szanować żonę, żebyśmy nie żalowali tego co dla was czynimy!

Żmudzin rzucił się do nóg z pozornym wylaniem i uściśkał je, a podnosząc się rzekł:

— Wielmożny panie, gdyby nie jedna wada, jestem pewny, że Franka byłaby ze mną szczęśliwa.

— No i cóż to?

— Z rodu wszyscy jesteśmy niepohamowanie zazdrośni — Boże odpuść — źli jak szatani i podejrzliwi haniebnie. Już to tak się rodziemy wszyscy Rugpiutisy, ze krwią się to przelewa widać. Mój dziad żonę swoją po pijanemu zabił z powodu jakichś nieforemnych podejrzeń. Ojciec nie raz okrutnie i najniewinniej pierwszą swoją łomotał, stryj skaleczył srodze kommissarza, który się zbyt przysuwał do jego Teklusi.

— Bądź sobie zazdrośny jak chcesz! rzekł markotnie pan Tomasz odgadłszy do czego to zmierzało. Co mnie tam do tego, że wy jesteście zazdrośni.

I odszedł z ukosa poglądając na Bartka. Wieczorem odbyły się zaręczyny suto i huczno obchodzone. Panna Weronika złośliwem wejrzeniem mierzyła Frankę zawsze dumną i milczącą, Żmudziną na pozór oddającego się wesołości i brata, który szeptał coś do ucha raz wraz dziewczęciu. Tomasz zachował się zresztą bardzo przyzwoicie, a postrzegłszy, że Rugpiutis szepty jego uważa, z podelbą już potem tylko rzucał niekiedy okiem ku pięknej czarnobrewie, jakby mówił w duchu:

— Co się odwlecze, to nie uciecze!

Stara panna zdawała się doskonale o wszystkich prawdopodobnych skutkach tego związku oświeconą, znać to było z jej miny szyderskiej i błyszczących oczek. Bartek ciągle

udawał największe zaufanie i uszczęśliwienie niczém niezmaczone, śladu niepokoju i podejrzliwości nie pokazał po sobie. Franka czerwona była jak wiśnia, omięśniona, ale dumna jak zawsze i nieprzystępna. Ludzie dworscy chichotali wskazując palcami to ją, to pana, to Bartka, widzącego wszystko, nawet szyderstwo, ale grającego ślepotę mniślną. Hulanka i tańce przeciągnęły się długo w noc, narzeczony nie spuszczał oka z Franki, gdy się rozeszli, czekał aż p. Tomasz do siebie pójdzie i położył się dopiero spocząć w krzaku bzów pod oknami panieńskiego pokoju.

Rano pożegnawszy wszystkich, zabrał manatki i w oczach ludzi poszedł drogą wiodącą do Nowego Dworu i swojej chaty. Pan Tomasz odprawił go oplaciwszy suto i uczęstowawszy starą gorzałeczką na drogę, nie dość umiejąc pokryć jak był rad, że się go pozbywa.

Po odejściu narzeczonego, zaczął dopiero nadszukiwać po swojemu France, która uprzedzona spodziewała się tego. Stara panna zajęła się tymczasem wyprawą, która nie tak rychło mogła być ukończona, a dla niej nawet nastawał pan Tomasz aby ślub odłożyć. Chciał, jak powiadał, przyzwolicie opatrzyć sierotę. Tymczasem czyhał nie spuszczając z oka najmniejszej sprzyjać mu mogącej okoliczności.

Smutna i brudna historia! Lecz gdybyśmy wszystko niemiłe i wstrętliwe wyrzucić chcieli z życia i powieści, cóżby pozostało? Tak mało jest pięknego i czystego! Życie się składa ze światła i cieni, a powieść, zwierciadło życia, musi nie raz zejść w brudne zakręty żywota, aby odtworzyć w pełni to co się zowie światem i człowiekiem. — Ileżto zgnbionych istot przez podobnych panów Burdów, co zerwać owoc i uwieść młode stworzenie, nanową, upojeniem, siłą, za nic sobie mają?

Na ten raz jednak spelzły zamiary pana Tomasza. Dziewczyna na jego poszepty opowiadała zawsze milczeniem ledwie nie pogardliwem, lub śmiechem gorszym jeszcze. Czasem brała miłostki za żarty, czasem gniewała się prawie.

Burda przywykły do łatwych zwycięstw zrozumieć tego nie mógł. Czas ubiegał z okrutną szybkością, zapowiedzie zbliżały się, a wyprawa jakkolwiek do niej coraz coś nowego dodawano dla przecignięcia, już była na nkończeniu. Co nocy Bartek niepostrzeżony, niespokojny czuwał pod oknami narzeczonój.

Nareście do ostatniej niecierpliwości przywiedziony jednego dnia pan Tomasz, srogie sobie czyniąc wyrzuty, postanowił wcale nie w porze po ciemku wkraść się do pokoju sistry, gdzie od niejakiogo czasu, przeniosła się była Franka, mimo uwag panny Weroniki. Nie wiadomo dla czego stara panna nigdy na klucz drzwi swoich w nocy zamykać nie dozwalała. Sama sypiała w rodzaju alkowy ciemnej, do którój prowadziły drzwi osobne. Brat troskliwy o wygody siostry, niedawno jój w ten sposób urządzić kazał oddzielną sypialnię Służąca, którą teraz zastępowała Franka, sypiała w przedpokoju na wielkim kufrze, a raczej gdańskiej skrzyni, na którój uścielano sienniczek i ubogą pościółkę przenośną.

Gdy wszyscy we dworze już się byli pokładli, skrzypły drzwi, ale razem dał się słyszeć przeraźliwy krzyk Franki:

— Złodziej! złodziej! Głos ten przenikliwy, donośny, rozszedł się po całym domu. Panna Weronika zaszyła się w pościel, lękając nadzwyczajnie złodziei i rozbójników. W téjże chwili prawie kilku ludzi ze światłem zjawili się u okien i w drzwiach. Bartek w ubranin podróżném wpadł z lichtarzem do izby.

— A! to pan! zawołała ze wzgardą Franka.

— A to wielmożny pan! powtórzył kłaniając się nizko Żmudzin. Gdyby p. Franciszka wiedziała o tém nie krzyczałaby tak głośno. To mówiąc uśmiechnął się, ale na żółto. Pan Tomasz w niepojętym kłopotcie zaszył się w kątek i mrugał, kiwał aby go nie wydawano. Wstyd mu było siostry i ludzi. Dziwną rachubą, czy nie wiem jakim ostatkiem wstydu, pan Tomasz sam nadużywając, najsrożej ludziom na pozór wszelkić bronil rozpusty. Najpierwszy do posądzeń,

bez najmniejszego powodu najczęściej rzucanych, karał srogo a sam udawał człowieka najniewinniejszego, najprzykładniejszego, choć wszyscy otaczający go wiedzieli jak się prowadzi i co dokazuje. Powinni byli udawać, że o nic/ém nie wiedzą. Bartek wchodząc natychmiast w położenie dziedzica, obejrzał się, rozśmiał i rzekł niby do stojących za nim u drzwi:

— To nic, to nic. Kot półkę zrzucił i stukotu narobił. Dobry wieczór pannie Franciszce, przechodziłem dziwnym trafram mimo dworu, wracając z Krumli, posłyszałem jój głos. —

To mówiąc dał znak panu Tomaszowi, że wszystko się pokryje. Ludzie odeszli, światło zagasło, pan Tomasz cicho się wysunął z Bartkiem, który rzekł do Franki:

— Niech jednak panienka drzwi zamknie na klucz, bo kot czasem i kłamekę otworzy, jak się sera dowącha.

— Wielmożny panie, rzekł do dziedzica gdy zostali sami, a co będzie?

— A cóż ma być? Dziękuję asanu i —

— Wielmożny pan jak uważam słowa nie dotrzymał i wcześniej chciał mnie wystrychnąć na koziorożca. Ja pod tym znakiem nie rodziłem się. Już nie wypada mi się z Franką żenić.

— Hę! chcesz co wytargować —

— No co tu targ, kiedy to taka sprawa, której opłacić nie można.

— Ale ja palca jój nie tknąłem?

— Gadaj pan zdrów, a ja wiem co wiem! i po wszystkim!

Tomasz rozśmiał się przez próżność, ale zaklął się za raz — Dalifur, panie Bartłomieju, głowa mnie bolała, chciałem dostać z półki konwaliowej wody, i —

— Gadaj pan zdrów! A ja wiem co wiem! powtórzył Bartek. Tymczasem prosiłbym Wielmożnego pana dać temu pokój nadal. Za to co się stało nie zawadzi mi gęby zatkać, nie przeczę, bo jak ludzie, nie wyjmując i mnie zaczął pa-

plać — Pan się stara a Magdalenę Snopkównę z Suchej wierzby, wiem. Ja gotówem panu sam popsuć językiem interessa. A tam drażliwi na to. —

To powiedziawszy Bartek odszedł ukłoniwszy się i zniknął, pan Tomasz gniewny i zrażony poprzestał starań, choć w duchu prędzej później poprzysiągł zemścić się na Żmudzynie. Różne myśli przychodziły mu do głowy. To odmówić posagu, to dać chude szkapy i krowy stare, ale rachował zawsze na przyszłość, nie chciał zrażać Franki i prędko je zarzucił. Przy weselu okazał się wspaniałym i państwo młodzi odjechali udarowani, ubłogosławieni przez pannę Weronikę i jak tylko być może najszcześliwsi.

Pan Tomasz stał w ganku patrząc na odjazd z dość głupią miną, skrobiąc się w głowę. Siostra się uniechała nad pończoszką, on powtarzał po cichu:

— Li li li, zakpili. Dalifur frant ze Żmudzina; proszę o kieliszek starki, panno Weroniko; kat go wiedział, że licho takie przebiegłe.

Gdy Burda odśpiewuje tak Elegią w ganku, na gościńcu Bartek pieje Dythyramb radośny. zacina parę tłustych klaczy, za którymi biegną dorodne łoszaki i dwie krowy śliczne wloką się przywiązane do ładownego wozu. Żona siedzi na zielonym kufrze okutym porządnie. Obok niej rozstawione w przyjemnym dla oka właściciela nieładzie, pudełka, nasypki, graciki.

Z boku wspaniały, malowany wygląda kołowrotek i przęślnica. Za niemi pastuszek najęty poganian kilkoro owiec i świnek długouchych, ciągle wyrrywających się z gościńca dla skosztowania co rośnie na polu. Bartek coraz to się obejrzy na swoją Frankę, piękną jak królowa, ale smutną czegoś, zadumaną. To uśmiech radości, to szyderstwa (gdy spojrzy ku dworowi), błyszczącym mu strzelą okiem. Niebardzo zważa na kamienie rozsypane po drodze, na których podskakują koła wozu, tak urocza dla niego twarzyczka żony. Coraz to ją obejdzie oczyma i pokiwa głową, jakby swojemu szczęściu

nie wierzył; potem zatnie kłacze spiesząc do swojej chaty. Późno wieczór stanęli w Brzozowym ługu, (tak się zwało uroczysko gdzie pobudowana została chata Bartka) i zastali tam już kilka wózków gości sproszonych na przenosiny z miasteczka i ze dworu Starosty. Franka pomieszana ledwie spojrziała na wystrojoną chatkę, na zastawione stoły i zebraną ciekawą gawiedź. Noc była piękna, tańczono w dziedzińcu po księżycu i przy łuczywach do rana, pijani spoczywali pod cieniem drzew i plotem kamiennym.

Nazajutrz około południa całkiem już pusto było w chacie, państwo młodzi zostali sam na sam. Bartek się zamyślił uprzątając w sieni.

— Warto pójść Ś. Antoniemu podziękować za ożenie, bo com się ożenił tom się ożenił, prawda to być musi, że śmierć i żona od Boga przeznaczona! Gdzieby się to kto spodziewał! Z takiego dworu, taki skarb wywieźć! Bo to skarb i klejnot! A! anioły malowane po kościołach nie tak piękne. Skromna, i posażna, wszystko co trzeba w dom mi wnosi. Co zaś najlepsza, że łagodna jak baranek, pokorna i słuchać mnie będzie. Bądź sobie Pan! będę sobie Pan!

To mówiąc zaśpiewał:

— I o nic nie dbam! i o nic nie dbam! Franka już chodziła po wszystkich kątach i gospodarzyła w spiżarni, w obórce, koło koni nawet: ustawiała knfry swoje (w których posag gotówką wypłacony zamknęła) podpierając na ceglach w głowach swojego łóżka. Rozwiesiła obrazki świętych przywiezione z sobą; zgotowała obiad, nakryła do stołu i z progu zawołała męża na jedzenie. Bartek z założonemi w tył rękoma przechadzał się po dziedzińcu.

Wszystkiemu był rad i w wyśmienitym humorze. Po obiedzie, otarłszy usta i przeżegnawszy się, rozparł się Bartek na stoliku i spytał żony:

— A gdzie duszko kłecze od pieniędzy?

— U mnie! krótko i sucho odpowiedziała żona. Tęj odpowiedzi takie towarzyszyło wejście, że Bartek osłupiał.

— A! a! wybąknął, ja myślałem —

— Jak będziemy potrzebowali, mówiła dalej Franka, to się poradzimy i dam.

— Poradzimy się! poradzimy! powtórzył kiwając głową Bartek. Ja bo dotąd tylko siebie samego, a czasem snu się radziłem.

— Naturalnie, bo mnie nie było. Teraz będziesz się mnie radził, przemówiła żona.

— Naturalnie! zagadał głupiejac Żmudzin.

— A jakże.

W oczach i mowie Franki malowała się taka moc charakteru, pomimo słodyczy i wdzięku jęj wzroku w wyrazie całej twarzy rozlana, że Bartek dopiero postrzegł, iż sobie panią kupił.

— Oj! czemu to mnie panna tego wprzód nie powiedziała, mruknął, byłbym się jeszcze namyślił wprzód czy się żenić.

— Teraz już się nie ma co namyślać, odpowiedziała żona. Poszłam za ciebie bo mi gorąco było wyjść z tego domu, choć wiem żeś frant, że lubisz się zakrapiać i próżnować, a pracujesz tylko gdy ci przyjdzie ochota a bardziej fantazyja. Ale to się przerobi z pomocą Bożą.

— A na cóż to się przerobi? spytał Bartek coraz bardziej zdziwiony.

— Będziem oboje pracować szczerze, ciągle i zbierać.

— A, po djabłaż zbierać?

— Na przyszłość, na złą godzinę.

— A dziś?

— Dziś, choćby przycierpieć przyszło.....

— Wiele Aspani lat? spytał nagle Żmudzin powstając.

— Dwudziesty pierwszy.

— Nie może być! Musisz Aspani jak koń wrześniak pokazywać tylko na tyle, ale mieć daleko więcej.

Franka się uśmiechnęła.

— Będziesz miał dostatek w domu, gospodynią, pomoc, ale trzeba statkować.

— Całe życie statkuję, bo nie mogę inaczej.

— I zapomnieć o Justysi.

— Aspani o niej lichu szepnęło?

— Nie, ludzie na wczorajszych przenosinach. Zapomnieć o hulance, gorzałeczce i włóczęgach.

— Za pozwoleniem, rzekł Bartek, któremu się w oczach émiło, bo swobodę i włóczęgę nadewszystko cenił. Ja sfi-ksuję z waćpanią. A co to ma znaczyć?

— Ma znaczyć, że Waćpan ze mną żartów nie myśli stroić. Sam nie masz rozumu, to będziesz mnie słuchał.

— Ja niemał już i rozumu! nie mam rozumu! nie mam rozumu! A! a! Żmudzin chwycił się za głowę i wy-skoczył z izby. — Jezu; Jezu! co ja zrobił! co ja najlepszego zrobiłem! Otom wlaż! a co to będzie za rok, za dwa, kiedy dziś takie lichy — O źle! trzeba radzić.

Chciał zaraz ująć z domu dla szukania rady po świecie, ale świeża, młoda twarzyczka żony ułatwiła zgodę i uległość do czasu. Choć Bartek skrobał się w głowę często i chodził dumać pod płoty kamienne; kluczy od kuferka o które się starał, przypochlebiał, których śpiegował, inacał po kątach, szukał po nocach, żadnym sposobem dostać nie mógł.

— Wyszedłem na dudka!! rzekł jednego ranka po miesiącu pożycia i drapnął rano do OO. Kapucynów do O. Gwardyana na poradę.

— Czy znowu po wapno? spytał starzec śmiejąc się, czy po należne ogórki?

— Aj! aj! gorzej Ojczye wielebny, po radę, po radę, bom wlaż w biedę po uszy.

— No, cóż ci się stało? piec się obalił?

— Żebyż piec się był obalił! — Ale Ojczye Dobrodzieju — wilczysko się ożeniło, uszy opuściło.

— O o o o, doprawdy! A cóż to, Waść się tak zawiódł na żonie?

— Uchowaj Boże! Takem się dobrze ożenił, tak wymienicie, tak doskonale, że aż nadto.

— Cóż to tam, za nadto? Pan Bóg dał może przychówek przed czasem?

— Uchowaj Boże! To cnota sama!!

— Cóż stara i brzydka jak się Waść rozpatrzył? spytał Kapucyn.

— Lat dwadzieścia, świeża jak jagoda, a śliczna gdyby anioł.

— Nie mieszaj waść aniołów do tego, więc uboga?

— Oj nie! Dla mnie to nawet i bardzo bogata i nadto.

— Chyba głupia zbytecznie, włos długi a rozum krótki?

— Żebyż to, Dobrodzieju, ja był na taką trafił! Ale w tém sęk, że nadto rozumna!

— Żle się wie dzie?

— A źle, bo mnie chce gwałtem za nos wodzić.

— Cóż to, ona Waszeci na złe naprowadza?

— Zapewne nie na dobre; chce żebym od rana do nocy pracował i co gorzej, żebym w domu siedział.

— O!... Gwardyan począł się śmiać tak serdecznie, że się aż za brzuch i boki z kolei podtrzymywał.

— Wielebny Ojciec się śmieje, a wiadomo, że gdzie ogon rządzi... Jak to może być żeby kobieta miała w domu być głową?

— To nie daj jój być głową i rządzić.

— A kiedy nie mogę.

— Widać kochanku żeś słabszy. Zdajże się na wolę Bożą. A kiedy cię żona do niczego złego nie prowadzi, podziękuj jeszcze.

— Ja myślałem że mi co Ojciec poradzi!

— Naprzykład, cóżes mógł myśleć, że ja ci poradzę!

— Myślałem, że Ojciec jój to rządziszestwo z głowy

wybić zechce. Jabyń ją tu przywiódł. Bo to nawet bezbożna rzecz kobiecie chcieć rój prowadzić i prym brać przed mężczyzną. Wszak to wiadomo, Ojcie Dobrodziej, że Ewa jak się poczęła rządzić w kraju, tak tém swojém gospodarstwem cały ród ludzki zgubiła. Od téj pory zawsze, gdzie tylko niewiasta króluje, źle się musi dziać... Ztąd, jak mnie proboszcz nauczył Fe — mina .. pfe, mina!

— To prawda, rzekł Kapucyn, ale to złe dawno zostało zmażane, a Waś nie do rzeczy pismo cytujesz i łacinę tłumaczysz.

Bartek poskrobał się w głowę.

— No cóż mi Ojciec Dobrodziej radzi?

— Słuchaj póki na dobre, a gdyby nchowaj Boże do złego cię nawiała oprzyj się; jesteś głową domu, masz prawo.

— Ja jój to ciągle powtarzam, żem głową domu, ale cóż! ona się śmieje z tego. I co jeszcze? Ma kilkaset złotych posagu, a jak mi Bóg miły grosza jeszcze z nich nie widziałem. pieniędzy z kufra nie puszcza a mnie każe iść pracować, zarabiać. Chciałem być na odpuszcie, na mszy świętej, nie dała mi nic na odwilżenie się i posiłek, opuściłem odpust. Ot i grzech. Gotowa duszę moję zgubić. To kryminał.

Ojciec Gwardyan odprawił Bartka naśmiawszy się z niego i rzekł zamykając drzwi celi: Złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Bartek poszedł do Justysi na poradę i spotkawszy się z nią w rynku rozpowiedział jój swoją przygodę. Justysia pokiwała głową jakby mówiła:

— Podwójnie żałuję teraz, żeś się ze mną nie ożenił! A potem:

— Wiesz co Bartku? wybierzno się w drogę a na długo. Udaj gniew, powiedz, że ją chcesz porzucić. Zobaczysz jak ci zmięknie. Oddalno się tylko na jaki czas z domu,

A pan Tomasz? rzekł Bartek zafrasowany.

— Już on do was nie zajrzy.

— Ej! kto to wie! pewny jestem, że czeka tylko aby ja z domu.

I jakby co go ukłuło szarpnął z miasteczka wprost do domu, ale szpiegując żonę zaszedł od lasu. U płotu stał właśnie koń pana Tomasza i pies leżał przy koniu.

— Ot! nie darmo mnie coś piknęło! rzekł w duchu. Podslucham co robią. I podkradł się powoli pod okno.

Franka śpiewała głośno, pan Tomasz mrnczał. Jedno było za stołem, drugie na ławie daleko.

— Żle! rzekł Bartek, odsunęli się od siebie. Może mnie się spodziewają, to musi być udanie!

Ale próżno zaczaiwszy się stał pod oknem, nic nie posłyszał ani się dowiedział. krom że Franka żadnych ofiar przyjąć nie chciała.

— Ale to Herod baba! rzekł w duchu, niczém jęj przełamać nie można! Szalony charakter. I wszedł do chaty z nienacka.

— A, pan Wielmożny tu! zawołał niby z podziwieniem.

— Od dwóch godzin czeka na ciebie, odparła Franka, chce ci dać robotę w drugiej wiosce swojej. którą niedawno okupił.

— Tak! tak! a Wielmożny pan będzie tymczasem moją chałupy pilnował! O! nic z tego.

— Ja bez ciebie się obejść i sama sobie dam radę, pogardliwie odpowiedziała kobieta.

Pan Tomasz zgodził się o jakąś wcale niepotrzebną robotę i mruczając odjechał. Bartek tymczasem zaraz po jego odjeździe, nauczony od Justysi, odegrał z żoną scenę przygotowaną. Ona zniosła ją jakby się do tego przygotowała wcześniej i powiedziała na końcu:

— A chcesz iść! to idź sobie z Bogiem! Szczęśliwej drogi panie Bartłomiej!

Bartek do żywego obrażony poszedł, włóczył się po odpustach, pił, podglądał wieczorami ukradkiem pod chatę na żonę, ale nie do czegooby się mógł przyczepić nie wypatrzył. Franka wzięła sobie dziewczynkę z miasta i starego dziada pijaka najęła za stróża, krzątała się około gospodarstwa, szyła, śpiewała. Widząc, że gniew i oddalenie nie nie pomaga Bartek powrócił. Żona spytała go, co do domu przyniósł?

Bartek odrzekł dumnie: — Brzuch próżny! A gdybym co i miał to do mnie tylko należy — rozumiesz Jéjność.

— Nie, Bartku, odpowiedziała powolnie Franka, co moje to wspólne i co twoje to wspólne. Ale nie dla tego aby stracić lecz żeby zbierać. Już téż i czas o tém pomyśleć, bo wkrótce pan Bóg nam da dziecko.

Zwyczajem swoim Żmudzin poskrobał się w głowę, ale nie znalazłszy języka w gębie zamilkł. Urodzenie syna rozdo-bruchało go nieco, zjednoczyło małżeństwo i ustaliło władzę żony. Franka w niczém nieposzlakowana, pracowita, zawsze wesola i spokojna, odważna za dwoje, co dzień piękniejszy objawiała charakter, zgłupia frant Bartek nie umiał się na nim poznać, ani go ocenić. Dla niego żona nakazująca pracować, oszczędzać, była nieznosną. Uciekał więc jak najczęściej z domu i niechętnie do niego powracał. Wkrótce dał Bóg i więcej dzieci, a matka sama prawie wychowywała je jak mogła. Żmudzin bowiem ze swych wędrówek rzadko jaki grosz przyniósł; tracąc co miał na hulki, na pijatykę, a dalej dalej w lata idąc, często walał się opity po szynkach i gościńcach. Charakter jego z wiekiem nie zmienił się, ale uległ naturalnie prawu powszechnemu wzrostu, rozwinięcia. Cenił jako dowcipniś, wesół gamrat, umiał zaczmucić wybornie, zręcznie grosz wyłudzić, pochlebić, pokłonić się, słabość ludzką wymacać i z niej skorzystać bezwstydnie. Grosz łatwo nabyty nigdy téż go się nie potrzywał, bo go przepił lub z równą łatwością jak sam wyrwał komuś, dawał wydrzeć sobie. Nadzwyczaj nabożny i nie opuszczając żadnego odpu-

stu, uroczystości, nabożeństwa solennego, zawsze się w końcu upijał, a czasem i pobił. Po pijanu marzyły mu się dziwy w mózgu rozpalonym, które wytrzeźwiony opowiadał jako istotne wypadki, widzenia, extazy, zjawiska i t. p. najpewniejszy będąc, że miał je przed sobą rzeczywiście.

Opowiadał naprzykład, że raz ukazał mu się Ś. Antoni grożąc palcem na nosie, za to, że dziewięciu wtorków (nowenny) nie odpościł; o tém że go w drodze szatani całą noc wodzili pod postacią strzelców, zawiedli do jakiejś chałupy, upoili, dali pieniędzy na drogę, lecz gdy się przebudził na-
zajutrz znalazł się w głębokiej puszczy, z której salwował się modlitwą, a w kieszeni pełno osikowych trzasek i czegoś gorszego jeszcze. Innym razem szatan, osobisty nieprzyjaciel jego, miał go do żony i dzieci na swój dworek, stojący na trzęsawisku, przez grobelkę z kości ludzkich zaprowadzić. Tam szatanica, bardzo piękna kobiecina, koniecznie go spokusić chciała, ale on ję w oczy plunął i przeżegnał, wszystko w chwili znikło, a Bartek wyrzucony w powietrze, padł w sadzawkę p. Burdy. Szczęściem rybak tonącego odratował. Ile razy spotkał go kto pijanym, zawsze oszołomienie i nieprzytomność swoją składał na szatańskie figle i prześladowanie doznane. Bredni tych niewyczerpanych lud słucał z uwagą i wiarą. Miewał Żmudzin i sny prorocze, umiał zgadywać zguby i kradzieże, leczyć febry i robaki bydło napadające karteczkami jakiemiś, krwotoki zamawiał skutecznie, ale zawsze z nabożeństwem jakimś lub znakami świętymi

Malarstwo zwłaszcza, że nie wiele miał praktyki, bardzo mu się podobało i ostatecznie na niém poprzestał. A że pokostować nie zawsze było co, począł więc odważnie choć *invita Minerva* malować poczarne chorągwie z trupiami głowy, obrazy wotalne i t. p. do cerkwi i kościółków wiejskich. Skutkiem kilku prób podobnych wziął się za artystę i zdumniał we troje. Nie zniżał się już chyba rzadko do pokostowania, krom krzyżów naddrożnych, które przez nabożeństwo, spotkawszy na drodze nucąc koronkę na wpół pi-

jany często, zapalczywie obmazywał czarno, zielono lub żółto wedle zapasu podróżnego.

Co się tyczy jego obrazów, trzeba by się przenieść w owe wieki pierwiastkowe, po których na całej kuli ziemskiej pozostały nieforenne postacie, trzeba by owe roboty poprzedzające historią malarstwa zobaczyć, aby z nich wyobrażenie powziąć o pracach Bartkach Rngpiutisa. Przypadek był mu jedynym mistrzem, ręka jechała po płótnie w nadziei, że z nieforemnych rysów coś się przecie skleci. W ogólności ręce jego figur dla wygody bywały długie po kolana, twarze przeciągłe, nogi laskowate i cienkie, oczy po chińsku ku skroniom zwrócone w kątach, nosy grubawe, usta zaś dwojakie: dla kobiet male i malinowe, dla mężczyzn szerokie i czerwone. W nosach Bartka nie było wielkiej różnorodności, znalazł ich tylko podobno trzy gatunki: nos orli długi, nos zadarty (którego używał dla Judasza i Iotrów) i nos kształtu kaczego wygięty i wystający naprzód. Oczy malowały się różnie: wzniesione w niebo, spuszczone w ziemię i patrzące wprost. Oko z profilu widziane, malował Bartek dobrodusznie całkowicie i pełnym; utrzymując, że ono tak dalece odmienić się nie może, żeby aż trójkąt robiło. Suknie i draperye mocno kolorowane w cieniach, a blade w miejscach oświetlonych, składały się tak dziwnie, że prawdziwie warte były zastanowienia. W ogólności wypukłości ciemno, a zagłębienia robiły się najpowszechniej jasno. Z czasem nabywszy wprawy Rngpiutis, potworzył na swój użytek więcej typów, które powtarzał nieskończenie. Kolorowane sztychy roznoszone przez Węgrów, wielką mu w studiach jego bywały pomocą. Największym obrazem jego ręki było nkrzyżowanie ofiarowane do blizkiego kościółka w Chorochorowie, gdzie je przyjęto wdzięcznie; Kapucyni bowiem zawieszenia go odmówili. Na niebieszcarném jak atrament malowały się postacie białe jak płótno, długie, chude i połamane. W oddaleniu piorn fręzłowato leciał na Jernzalem. Na wierzchu głównego krzyża był kogutek blaszany zwyczajem nadodróżnych figur, naiwnie posadzony tu przez Rngpiutisa.

Jego ofiara Abrahama z podpisem: Ne utnesz Abraham e Izaaka, znana jest tak powszechnie wszystkim u nas amatorom malarstwa krajowego, że jój opisywać nie widzimy potrzeby, powiemy tylko dla przypomnienia tego arcy-dzieła, że Abraham zabiera się strzelać z pistoletu do syna, gdyby nie Anioł który wielce dowcipnie wystrzał niepodobnym czyni, trafiłby niechybnie Patryarcha, tak dobrze wycelowaną broń artysta przedstawił. Rugpiutis podniosłszy się do malarstwa obrazów kościelnych, tak spyszniał, zdumiał i poczuł wielkim, że całym już poczał pogardzać światem.

Wyłysiał też od myśli i pijaństwa, co mu nadawało wyraz poważniejszy, zwiększając male z natury czoło.

Jéjmość rządziła zawsze domem, ale malarz wędrowny, większą część życia spędzający na pielgrzymkach fantastycznych, uchylał się z pod jój władzy i unikając jój milczkiem przeciwko nadużyciom protestował. W domu milczący był i gniewny, ale hamując się potrafił przyzwoicie obchodzić. Najsrożej gniewał się na żonę za to, że nie mógł do niej za nie się przyczepić, że postępowanie jój było nieposzlakowane i nie dawało powodów nawet do najmniejszego podejrzenia. Rugpiutis cierpiał zawsze obwiniony, nigdy obwinić nie mogąc. To mu życie trnło.

— Żeby też choć jakiegokolwiek głupstwo zrobiła! powiedział. Ale nie. Już to takie moje szczęście!

Tak płynęły lata małżeństwa naszym. Pan Bóg dał im syna i dwie córki, które wychowywały się pod okiem Franki, pomimo bowiem czułości jaką okazywał im ojciec, nałóg włóczęgi i pijaństwa nie dozwalał im nigdy długo na miejscu usiedzieć. Osamotniony w domu zaczynał ziewać, młodzić się, mruczeć, gderać, gniewać, i rozdąsany chwycił za kij, ruszał do miasteczka, potem dalej a dalej gdzie oczy poniosły. Od dworu do dworu wszędzie znajomy, wszędzie witany dla swój weselości i rozlicznych talentów kabalisty, wróżbita, artysty i plotkarza, choćby roboty żadnej nie było zatrudniony, traktowany, częstowany starką, przyjmowany po

karczmach piwem i miodem; musiał się rozwłóczyć. Sąsiedztwo przywykło do niego, jak do roznosiciela plotek, wieści, do gaduły wesołego i dowcipnisia. To gubiło Bartka podsycając jego próżniactwo i dumę. Żmudzin doskonale wiedział gdzie wstąpić jako malarz, gdzie jako pobożny pielgrzym, pełen widzeń i snów cudownych człowiek. Żona płakała widząc jak nic nie przybywa krom dzieci; kilka razy próbowała pytać go o ich przyszłość.

— Przyszłość, moja pani, mówił Bartek na to — przyszłość przed niemi. Pójdą w świat i po wszystkim. Jak sobie pościelą tak się wyśpią.

A matka płakała.

Na starość Bartek stawał się coraz obojętniejszym dla domu i rzadszym w nim gościem. Widzenia cudowne, sny prorocze, podróże pijaka, w których najłatwiej mógł nałogowi się swemu poddawać, coraz częstsze się stawały. Wracał kiedy niekiedy, pijany, z nóg się waląc, a niedostawszy wódki w domu, bo tej nigdy w Brzozowym ługu nie bywało, ruszał nazajutrz dalej, malując przez nabożeństwo drewniane krzyże po drodze. Stare podnosił, pochylone podpierał, obmyte od deszczu piększył; nie zaniedbując u spodu zapisać: B. R. restaurował. Jak wielu ludzi co źle robiąc myślą, że czemś maleńkiem dobrem, wszystkie winy zapłacą, malarz może w duchu tłumaczyć sobie, że za te krzyże Bóg mu jego grzechy odpuści.

Śmierć tego wielce oryginalnego człowieka, była też niepospolicie dziwném zdarzeniem.

W sąsiedztwo zjechał był na jakiś czas, dla polowania niby, z Warszawy Kasztelan Trąbski; człowiek młody jeszcze, wychowany na dworze Augusta III; wielkiego upodobania w sztukach, wykształconego smaku lecz dziwnie samowolnego charakteru. Kasztelan nasz, napatrzywszy się na obrazy i dzieła sztuki w zbiorach Augustów i naśladowcy ich Brühla, nie tylko pojmował sztukę w sposób właściwy wiekowi, wedle

przepisów Lairess'a i Mengs'a, ale kochał ją namiętnie. Przybywszy na wieś znalazł kraj swój (pierwszy raz oddawna go oglądał) tak po większej części prozaicznym, tak we wszystkim, co zrobił w nim człowiek, nie pięknym; iż go to zdziwiło, zasmuciło, potem znieczepiło i zniechęciło do niego. Trąbski z wielu względów miał słuszość: gdziekolwiek bowiem człowiek u nas co zbudował, zasadził, przemienił, zdaje się, że myślał tylko jakby kraj swój zeszpecił. Najmniejsze nawet instynktowe uznanie piękna, nie przewodziło czynności. Piękne prawdziwie położenia leżały dzikim odłogiem (i dziś jeszcze po większej części tak zostały); inne widocznie zbrzydzone i zepsute były lub najnieszczęśliwiej wybrane Kasztelanie spodziewał się szwajcarskich szaletów, domków niemieckich, a zastał chaty podobne do indyjskich wigwamów, płoty wysokie, rowy błotniste i budowy podobniejsze do stosów drew niż do pomieszek ludzi. Nigdzie nie odzywało się to boskie uczucie piękności, które żyje w człowieku, ale się nie łatwo rozwija na północy. Cóż dopiero mówić o ludziach! Kasztelanie co zachwycił się lazzaronami neapolitańskimi, zawsze zdaje się gotowymi służyć za wzór malarzowi, odwracał oczy z niesmakiem od naszych łachmanami nieszlachetnymi okrytych kobiet i mężczyzn, którzy zwłaszcza zimą, chodzili jak ożywione bezkształtne bryły bielizny i futer, podobni Eskimosom. Czasem tylko na tém tle szarem krajobraz podobny do widoku klasztoru Kapucynów, piękny i tém piękniejszy, że się go już zdesperowany podróżny nie spodziewał; wpadał mu w oko nagle. Ale ten sam pejzaż psuły blizkie sznury chat wieśniaczych swą niekształtnością, brudotą, zaniedbanie, świadczące wymownie o stanie chłopka, niemającego ani wiary w przyszłości, ani żądzy podniesienia się ku wyższemu a przecież dostępnym gdzieindziej dla jemu równych, losom. Zmuszony przepędzić czas jakiś na wsi pod pozorem zabawy, a w istocie z powodu wypadku politycznego do którego wmieszany, musiał na jakiś czas ze stolicy i oczów się usunąć, Kasztelanie śmiertelnie się nudził. Szukał roz-

rywki i myślał o niej tylko jak o warmuku życia. Dwór, który objął po ojen nazywający się Troba (po litewsku izba, budowla) chociaż nie w kraju języka litewskiego dzisiaj położony, pochodzeniem nazwy świadczył jak inne sąsiednie, że i tu się dawniej rozciągała litewszczyzna. Był to stary folwark wzniesiony z pruskiego muru, o wysokim dwupiętrowym dachu i ogromnym ganku. Zrujnowanie i malowniczość (wedle dzisiejszego wyrażenia) téj budowli, ogromne, stare, otaczające ją olchy i blizki staw, przypominające razem pejzaż jakiś Breughla, zjednały łaski Kasztelanica. Zamieszkał tu bez wstętu, ale dla zabawy zajął się upiększaniem okolicy, o której dotąd nikt nie pomyślał, aby była piękną, prócz Boga. W téj porze właśnie ozdoby zwane rnsykami, z drzewa, nieobranego z kory, wchodziły w modę bardzo. Zastawiano ogrody niezliczoną ilością chatek, świątynek nawet, mostków, skał (właściwiej skałek) i rozlicznych pięknostek, których myśli zapożyczano u chińskich ogródków. Kasztelanice coś podobnego przedsięwziął zrobić u siebie. Około domu zasadzono kwiaty, zrzucono stare otaczające budowle, oczyszczono zarosłe brzegi stawu; a bociany na starych olszach podobno dla tego tylko miały pozwolenie pozostać, że na sławnym jedynym pejzażu Rubensa, gniazdo ich się znajduje. Na rzeczce rzucano most rnsyk; postawiono chatę rybaczą w tymże smaku dla labędzi, obwieszoną sieciami i kłótniami dla ozdoby; dalej wzniosła się świątynka rnsyk i t. d. i t. d. Na przeciwnej stronie stawu nad drogą, stała między dwoma massami olch starych i wyniosłych, odwieczna polamana figura Ś. Jana, Kasztelanice chciał ją bez ceremonii kazać wyrzucić, ale mu to jakoś odradzono, bo lud pobożny uważał ją za opiekunczą i byłby nie zniósł świętokradztwa popełnionego dla fantazyi pańskiej. Chcąc się przecież pozbyć nieforemnego posągu i niezgrabniejszej jeszcze okrywającej go kapliczki, wystawił Kasztelanice gotyką lekką, nową; a pod nią umieścić sprowadzonego z za granicy kamiennego Ś. Jana — wcale nie zły, chociaż trochę manierowany posąg.

Ludzie uwielbiali pobożność dziedzica i w imię jój wiele mu darowali dawniej nieprzebaczonych dziwactw.

Kapliczka była kamiennego koloru, posąg naturalnej barwy kamienia także. Dawniej Ś. Jan tę miał wyższość w oczach wszystkich, że był polychromem, (vulgo pomalowanym kolorowo).

Po za figurą szła droga z Zasiszek na Nowy Dwór do Brzozowego Ługu wiodąca. Wracający tedy raz i trochę podpiły Bartek, nad wieczór jakoś trafił na nową figurę.

— Cud! zawołał, nowa! dalibóg nowa! i wcale piękna! To tylko bieda, że fundator poskąpił kosztu na pomalowanie, boby była daleko piękniejsza jeszcze. Niechże się wstydzi, bo mu ją muszę pomalować, jakem Rugpiutis. Prawda, że farb wyjdzie na to nie mało; ale na cześć i chwałę Bożą, na pamięć Ś. Spowiednika nie pożałuję.

To mówiąc złożył manatki na trawie, rozsiadł się, dobył farb z tłómczka, nauczywszy się niedawno nosić je z sobą w pecherzykach, dostał deszczulki gruszkowej, pędzłów i wdrapawszy się za żelazną kratę otaczającą posąg wziął się serio do Ś. Męczennika Pragskiego. Twarz błysła rumieńcem, oczy zaczęły zezować, bródka stała się widoczną, birecik okrył czoło, stula, suknia i popielicowy płaszcz i komża, właściwemi kolorami oddane (styl Rugpiutisa) zostały. Rugpiutis uśmiechał się do siebie i mruczał pod nosem:

— Oto się zadziwią! oto się zdumieją poczciwe ludziska! a! a! zaraz powiedzą, szedł tedy Rugpiutis.

Robota zbliżała się do końca a Żmudzin już się nią rozkoszował, gdy tentent koni i krzyk dały się słyszeć. Kąsztelanie w rozpacz dostrzegłszy zdaleka roboty fatalnej, leciał w passyi, w gniewie, zajadły tak, że z początku słowa wyrzec nie mógł.

— Co robisz łotrze! zawołał, co robisz zbójco! rozbójniku! Co robisz!

Bartek odwrócił się nie rozumiejąc o co chodziło. W głowie mu się pomieścić nie mogło, za co go tak apostrofowano.

— Łotrze! łotrze! powtórzył nareszcie odwracając się swobodnie. Co to jest? Za co ten krzyk? Maluję na chwałę Bożą! A pan czego się tak gniewa?

— Kto cię prosił o malowanie, zbójco!

— Zbójco? Co to jest? jak żyję nie słyszałem podobnej mowy do siebie!

— Kto ci pozwolił?

— Kto pozwolił! Albo się to potrzeba starać o pozwolenie żeby figurę pomalować? Ja od lat dwunastu wszystkie krzyże i figury po drogach na chwałę Bożą i dla odkupienia grzechów maluję.

Bartek przyłożył pędzel znowu do figury, ale kasztelanie zbliżając się zawołał z impetem:

— Porzuć to i uciekaj głupcze, bo cię każę oćwiczyć.

— Oćwiczyć! mnie! mnie!

— Idź! mówię ci idź! jeśli po uszach oberwać nie chcesz.

Bartek począł się lękać o siebie, ale dotąd nie mógł zrozumieć o co chodziło. Zebrał pędzle i farby i milcząc przelał powoli przez kratę rzucając wzrokiem pogardy na dziedzińca.

— Zmywać! ścierać, szorować! zawołał kasztelanie w rozpacz. Ten łotr obrzydził mi posąg wyborniej roboty i takiego efektu. A! sto łóz za taką sprawkę byłoby mało. Na galery! na galery! (kasztelanie wychowany za granicą myślał dobrodusznie, że w Polsce były galery)

— Co to jemu jest? spytał Bartek ludzi po cichu. Czy nie oszalał wasz pan?

— Idź mi z oczu! idź mi z oczu! zakrzyczał w tej chwili kasztelanie, zamierzając się pejcem, który trzymał w ręku.

— Mój panie, odparł prostując się dumnie Żmudzin, jeśli nie dla chwały Bożej tylko dla swojej fantazyi jakiejś stawiasz figury, mniejsza o to, choć się gubisz na duszy; ale

co do mnie, ja miałem prawo malować, jak baby mają prawo wieszać fartuszki na krzyżach; to moja ofiara.

Nie dosłuchawszy tych słów kasztelanie zniecierpliwiony podniósł pejcz i kropnął nim Żinudzina. Bartek zdumiał, oburzył się, wzdrygnął, zczerwieniał, chciał coś mówić jeszcze, wyprężył tylko konwulsyjnie, i padł bez ducha.

Zmieniła się scena i wszyscy od Ś Jana pobiegli do leżącego Bartka, ganiąc milczeniem wymowną popędlivość i niewyrozumiałość kasztelanica. Puszczono natychmiast krew uderzonemu krwi przystępem do głowy; lecz pomimo najwię-, kszego starania, pomimo troskliwą pieczę samego winowajcy sprowadzenie doktorów, śmierć już zapewne przygotowana nadużyciem trunków, w kilka tygodni przyszła zakończyć prace i kłopoty Bartka Rugpiutisa.

Kasztelanie srodze wyrzucając ją sobie i dręcząc ję wspomnieniem, z największą troskliwością postanowił zająć się losem wdowy i dzieci. Pogrzebał wspamięta kosztem swoim Bartka na kapucyńskim cmentarzu; parę tysięcy złotych obiecał wdowie, procent od nich zaliczywszy zaraz; pomyślał nareszcie i o dzieciach.

Franka, która jak większa część prawdziwie pięknych kobiet zatrzymała długo piękność swoją, czarnemi hiszpańskimi oczyma ujęła za serce kasztelanica. Oddawna nie ludzkiego w tym kraju nie widząc, poruszył się pan Trąbski wejrzeniem ję, pełnem nieodgadnionych tajemnic. Lecz wdowa przyjmowała go poważnie, zimno, snrowo, a kto wie czy ta duma smutna nie przyczyniła się jeszcze do rozdrażnienia młodego znudzonego łatwemi miłości człowieka?

Często wieczorami kasztelanie przyjeżdżał do Brzozowego łągu; ale odjeżdżał smutny, zamyślony i pomieszany. Nie mógł zrozumieć tę biednej ubogiej, prostej kobiety, do której przystąpić śmiało nie miał odwagi. Dzieci tylko szczerbiotaniem go witały, bo im przywoził zabawki i podarki; ona zimnem wejrzeniem i wyrachowanemi słowy.

Starszy syn Bartka, Jan miał już lat około dwunastu,

podobny do matki, piękny jak aniołek Albana, jak dzieciątko Guida z czarnemi oczyma wielkimi, podłużną twarzyczką, ciemnym włosom, biały i zaledwie rumieńcem lekkim niekiedy ożywiający się, był ulubieńcem kasztelanica. Matka także najlepiej podobno z dzieci go kochała, chociaż to przywiązanie tajone, ledwie się czasem mimowolnie objawiło. Kasztelaniec długo karmiąc nadzieję podobania się wdowie, wreszcie zawiedziony, zamiast mścić się i opuścić ją, powziął dla niej jakiś czułości pełen szacunek. Nie przestał bywać w chacie Rugpiutisa, a Franka widząc, że się rzekł dawnych myśli, przyjmowała go z wdzięcznością pełną jednak jakiegoś uczucia własnej godności, nigdy jej nieopuszczającego.

Piękny był ranek, gdy jadący z chartami kasztelaniec mimo dworku nieboszczyka Bartka, zastanowił się u wrót dla powitania gospodyni. Sądząc, że ją gdzie koło domu zobaczy wspiął się na strzemionach, ale pusty dziedziniec zmierzyl okiem ciekawem. Jaś tylko jeden za plotem kamiennym siedział nieruchomy i na płaskim szarym glazie upadłym z ogrodzenia, rysował coś kredą białą. Stare psisko podwórzowe z miną głęboko zamyśloną siedziało koło chłopczyka i zdawało się wpatrywać w niego, czy w dzieciną jego robotę; kasztelaniec ciekawie się zastanowił po cichu. Przypomniał mu się młody Angelo Bondone (Giotto) rysujący owieczki swój trzody; uznał w tém oznakę talentu widząc dziecię tak pilnie zajęte rysunkiem; myśl mu przebiegła po głowie zrobić z niego malarza, jak Chinabue z Giotta.

— Jasiu! zawołał po chwili, dobry dzień waszeci. Co to robisz?

Pies i dziecko razem głowy podnieśli, a nśmiejch i rumieniec na pięknej wykwitły twarzyczce. Stary Rozbój ogonem pokiwał i na płot w spiąwszy się radośnie szczechnął.

— Co robisz? powtórzył pan z uśmiechem.

— Co? maluję! odpowiedziało dziecko poważnie i powoli powstając.

— Cóż malujesz?

— Obloki! odparł Jaś. Ale tatulo mój ładniej malował bo farbami. Ja ich nie mam tylko biało mażę po kamieniu. Jak nie ma co robić, całe godziny się tu bawię.

— Chciałżebyś, rzekł kasztelanic, lepić od tatula twego malować? Chciałbyś się uczyć?

— To nie dla mnie, odpowiedziało smutnie dziecko. Matnia co dzień powiada, że czas mi pójść służyć a na chleb pracować. Kto się uczy ten nie zarabia.

— Jaby ci pomógł gdybyś miał ochotę.

Jaś wyskoczył na płot rzeško, oczy mu się zaśkrzyły, obejrzał się i rzekł po cichu ze strachem prawie. A matula?

— Matka się na to zgodzi, bo to chleb piękny i więcej coś niż chleb jeszcze, sława, imię. —

Dziecię nie zrozumiało wcale, ostatnich słów kasztelanica.

— Jakto? zawołał Jaś żywo, jaby umiał doprawdy malować i ludzi i obloki i lasy i niebo endowne i wszystko co Bóg tak prześlicznie stworzył. A panie! nie żartuj! nie żartuj! serce mi bije.

— Nie żartuję mój Jasie, ale wprzód potrzeba ci się pójść nauczyć czytać, pisać.

— Czytać umiem, pisać piszę. ale bardzo brzydko.

— A maszże ochotę uczyć się?

— O! gdyby tylko można, takbym był szczęśliwy!

Kasztelanic schylił się do dziecka, które uderzył parę razy po zarumienionej twarzyczce, potem zawrócił konia we wrota dziedzińca. Franka ukazała się właśnie na progu.

Po przywitaniu, usiadłszy na ławie ręką Bartka wystruganej, kazawszy podać sobie mleka, młody protektor począł

mówić z matką o Jasiu. Jaś przysłuchiwał się niespokojny z za drzwi.

— A co moja Jéjmość, rzekł, wartoby pomyśleć co o Janie?

— Gdyby można odparła wzdychając wdowa, gdyby można! Dawno go myślę gdzie oddać, ale boję się żeby się nie popsuł i żal mi stracić go z oczów.

— Znalazłem go właśnie teraz rysującego coś na kamyku. Ma ochotę, mógłby może wyjść na malarza, jaby mu pomógł.

— A! panie! Tyle tylko odpowiedziała kobieta i łyzy jej stały w oczach.

— Pomyślimy o tém, rzekł kasztelanie schylając głowę, pomyślim i postaramy się.

Nie było sposobu unieszczenia chłopca dla nauki malarstwa inaczej jak w Wilnie, gdzie kasztelanie polecił wyszukać malarza, u któregoby początków rysunku Jaś mógł się nauczyć. Ale nie łatwo o to naówczas było w Wilnie. Wprawdzie i tam powolnie budziło się już zamiłowanie sztuki: znajdowali się ludzie co tworzyli Gncewiczów, co skupowali obrazy i okrywali niemi ściany swych pałacyków; ale nie było nauczycieli malarstwa ani kursu przy akademii. Kilku bazgraczy, portrecistów, kopijstów, składali cały zasób artystyczny miasta Wilna. Trochę na los wywiedziawszy się o nich kasztelanie więcej podobno na ucznia niż na mistrzów rachując (bo nadewszystko w talent wrodzony wierzył) pierwszemu z brzegu niejakiemu Szyrko, posłał swojego wychowanka.

Jaś splakawszy się przy pożegnaniu, upadłszy do nóg kasztelanica, który mu woreczek wcisnął do ręki, obłany łzami matki, wyściskany od dwóch siostrzyczek, na żydowskiej furze, puścił się w pierwszą podróż życia.

Któż opowie wrażenia tych dui kilku tak zupełnie nowych dla niego?

Jan, gorących ale głęboko tajonych uczuć, wyobraźni żywej, pełen szlachetności, którą mu matka wpoila, nabożny,

bo go go od dzieciństwa otaczało nabożeństwo, należał w tej porze życia do dzieci naiwnych; czujących więcej niżeli myślących, rozkoszujących się światem więcej niż usiłujących go badać. Dwojakie bowiem bywają zwykle dzieci. Dzieci co się z siebie samych i ze swego dzieciństwa śmieją w niem jeszcze żyjąc, co szydzą ze wszystkiego i wszystko przyjmują jak przypomnienie, jak coś dawno znanego a po śnie długim powitanego znowu; i dzieci naiwne (do nich to Jan należał) dla których wszystko zachwyceniem, pięknością, wielkiem i wspaniałem, które nie wyuczą się ironii i szyderstwa chyba zgwałcone i przymuszone cierpieniem i zawodami długimi. Dziecię nasze było już ślicznym chłopięciem, jakim malują Ś. Jana Chrzyciela na pustyni, białe ale ogorzałe, czarnookie, z tym ławem spojrzeniem uczuciowym ludziom właściwem; zamyślające się często i na długo, gotowe do łez nawet wśród śmiechu i wesela.

Duma, matczyzna spuścizna, już mu się odzywała w piersi; a ta dumna czyniła go pokornym. Tak jest: prawdziwie dumni ludzie chowają się z dumą swoją, okrywają płaszczem pokory, aby nie dać się ranić w to, co mają najboleśniejszego. Głupcy tylko dumni, swój skarb, dumę noszą na głowie, pokazują ustawicznie i dają na cel ciosom wszystkim.

Dla Jasia, który nad miasteczko, kościół Kapucynów, ogród kapucyński, Zasiszki, Nowy-Dwór i Trobę, mało co znał więcej — świat wydał się ogromny i wspaniały. Dotąd zdawało mu się może, że niebo zapadające sinemi zasłony za widnokrąg, gdzieś niedaleko nieprzebite stawi zapory; teraz pierwszy raz poczęło mu wszystko uciekać z przed oczów, wyciągnął się świat, przedłużyła ziemia i zarysowała nieskończoność.

Coraz nowe przedmioty ściągały jego uwagę nienasyconą, nie mógł spać, żał mu było szybkiej jazdy. Nieznane kwiaty, nowych postaci drzewa, dziwne wód zakręty, wyrwy nad rzek brzegami, szerokie złociste drogi, ludzie w takiej

liczbie i coraz tak odnieniami; kamyczki nawet chrupiące pod kołami: wszystko go zachwycalo. Ptastwo, którego śpiewn dotąd nie slyszal, chaty jakich nie widzial, kościoły białe z przysadzistemi wieżami, gaje przezrocyste z brzoź białych stojące nad wodami jak płaczliwe narzeczone nad grobem, zda się przybiegle i zardzewiało od żalu, dziwnych nieznanych myśli napędzały mu do głowy. Co chwila chciał uprosić Żyda aby stanął, pozwolił mu patrzeć, ale Izraelita, który chłopca miał za trochę postrzelonego, odwracał się na niewyraźne pytanie milezący, ruszał tylko ramionami i popędzał konie. Był najpewniejszy, że wiezie biednego do szpitala waryatów.

Tak przecie dojechali do Wilna. Tu go już czekał pan Szyrko. Przypatrzywszy się zbliżka nauczycielowi jakiego los wyswatał dla Jana, nim znów do ucznia powrócił.

Pan Szyrko, człowiek lat około pięćdziesięciu, był sobie bazgraczem jednym z najpospolitszych; typem malarza jakich i dziś u nas mnóstwo się znajdzie jeszcze. Trochę nabytą zręczności, trochę szczęścia i trochę szyderskiej protekcyi Biskupa Massalskiego wywiodły go na dostojność artysty. Trzymał się na tém stanowisku jak mógł. Spojrzawszy nań już się po nim wielkich rzeczy spodziewać nie było można. Miał gruby, otyły z siwym włosem w hacapf ujętym, po niemiecku ubrany, w szaraczkowym zwykle na przednich kłapkach zatabaczonym fraku, białej pomarszczonéj kamizelce, z żabotem przypiętym szpilką nazywającą się złotą, w białych niegdyś pończochach i trzewikach z klamrami stalowemi; miał minę wesolą, radą sobie a uroczyście głupią

Ten wyraz głupstwa w oczach bladych, spłowiałych, ustach śmiechem wykręconych, w nosie trochę zadartym a jak u zwejnosza rozbitym w końcu na dwoje, w brodzie przeciętym rowem, i w mince bez powodu czasem dumnej niby lub zamysłonéj głęboko; dobitnie się malował. Cały Boży świat żartował sobie z Szyrka, który pomimo to nigdy

się nie opatrzył, iż był szyderstwa celem, że zawsze i wszędzie drwiono sobie z niego. Dla niższych nieco był niełitościwie grubiański, srogi, a tém sroższy. że głupi, nie wiedział więc gdzie i z kim jak mu być należało.

Kiedy czasem ukazał się na publicznej przechadzce z laską o galce kościanną, z pudłem faworytem misternie wystrzyżonym na lewka i pełną satysfakcyi miną; wszyscy spotykający odwracali się patrząc na niego i uśmiechali z zadowolenia, tak wybornie był śmieszny. Znajomsi zatrzymywali go częstując tabaczką i poddrwiali rozmawiając. On wszystko co go spotykało brał dobroduszenie za wyborną monetę, za dowody życzliwości i przyjaźni powszechniej. Utrzymywał nawet czasem, że mało było ludzi równie kochanych i powszechnie lubionych, mało kto mógł się poszczycić taką jaką jak on liczbą przyjaciół. Miał się w duszy za człowieka pełnego przymiotów towarzyskich, za zjadacza serc.

W stosunkach z plecią jeszcze naówczas zwaną piękną, pan Athanazyusz (takie nosił imię umyślnie na-usz zakończone) był tej wyszukanej grzeczności francuskiej, śmiesznej i przesadzonej, której przykłady pozostały nam jeszcze w niedobitkach XVIII wieku z siwemi włosy grających rolę młodzików i prawiących komplementa niezgrabne a propos kataru, upadłej chustki lub rozlanego sosu. Niegdyś Athanazyusz miał się za pięknego, pod starość podejrzewał siebie, że jeszcze mógłby być niebezpiecznym; miał sobie niejako za święty obowiązek smażyć cholewki do wszystkich dam (sam zwał się z cudzoziemska kawalerem Athanazynszem) i jakby się wyczerzył historyjki miłości na obrazkach sielankowych XVIII wieku, często pasterki i pasterzy Arkadyjskich wspominać lubił w rozmowie z plecią nadobną. Mowa jego z niższemi grubiańska, z kobietami w lepszym towarzystwie była napuszczoną, pełną słów niepotrzebnych, ponapychanych w niesłychanej ilości, czezą myśli, rozwlekłą i ciągle na szczudłach wzniesioną. Najmniej zrozumiałe a najwięcej dźwięczące wyrazy, były mu najulubieńsze: kilka ich uko-

chawszy szczególnie co chwila je powtarzał potrzebnie czy nie. Uczciwym był zresztą człowiekiem jak ci wszyscy co otwarcie złego nie nie robią; głupi może być kiedy całkiem uczciwym, gdy na czém polega uczciwość zrozumieć nie jest w stanie, a uczucia mu braknie?

Jak wyszedł Szyrko na malarza? zabawna historia. Z młodu mazał on wprawdzie dla kawałka chleba poczwarne obrazy do wiejskich cerkwi i kościolków, chorągwie i t. p. potem wziął się do malowania pokojów. Biskup Massalski (a raczej jego plenipotent) polecił mu malowanie domu mającego czasowie być mieszkaniem księcia. Szyrko dzieła tego wszakże sam dokonać nie czując się w stanie, przybrał do porady i pomocy jakiegoś starego Niemca, co na tym chlebie zjadł zęby. Zarozumiałość malarza tak śmieszyła księdza Biskupa, że ją począł podsycać winawiając mu aby się starał większe dzieła przedsiębrać. Szyrko posłuszny, rozmarzony począł zuchwale rysować, malować i biskupiemi pochwałami ludziom oczy mydlić. Biskup pękał od śmiechu, kupował roboty, pokazywał przyjaciołom te twory nieuprawnego talentu, a tymczasem Szyrko doprawdy trochę się poduczył. W końcu nabywszy przy innych malarzach mechanizmu, którego głupcy zawsze najlepiej nabyć mogą, kontentując się robotą portretów i kopiami dosyć wiernemi, a często po chińsku nawet plamy wzoru odtwarzającemi; Szyrko pomieścił się w rzędzie malarzy. Głośno o tém zawsze mówił, że go książdz Biskup protegował i bardzo się tém przechwalał. W istocie kromi zupełnie nieznających się, wszyscy śmieli się z Szyrka; a tłum za to miał go może w dobrej wierze za wielkiego artystę. Biskup i jego otaczający, gdy Szyrko przyniósł obraz z jakiego sztychu bardzo znanego zrobiony i pokolorowany niezgrabnie, mieli upodobanie unosić się nad kompozycją. On przyjmował wszelkie pochwały dobrodusznie, dumnie prawie, z uśmiechem udającym skromność, której wszakże potrzebę wywyższając się rozumiał. W sobie nieraz jednak zmuszony był powtarzać:

— Ktoś z nas dwóch musi być głupi, ale to pewna, że nie ja.

Szyrko miał roboty w mieście, portretował stare baby, otyłych panów burmistrzów, kupców i bogatych mieszczan pragnących potonności podać nos czerwony lub obwisłe policzki. Czasem trafiało mu się, że zamawiano obraz do jakiego wiejskiego kościoła. Naówczas szukał sztychu w tece lub obrazu podobnej treści i najbezwstydniej przemałowywał *mutatis mutandis*; ale śmiało, ale z taką pewnością, iż przysiągłbyś, że był pewien *exystencyi* muskułu lub żyły gdzie je zuchwale oznaczał, chociaż anatomik byłby to przyjął z podziwieniem za wcale nowy wynalazek. Trafiały się tak osobliwsze ręce i tak dziwne skurcze u pana Szyrko, że ksiądz Biskup wielki znawca. cały dzień śmiał się do łez, stojąc przed obrazem. Gdybyż Massalski umiał się być całe życie kontentować tą niewinną zabawką!

Jaś, jak widzicie, nie wiele mógł się od takiego mistrza nauczyć. Szyrko, który pierwszy raz w życiu miał ucznia, trzy dni spodziewając się go chodził po mieście i nieznacznie się tym wielkim wypadkiem w życiu przechwalał.

— Wiesz panie Micleski, muszę się śpieszyć do domu, co chwila spodziewam się ucznia, którego mi przysyłają z prowincyi. Chłopiec pełen nadziei, protegowany przez Kasztelanica Trąbskiego, który słysząc o mnie...

Daléj kupując tabakę w sklepie:

— Dzień dobry pani Matjasowa, proszę prędkiej o tabaczkę, bo się spieszę. Otwieram szkołę malarstwa: dziś mi uczeń przybywa, zdaleka, z prowincyi, protegowany etc.

Potem spotkawszy się z kimś znowu:

— Cha! cha! wie pan, nowa praca! nowe trudy.

— Nowy obraz?

— A! gdzie tam! Uczeń mi przybywa z prowincyi. Co chwila go wyglądam. Protegowany Kasztelanica, który słysząc o mnie etc.

Całe więc miasto wiedziało o wielkim wypadku, jeszcze przed przybyciem Jasia. Szyrko seryo wieczorami zamyslał się czego i jak uczyć będzie. Nie lepić nie mahije człowieka nad te rozmysły pierwszy raz z potrzeby wylęgle.

— Czego ja go uczyć będę? Jak? Oczywiście trzeba mu dać coś rysować. Uchowaj tylko Boże przez okno! Tego potrzeba surowo pilnować. Naprzód będzie rysował ze sztychu, potem z natury, potem farby trzeć go nauce; a nareszcie jak postąpi i malować. Najważniejsze to mieszanie farb i trzymanie pędzla, rysunek jako tako zawsze się znaleźć musi, tyle ich po świecie! Co się tyczy natury, ta tylko dawnym początkowym malarzom była potrzebna; teraz weszła już w sztukę ile jej się może zmieścić i pod panowaniem jest naszym. Co nie zmieściło się, tém gorzej dla natury musi zostać na stronie. Znany teraz naturę na palcach i możemy się wybornie obejść bez żywych wzorów. Wzięliśmy dla siebie co było do wzięcia, a z reszty kwita. Tak, najważniejszy cień a farba. Przecież trzeba mu będzie dać co rysować: pożyczę sztychów u Batraniego, niech się pastelem, kredą i tuszownikiem z niemi mierzy tymczasem. Ja sam nie rysowałem prawie nic, a przecież wyszedłem na malarza Biskup mówi zawsze: Przeniechałeś waszeć, że koloryt to grunt! a ksiądz Biskup zawsze ma rację, któżby ją miał, gdyby nie on? Tak bo jest, tak jest! ostatni nawet mój obraz do łez go rozczulił, powtarzał ciągle: — Co za expressya! jaki wyraz! udawał tylko, że się śmieje (dla decorum), ale widziałem łzy w oczach.

Gdy Athanazysz duma tak, Jaś nareszcie nadjechał.

Szyrko, który nigdy w życiu ani się uczył ani nauczał, poczuł się nagle mistrzem dostawszy ucznia, i zacząć postanowił od wielkiej srogości, usiłując naprzód natchnąć chłopca zbawiennym strachem. Strach, rzekł w duszy kawaler Athanazysz, uczy, naprawia, zniewala i wszelkiego dobrego jest początkiem. A zatem pocznijmy od niego. Ukazał się więc Janowi nauczyciel w postaci zatabaczonej karykatury

Jowisza Olimpijskiego. Spojrzenia, gesta, rady tak śmieszną były przybrane powagą, że patrząc na nie obcy, polegali od śmiechu

Jasia dziwił wielce ten mistrz o którym z góry miał najwspanialsze wyobrażenie. Z początku uwierzył w niego zupełnie, ale prędko naturalny rozsądek wskazał mu nicosć człowieka, który dla dziecka nawet nie potrafił ukryć potężnej głupoty swojej, na wszystkie strony wylewającej się jak z dziurawego naczynia próżno drutem umocowanego. W przekonaniu, że się czegoś nauczy, Jaś postanowił słuchać i pracować. Nie wiele może ufał mistrzowi, ale więcej rachował na wzory i wprawę samą. Zdrowy rozsądek dziecka powiedział mu, że pracą dochodzi się wszystkiego, że żadna nie jest bez korzyści. Szyrko zaś sam nie wiele umiając, a prócz mechanicznej wprawy i pewnej jednostajnej manieri żadnej myśli i tajemnicy w sztuce niemięjący się domacać, psuł raczej niż poprawiał i prowadził ucznia. Dla niego jeszcze sztuka ograniczała się rzemiosłem.

Życie mistrza było jednem z najprozaiczniejszych w świecie. Obrał on sobie mieszkanie za Ostrą Bramą w jednym z tych domów świeżych, niezamieszkaných, ledwie przeszłych, i przez to samo, że nowych, nielitościwie nagich i nudnych. Wszędzie gdzie noga stąpiła, zdawała się pierwsza zdobywać miejsce. W naturze, utworze Boga, pustynia jest zachwycającą i rokoszną; w dziele ludzkim dziewiczość ta przez brak wspomnień staje się nagością zimną i smutną. Dzieło człowieka potrzebuje może postarzeć aby wypięknąć i z otaczającym się światem zlać w jedność. Ogromne izby okrutnie białe, nagie, wilgotne, przerażały swą nieczem niesplamioną nowością, niezamieszkaniem. W jednej z nich umyślnie przyrządzonej na malarnię pracował Szyrko za trójnogiem. W niej teka jego wiecznie okradanych sztychów i zatabaczona chustka leżały z paletą na jednem krześle, pod którym stała butelka z piwem i oblepła szklanka. Jakby na przekór nowości pomieszkania meble przeniesione były

doń z doniu starego, połamane i brudne. Tu się jeszcze bardziej zużytemi wydawały. Kilka obrazów lichych a jaskrawych wisiały, w różnych epokach dojrzałości talent malarza ukazując po ścianach: jedne podmazane, drugie poprawione trochę, inne wylizane do obrzydliwości jak porcelanowe kwiatki. Kilka starych płócien ciemnych, jak wielkie plamy, rozkładały się krzywo i niedbale powieszane na świeżo potynkowanych ścianach. Kurz i pajęczyny przybyły z niemi z dawnego mieszkania. Łóżeczko mizerne, wyduszone, którego pasy obwisłe przybrały formy ciała zawsze na nich jednostajnie spoczywającego, poduszka skórzana stłuszczona od głowy, miska do umywania, dzban od wody, trochę odzienia i kufer, dopełniały obrazu téj izby. Pierwsza, w której się farby tarły, zarzucona gałgankami i bibułą od wycierania palet wyrzucaną, pełna butelek z pokostem i werniksem, flaszek z olejem, odartych płócien, kamieni nieczystych i stojów, w których ugry czyszczono; była mieszkaniem Jasia i Macia chłopaka do posługi, jednego z tych miejskich nliczników odartusów, co w latach piętnastu umieją się zepsuć jakby przeżyli pięćdziesiąt.

Szyrko jadał w pobliskiej garkuchni, a sługa Marcyanna u lokatorów na dole mieszkająca, prała mu bieliznę i gotowała kawę. Tłusta, czerwona i wesola ta Maritonna w wielkich była łaskach u malarza, który się z nią nie spotkał, żeby jęj nie wyściskał. Nie zdawała się ona wcale odstręczać tém, ani gniewać za natręctwo z jego strony; odchodziła fartuch trzymając u gęby, śmiejąc się i poprawując włosów, że aż na dole piosunkę jęj i śmiech często słychać było. Maciek, wisus w całym znaczeniu tego wyrazu, okradał pana, płał figle wszystkim, umiał się wytęgać i wylizać z każdej psięj sztuczki swojej. latał po nocach ale doskonale udawał zaspanego choć ledwie się na swém barłogu wyciągnął. Był to istny narzeczony szubienicy.

Pan Szyrko, jakeśmy wyżęj mówili, malował najczęściej portrety, rzadziej obrazy kościelne i t. p. Ale wcale

nie wiele w ogólności miał zajęcia, a że płatny był téż skromnie, nie wiadomo jak się utrzymywał i czy zbierał co na starość. Miano go przecież za człowieka wcale rządowego i zamożnego, chociaż tajemnicy kufierka i starłej szkatułki nikt nie wiedział. Życie jego, prócz wieczora, widne było jak na dłoni. Wieczorem wychodził, ale Maciek nawet mający własny w wyśpiegowaniu interes nie wiedział dokąd i po co, powracał czasem o północy, czasem później lub nad rankiem, wesół, śpiewający, albo wściekle gniewny i rozjaśdły. Niekiedy rzucał laskę w jedną, kapelusz w drugą stronę i nieruchomy padał na swoje łóżysko; czasem znowu otwierał kuferek, coś w nim składał i zamykał. Maciek jeszcze był nie wyspiegowany, ale się wielu rzeczy domyślał; Maritorna kręciła głową nie wiedząc jak sobie te peryodyczne zaćnienia tłumaczyć.

Wielka ta przecież tajemnica, tłumaczyła się namiętnością, która u nas w Polsce w XVII wieku dopiero weszła w obyczaje i nałóg powszechny. Szylko był namiętnym graczem. Przed panowaniem Sasów a nadewszystko Stanisława Augusta, gracza może szukać potrzeba było między szującą próżniaczą i zepsutą hulastrą. Wyjątkiem byli dworzacy o których ksiądz Skarga w kazaniach wspomina, że grzywali z królem w Prymire i to uważano za grzech i występki wielkie. Choć najprawdopodobniej grano na Zdrowański, a ko-rzystały z gry, tylko dusze Czyścowe. Dopiero, gdy ta okropna, chorobliwa obojętność na przyszłość pół kraju w zimnym dusiła objęciu, gdy szła zabawa, rozkoszy, rozpusty, użycia, zawrzało w sercach zepsutych i gra zjawiła się w pierwszych salonach Warszawy, jak nieodstępna towarzysząca zepsucia obyczajów powszechnego, jako narzędzie częstokroć, które zręcznie użyte zyskiwało ludzi lub ogałając ich z pieniędzy, przedajnymi czyniło. Pan podskarbi koronny, potem Wal...i, pierwszyni byli namiętnymi i graczami z profesyi w Polsce. Ta igraszka wyższych klas zapełniona od tłumem i namiętnie panująca próżniakom a ludziom zestęblym, wy-

silonym, co w niej szukali wrażeń nie mogąc innych doświadczyć; od panów znówu zeszedł stopniami do niższych, i aż do przedpokojów. Czegoż u nas nie naśladowały gdy tylko można przykład dadzą? Zdaje się nawet, że gdyby panowie wznieśli się dawać przykłady cnoty, bezinteresowności, pokory i pracowitości, i toby może starano się naśladować. Rzecz warta próby. Dość, że gra jak kropla polknięta ustami, rozlała się w krew całego człowieka, narodu. Jak zwykle przyszła ona zabawić na śmiertelnym wyciągniętym łożu! W Wilnie także gra panowała podówczas i po pałacach i po smrodliwych domostwach gdzie stęranymi ludźmi ogrywali łatwowiernych a namiętnych głupców. Pan Szyrko był dla tych przemysłnych rycerzy wyborną krówką, jeśli się godzi użyć tego wyrażenia. Wydawali z niego co tylko miał, a on z metodycznością maszyny ciągnął się do nich co wieczór ze zwykłym swoim podatkiem. Wstydził się jednak namiętności i dla tego grał tylko tam gdzie myślał, że go nikt nie zna (choć doskonale wiadano, kto i co zaczął). Po solennej przegranej brał się do roboty podsycając węgą butelką piwa stojącą zawsze pod krzesłem.

Jaś pracował w pierwszej izbie.

Ale jakaż to była praca?

Nakazano mu wielkie dość mizerne sztychy kopiować czarną kredą i starannie wycieniowywać, wykropkować, wylizywać, aby robota była o ile możności jak sztych. Sztych to najczęściej zdradzieckie tłumaczenie obrazu, tę stenografią myśli (czasem) uważano jeszcze wówczas za najwyższy prawie szczyt doskonałości w sztuce. I nie sztych Rembrandta złożony z poplątanych misternie nici pajęczych, nie zamazyste ryciny Callota lub naszego Gdańszczanina Faleka, nie sztych Dürera lub Marc-Antonio i t. p. ale niedorzeczne, twarde, bezimienne jakieś blachy bez wartości, w których sensu, myśli i eksekucji nawet mechanicznej coby linie pojąć dała, brakło. Szyrko zachwycił się gdy sztrychy

szły regularnie i krzyżowały się dając w pośrodku miejsce posadzonym punkcikom. Na to zwracał uwagę gdy mu uczeń przynosił robotę. Tak się biedny Jaś uczył. Ale ani pan Szyrko, ani niedorzeczne wzorki jego, nie potrafiły zepsuć, zniszczyć tego ucznia idealnej piękności, które natura dała Jasiowi. Na widok kalekich ciał, spoczwarczonych postaci na sztychach, wzdrygał się czując instynktowie ich brzydkość, oswoić się z nimi nie mógł; przeciwnie inne, w których myśl błyszczała formami uroczemi wydana z śmiałością mistrzom tylko właściwą; całował, zamyslał się nad nimi i płakał. Dwa zapalczywe sztychy stare z Leonarda da Vinci, dwie przepyszne a pełne prostoty kompozycje Rubensa (co rzadka bo grzeszy przesadą i zbytkiem nie unikając się w karbach utrzymać), kilka wspaniałych postaci wysokiego stylu N. Poussin'a jakby nowy świat odkryły oczom ucznia: poczuł, że się tu niczego nie nauczy, ale posłuszny przeznaczeniu cierpiał i pracował. Opisać wam to życie? — niepodobna.

Szyrko był w obejściu się z uczniem ostry, bez przyuczyny często srogi, chwalił też bez powodu: nie wiedząc co robił, szedł na oślep zupełnie. Szcęściem miał u siebie dla fanfaronady dwa niezgorsze gipsy całych postaci z posągów dawnych, jedno niezłe *ecoreché* (muskulatura) i parę głów. Te ukradkiem w chwilach odpoczynku, sam nie wiedząc dla czego, próbował kopiować uczeń. Ale Szyrko gdy te roboty ujrzał, tak się gniewem zapalił, że podarł arkusze i wyrzucił za okno. Wiedział on, że inni uczą się tym sposobem, ale sam nie unikając rysunku, może przez zazdrość niewytłumaczoną, uczniowi go dać nie chciał. Jaś przecie gipsy owe choć na tablicy z różnych stron przycysowywał. Tak upłynął rok jeden; tak dwa prawie jednostajnie przeszły. Wiele chwil sam na sam z nagiemi ścianą przepędzał Jaś, ale książek mu nie brakło, bo w izbie w której siadywał, były ich dwa kufry wielkie, razem z innymi gratami w kącie przez Szyrkę rzucone i nigdy nawet niezamykane. Z folian-

tów drogich wydzierano niemiłosiernie karty dla ścierania palet, jeśli były bibulaste.

W tych to knfrach, prawdziwej puszcze Pandory, leżała cała przyszłość Jasia. Znalazł w nich pokarm, ale jak zwierzątko niemniejące rozłamać łupiny, długo się trudził nim dostał do ziarna, Umiał wprawdzie czytać, a z pomocą polskiego języka poduczył się łaciny, której pocziwe a litośnie dziecko nbogie stojące w tejże kamienicy nabyć mu dopomagało. Student ten przyjaciel Jana, którego towarzysze i Jan potem sponfaliwszy się nazywał Orzeszkien, pokochał Jana. Był sierotą, a sieroty szukają serca jak nbodzy chleba. Przyjaźń ich cicha, kryjoma, zawiązała się silna i na życie całe, jak zwykle związki młodzieńcze najtrwalsze ze wszystkich. Jaś i on pędzili na galeryi pustej otaczającej dom wewnątrz długie godziny na rozmowie i wzajemnej nauce

Powiedzieć, wyrachować ile kosztowała Jana każda nabyta wiadomość, trudno. Któż z tych co się sami nieczyli, nie pojmie tego? Ileż to razy zadumać się trzeba było nad wyrazem tajemniczym, nad pojęciem nieznane i przeskoczyć je westebnieniem i nadzieją, że się jutro wytłumaczy! Ileż potu, ile znoju, ile cierpliwości anielskiej i dobrej woli! Dwie owe skrzynie pełne były grammatyk, dykeyonarzy, ksiąg historycznych, encyklopedyi naiwnych jakie pisywano w XV i XVI wieku, pobożnych i ascetycznych dzieł, ksiąg o medycynie popularnej i t. p. Zdaje się, że anioł stróż wybrał je tam i położył dla Jana, dla którego były skarbem, pociechą, rozkoszą. Stary kanonik, jeden z najdziwniejszych skąpców jakimi się naówczas pochlubić mogło Wilno, w spadku jedyny zostawił je synowcowi malarzowi. Więc nie po nim nie wziął kawaler Athanazynsz, bo pieniądze zakopał tak, że ich ani synowiec ani kapituła w kamienicy zajmowanej przez niego lat dwadzieścia pięć znaleźć nie mogli. Jedyny więc ten spadek po kanoniku, który, składały dwie stare snuttany, brewiarz tłusty i lichtarz, przekazał prawemu dziedzicowi; — księgi te poszły na korzyść obcemu zupełnie. Dwa

lata grzebał się w nich Jan tajemnie, dwa lata czył się na nich i czytał.

Wielkie zdolności dopełniały mu czego w książkach brakło, co tylko ludzie, towarzystwo i nstny wykład dać mogą. One wiązały te książg głosy tak często sprzeczne, tak niezgodne z sobą, tak dziwnie się sprzeczące jak dwie kamienne maski u drzwi starego domu.

Wszakże nauka, wiadomości i pojęcia, których nabral Jan walcząc z tysiącem zawał, nosiły cechę książkowego pochodzenia swego. Pojmował on świat jak pojmują ci co tylko w książkach widzieli życie, w sposób całkiem idealny. Wszystko tajemne, przechodzące, przypadkowe, znikome, brudne, co się w dawnych księgach nie mieściło, nie rachowało dawniej w bycie (choć tak wielką gra w nim rolę), pozostało obcem Janowi. Świat więc wyobrażał on sobie dalszym ciągiem historii Greckiej i Rzymskiej, sceną bohaterów, igrzyskiem fatalności heroicznej, łożyskiem olbrzymiów, teatrem wielkich zwycięstw. Komedia życia pozostała mu nieznaną, tajną, niepojętą; tragedją tylko, epos i kawałki dramatu wyczytał w księgach.

Dla dziecka, któremu groziła przyszłość bez opieki, takie pojęcie świata było wielką klęską, było zatajeniem wszystkich przepaści i zasadzek. Wiara w dobre była w nim główną, o złem wiedział, ale o złem co chodzi, jak bywało w literaturze, jawne widoczne, dające się palcem namacać, z czołem napiętnowanym hańbą i sromotą, z tablicą na plecach wskazującą, oto złe. Dla niego złe uosobiało się w postaciach Anytnsa, Melitnsa i Lykona na Pnyxie Ateńskim, stających w obec ludu tysięcznego z zaskarżeniem boskiego Sokrata. O złem co się kryje, farbuję, co się przysięga, że jest cnotą, i za ręce ściska i z rozcznlenia płakać umie, zapewniając o szczerych uczuciach, — ani miał wyobrażenia. Złe piękne i powabne, złe szatanem siły pełnym i ukradzionego wdzięku, — było mu zakryte. Wielkie dziejowe postacie odmalowane naiwnie, jak je dawniej umiano

przedstawiać, unosiły go. Klaskał w dłonie olbrzymowi i czasem podnosił głowy mówiąc w duszy: — Ja im kiedyś może zrównam!

Księgi ascetyczne, które czytał z dobrą wiarą i nabożnem wiejskiem sercem, dodały mu zapалу, wprawiły do uniesień, kazały się co chwila spodziewać cudu, utwierdziły w pocieszającym przekonaniu o związku nieustannym Opatrzności z człowiekiem, który tak silnie wpływa na ulepszenie opuszczonych zkaąd inąd. Żył w świetle z jednej strony olbrzymów, z drugiej świętych męczenników, a w oczach jego stali Sokrates, Themistokles, Aristydy i Epaminondasy przy Ś. Antonim, Ś. Józefie i kolosalnych postaciach dwunastu Apostołów, ubogich wielkiego Boga posłańców, których jak dwanaście ziarn piasku wybrał z tłumu dla pokazania potęgi swojej, aby utwierdził nowinę, którą nieśli, samém przyjęciem ję z ust nieuków i małych dzieci, — otwartych cudem widocznym. I świetna cywilizacya Rzymu, padła od dźwięku słów rybaków, wieśniaków, celników, jak niegdyś mury Jerycho od trąb odgłosu. Jan zachwycał się wspaniałym obrazem historii Chrześcijaństwa. Jeszcze w istocie co wspanialszego i cudowniejszego?

Takie były dwa lata życia u pana Szyrko. Jaś wyrosł i dojrzewał zawczasem, szybko, jak dzika a pelna siły lato-rośl. Przez te dwa lata dwa razy tylko miał listy od matki ję ręką pisane i przesłane za okazyą ze słabym zasilkiem do Wilna. Kasztelanicowi Szyrko posłał owe kopie ze sztychów z nadpisem: owoce wdzięczności; on zapłacił za nie podziękowaniem, zachętą i wyliczeniem w porze należnej pensyjski na utrzymanie i lekye.

Wszystkie pieniądze szły do rąk pana Szyrko, który je w owym tajemniczym domku na Trockiej (wówczas zwanój Senatorską jeszcze) ulicy przegrywał; nie troszcząc się o potrzeby chłopięcia wcale. Ubóstwu Janka było wielkie, ale dla niego znośne bo lepszego bytu nie zaznał; widząc go zaś u drugich umiał w pocziwem sercu nie zazdrościć. Chciwy tylko nauki pożerał ją, żył nią. Wielkie postacie idealne hi-

storyi starożytnój, śniły mu się na jawie; marzyły we snach smurowy kawałek chleba czasem zwilżony zlewkami jadła, owój Maritorny z dołu, zgodzonój o stół dla Maćka i dla ucznia, powietrze przedmieścia, przechadzka za miasto, wystarczały chłopcu umięjącemu już wzgardzić dumnie najsroższą boleścią i nędzą. Uczucie to w dzisiejszych czasach coraz bajeczniejszem się staje. Wytarte odzienie stare, którego mistrz nie latał nawet choć na nowe grosz miał dany, wystarczały mu — dnszę ubierał, a o resztę nie dbał.

Trzeci rok nauki poczał się; było to na wiosnę, Janek i Orzeszek siedzieli na galerji razem i rozprawiali, jak dzieci co dziećmi już być przestają, o najważniejszych rzeczach w świecie, mierząc się z niemi nie siłami ale żądzą ich poznania. Dzwony kościołów odzywały się w dali, pana Szyrko nie było w domu, Maciek uciekł urwiszować na ulicy, a śpiew chrąpliwy Maritorny, rozlegał się po wilgotnych dolnych mieszkaniach fałszywy, cierpki, bez wdzięku. W ulicy skrzypiały koła bryk ładownych, wlokących się do miasta. Nagle głos malarza czyli jak go tam zwano pospolicie kawalera Athanazyusza, suchy jak dźwięk grzechotki stróża nocnego odezwał się w dole, rozległ potem dobitnie nawolywając:

— Jan! Jan! Janek!

Jaś wybiegł naprzeciw.

— Gdzie byłeś?

— Tu na galerji.

— Czemu nie w stancyi?

— Ciemno już.

— A klucz?

— Oto jest.

— Daj go i bywaj zdrów.

— Jakto? spytał chłopiec nie mogąc zrozumieć nagłego pożegnania.

— Tak to, — żeś powinien w rękę mnie pocałować i rnszać do licha.

— Ja? ale cóżem winien?

- Winienesz, za kwartał utrzymania.
- Spodziewam się, że JW. Kasztelanie...
- Wieczne mu odpocznienie! rzekł obojętnie malarz.
- Nie zapłaci, bo umarł.

Jaś schwycony nagle tą wiadomością rozplakał się tak bardzo, że musiał się oprzeć o ścianę aby nie upaść. W oczach mu się zaćmiło, nie wiedział co począć z sobą. W jednej chwili przemknęło mu się przed oczyma duszy jego, sieroctwo całe. Matka uboga, daleko tak daleko! więc już nikogo! Wrócić do matki było to poświęcić przyszłość, w którą dla niej, więc dla siebie samego, miał ufnąć.

— Odwagi! odwagi! cierpliwości! rzekł sam do siebie i podniósł głowę z niejaką dumą, czując, że już tylko o swój siłę pozostał. Malarz patrzył na niego kręcąc kluczem we drzwiach.

— Panie, rzekł Jaś, wypędzisz ze mnie, nie dając mi nawet przenocować?

Kawaler Athanazyusz nie zrazu nie odpowiedział. potem szepnął jakby zawstydzony: — Przenocuj sobie, ale trzymać darmo w mieście i uczyć darmo nie mogę. To umiemy tyle czasu kosztuje! I utrzymanie! nie, nie mogę! Jutro zaraz pomyśl o sobie. Ja nie jestem w stanie biednych wspierać; sam pracuję na kawałek chleba. Znajdź sobie sposób do życia

Jaś nie rzekł więc; a gdy artysta wchodził do swego mieszkania, chłopiec wysunął się ze łzami w galeryę gdzie się spodziewał znaleźć towarzysza przyjaciela, z którymby się boleścią i myślami o przyszłości podzielił.

— Adamie! Adamie! Adamie! zawołał zdaleka Student żywo wyścił głowę przez okienko.

— Czego chcesz Janie?

— A nieszczęście!

— Nieszczęście! coż to się stało?

I wybiegł na galeryę. Mówże, mów a prędzej.

— Mój opiekun umarł, nie mam nikogo. Jedną ubogą

matkę, opuszczoną jak ja. Co ona poradzi, co ja? Jutro każe mi się ztąd wybierać malarz, nie wiem co począć z sobą, głowa mi się zawraca.

— Masz choć trochę pieniędzy?

— Trochę, nie wiele przysłanych od matki, ale to zaledwie na dni kilka wystarczyć może. Gdybym chciał wrócić do swoich, nie będę miał nawet o czém, chyba za jałmużną. A! radź, mów, co mam począć?

Adam się zamyślił i ręce załamał.

— Nie wiem, nie wiem. Czekaj, jutro, pomyślemy o tém, trzeba ci coś poradzić. Znajdziemy ci może jakie miejsce.

— Miejsce sługi! wolałbym wyrobnika, przerwał Jan Wyrobnik sprzedaje tylko pracę swoją, sługa całego siebie.

— O! stokroć prawda! ale mamyż do wyboru? Co poczniemy?

— Tylu jest malarzy w Wilnie, może mnie który choć do tarcia farb przyjąć zechce.

— O! większa ich część, trą sobie farby sami, rzekł Adam, tak są biedni. Żaden inaczej uczniów nie przyjmuje jak za opłatą.

— Ale ja bym pracował dla niego?

— Cóż ty umiesz!

— Prawda! nic! nic! rzekł smutnie spuszczać głowę Jan. To okropnie! pójdę więc do domu. To mówiąc usiadł nieprzytomny pod ścianą, podparł się na rękę i zapłakał gorzko. Lepsza przyszłość zamarzyła mu się na chwilę, teraz spadał z wysokości nadziei do życia znuju i nędzy.

Sny piękne, które roił dla matki, siostr, dla siebie, dotknięciem jedném w popiół się zmieniły. Wszystko się skończyło, trzeba było powracać, powracać nieukiem i pracować jak ojciec i zginąć może jak on. zszargać się jak on. Nędza! nędza! ileż to ona zabija ludzi. ileż geniuszów zjada w zarodku! ileż pożera przyszłości wielkich i jasnych!

— Poczekaj, poczekaj! nie rozpaczaj jeszcze, rzekł wstrząsając nim Adam, będzie na to czas, gdy już żadnego

ratunku nie stanie. Probujemy wprzódę wszystkiego czego probować można. Ja trochę, zdaleka znam malarza Batranięgo, byłem parę razy z jednym uczniem u niego. Albo nie, lepiej samego ucznia tego uproszę, on bogaty i łatwiej mu będzie przystąpić, bierze lekcye rysunku. Sprobujemy przez niego.

— Któż taki ten twój uczeń?

— O! złote dziecko! wysmienity chłopiec. Znasz przecie lub przynajmniej widziałeś Wawrzyńca Szemiakę? On powie Batraniemu o tobie, on go poprosi, a w najgorszym razie rachuję na niego, że nam musi dać pieniędzy.

— Z wielkiej łaski Szyrko dziś jeszcze pozwolił mi prze nocować u siebie. Wyobraź sobie, jam na jego łasce, jak ubogi pod kruchtą! Jutro koniec, jutro nie będę już miał gdzie położyć głowy ani mizernego węzelka.

— A! to od dziś przenoś się zaraz do mnie, zawołał gorąco Adam, prawda, że nawet chleba podostatkiem nie mam, abym się z tobą podzielił, ale to co mam, mieszkanie, wszystko: wspólne.

Adam jak wielu ubogich a pracowitych chłopaków żył z korepetecyi; ale ówczesna za nie opłata była bardzo mała. Z niesłychanym trudem ucząc się sam i ucząc drugich, ledwie mógł wystarczyć na stancijkę lichą, jadło mizerne, odzienie zaś co rok odnawiane i poprawiane oszczędnie. Adam byłby mógł żyć daleko wygodniej gdyby był chciał mieszkać z uczniami, ale rozrachowawszy korzyści materialne ze stratami jakieby poniósł przez to, wybrał stancję, jadło, utrzymanie osobne choć najbiedniejsze. Tu był już panem siebie, panem domu, sam jeden i swobodny. Tu mógł płakać niespytany czemu, niewyszadzany, uczyć się kiedy chciał i rozrządzać kilką przynajmniej chwilami wedle myśli i żądania, nie podlegając nikomu. Izdebka Adama najęta na piętrze była prawdziwie studentckim mieszkaniem: nikt inny w czterech tych ścianachby nie wytrwał. Drzwiami jednemi wychodziła na galeryę; oknem małym na mur sąsiedniego domu nagi i bez okien, który nigdy słońca do mieszkania nie dopuszczał. Jedna mała izde-

bina ciasna całe stanowiła mieszkanie: piec kaflowy część jęj zajmował; łożko, stoliczek, dwa stołki drewniane wyślizgane i kuferek gdzie książki razem z odzieniem w pokoju przebywały, ubierały ją. Ale pomimo ciasnoty, ubóstwa, czysto tu było i z ładem! umieciono, uporządkowano, każda rzecz na wyznaczoném sobie miejscu, nigdzie pyłu, tego szkaradnego memento, które posyła co chwila zniszczenie, przypominając nam, że nas goni, wsiskającego się wszędzie, zjadającego wszystko.

Adam otworzył drzwi, a Jan ścisnął go czule za rękę.

— Nie nadużyję twego serca, rzekł mu, ale dzięki ci, że mnie ocalasz od łaski tego pana! O! dziękuję ci. Idę, zabieram co mam i powracam tu. Nie zabawię długo. Pomieszczę się w kątku u proga, na podłodze, abym ci nie był ciężarem, mnie mało potrzeba, bom nigdy wielkiego nie próbował.

I Jan zarumieniony, pobiegł chyżo do drzwi pana Szyrko, który przechadzał się szerokimi krokami po pokoju, dumając może z czém pójdzie grać na Senatorską ulicę.

— Przyszedłem podziękować panu i pożegnać go, zawołał zdyszany chwytając swoje manatki.

— Co? już! dziś? w nocy? a prosisz o nocleg? rzekł zdziwiony Szyrko, któren chciał się dowiedzieć, gdzie tak rychło barłóg mógł sobie znaleźć jego uczeń.

— Nie chcę wam być ciężarem, więc żegnam i idę.

Pan Szyrko nie miał całkiem złego serca, wadą jego główną było głupstwo szerokich rozmiarów; ta ucieczka nocna poruszała go trochę i lechtała zgryzotą. Wreszcie miał już nałóg widzenia tego ucznia u siebie; coś go niepokoiło widząc, że odchodzić zamyśla.

— Ale dokądże? spytał.

— Daje mi tu przyjaciel, znajomy, schronienie.

— Ale któż taki?

— Ubogi, liłościwy student.

— Hm! hm! wykrzyknął Szyrko. A po cóż się spie-

szyć. Maciek wisus i hajdak o czém się co dzień przekonywam, dam mu kolaniem odprawę; z ciebie chłopak stateczny, niczego, gdybyś chciał trzeć farby i czyścić trzewiki i buty i izbę umiatać, dałbym ci miejsce Maćka.

— Dziękuję, dziękuję, rzekł Jan. Nie mogę być sługą, bo nie o sobie tylko myśleć nuszę, ale o losie matki biednej i sióstr przyszłości; będę szukał sposobu uczenia się i wyjścia na coś lepszego.

— A! z panem Bogiem! urażony trochę i tknięty rzekł pan Szyrko. Z panem Bogiem i krzyżyk na drogę. Ruszajże sobie, probuj a panujtaj, że także za początki mnie winieueś wdzięczność i za kwartał utrzymania nie opłacono. Początki! wszystko jest w dobrych początkach! powtórzył. Bądźże zdrow, rzekł do całującego w rękę Jana, bądź zdrow, a jeśli zostaniesz w Wilnie odwiedź mnie czasem i daj wiedzieć o sobie.

Jan wyszedł ocierając łzę, a Szyrko otworzył powoli kuferok, dobył kilka dukatów w pęcherz zawiniętych, obejrzał się, zamknął i wyszedł na swoje wieczorne stanowisko. Adam czekał na towarzysza, noc już była, usiedli razem i w ciemności gadali długo, potem ze łzami w oczach Jaś ukląkł się pomodlić, i nie spodziewając się, po cichu położył na sienniczku. Ale sen młodości, tém silniejszy im większe było dnia wzruszenie, objął go i przeniósł w mgnięniu oka do poranku wrót.

— Idę do Szemiaki, czekaj na nas, rzekł Adam. Bądź zdrow do zobaczenia i nie trać nadziei.

W myślach i sam z sobą spędził cały czas do południa przyszły nas artysta; były już dzwony zwiastując dwunastą, gdy szybkie kroki dały się słyszeć wschodach i głos po którym poznał Jan, że Adam nie sam powraca: otworzyły się drzwiczki. Młody chłopiec wszedł z jasną twarzą i ciekawemi czarnemi oczyma.

— Dzień dobry! dzień dobry!

Adam szedł za nim wpół wesół także, ale na jego błędę i spracowanej twarzy wesolość przesuwała się jak zachło-

dzącego słońca blaski po chmurkach, co migną i gasną, a po nich siny tylko, zimny obłok znów zostaje.

— Dobra nowina! dobra nowina! rzekł Adam! — Ot kochany Wawrzyniec był już u Batraniego. Batrani poczciwy nie odmawia ale kładzie dwa warunki: naprzód, żeby miał czas żonę uprzedzić i wymódl, na niej zgodzenie się na twoje przyjęcie; powtóre, żąda abyś mu za chleb i za naukę czasem trochę w domu posłużył.

— Muszę i będę, — rzekł smutnie Jan.

— Chodź więc ze mną Janie, zawołał Wawrzyniec, zostaw węzełek u Adama, ubierz się w co masz najlepszego i ruszajmy.

— Lepsze! to jedyne co mam, odpowiedział Jan, nie mogę go odmienić.

— Idźmy więc i tak, poczekasz na mnie w ulicy, a ja pójdę wprzód oznajmić cię malarzowi.

W milczeniu zeszli ze wschodów, wysunęli się w ulicę, a Jan skłonił się i pokłąkł na chwilę w Ostrą Bramie, téj świętej relikwii wiszącej na piersi miasta; powoli postępowali dalej mijając stary opalony Ratusz opiewany przez Jachimowicza, mury Jezuickie, aż do Zamkowej ulicy. Tu w jednym z kanoniczych domów stał na tyłach Batrani, zajmując obszerne dosyć mieszkanie. Był to jeden z ówczesnych lepszych malarzy, lecz skromny i okolicznościami domowemi spętany, wspomnień po sobie nie wiele zostawił.

Rodem Włoch z Florencyi, młodo wyszedł z kraju, z tém przekonaniem częst, cudzoziemcom właściwém, że na wschodo-północy znajdują chleb, bogactwo, sławę, wszystko czego im w ojczyźnie braknie. Ale jak bardz, wielu, zawiódł się Girolamo Batrani. Szedł pełen nadziei i wpadł w tę samą kałużę, którą mu los gotował tam jeszcze, od której uciekał z Florencyi. Batrani był jednym z najlepszych uczniów ostatnich malarzy, co tradycye szkoły dawnéj florenckiej zachowali. Studya jego młodości tradycyjalnym szły porządkiem. Przechodził z malarni do malarni z początku chłopcem dalej uczniem;

rysował z antyków, z natury, podmalowywał mniej ważne części obrazów mistrzowskich, niekiedy dawano mu wykończyć akcesorya. Teorya sztuki naówczas przelęwała się w roznowach, ułankowo udzielając, częściami, każdy ją dla siebie rozwijał i dorabiał w duchu. Ale w dodatku do niedostatecznych może mistrzowskich nauk, dawała Florencya to, czego dziś jeszcze nie zastąpi gdzieindziej: wspaniałe dzieła Michała Anioła, Rafała, Dominiquino, Gnida otaczały tu ucznia, codziennie na każdym kroku rzucając mu w oczy idealnej piękności wzory. Campanilla, Baptistier, posągi, arcydzieła malarskie po kościołach i placach, cudownie natchnione obrazy Fra Angelico z Fiesole, prawdziwego Anioła sztuki freski naiwne a pełne wielkiej myśli mistrzów starych spotykał wszędzie. I lud włoski, lud co umie zawsze ukazywać się jakby siadał do malowania, co instynktowie piękność czuje i stara się ją wyrazić sobą, otaczał artystę. Wszystko co widział było piękne, same wzory wyborne karmiły go od dzieciństwa. Od wielkich a prześlicznych proporcjami gmachów aż do dziecięcia w łachmanach wszystko jak do obrazu stworzone się zdawało. Batrani więc wyssał uczucie piękna, nauczył się rysować łatwo, nabył stylu nie wiedząc jeszcze prawie co styl, i dzieckiem miał już mechaniczną wprawę, owe narzędzie niezbędne dla wydania myśli.

Przenosząc się z malarni do malarni choć już skarłałych Florentczyków, pozbierał różne indywidualne ich przymioty, pojmując z kolei koloryt jednego, wyraz drugiego, trzeciego uczucie linii i światła, co słowy nauczyć się nie da. Ale skromny, nienafający sobie, a z zapałem wielbiący mistrzów co wślawili czasy Medycenszowskie tak się czuł małym, tak nieudolnym, że i drugich o niekczemności swój przekonał i sam wołał szukać losu za granicą niż w kraju swoim, gdzie nie spodziewał się zrównać nigdy z wielkimi nieśmiertelnymi XVI wieku, a ciągle musiał być z niemi porównywany. Wyszedł więc, ale to co mu szkodziło w ojczyźnie, szkodziło mu wszędzie: mała cena, którą do prac swych przywiązywał, lekce-

ważenie siebie i wiecznie nie rada sobie tchórzliwość, nie dawała drugim poznać się na jego wartości. Ludzie najczęściej są łatwowierni do śmieszności, a gdy im kto powie: Jam wart nie wiele, biorą go za słowo. Mierność szumnie się przechwalająca i wskazująca każdy swój krok jako arcydzieło, zyskuje poklaski i wzięcie powszechne.

Rzadki, niepodległy i silny umysł inaczej potrafi ocenić człowieka niżeli on sam siebie ceni. Ale o to jak trudno! Batrani był zapалу pelen jak dziecię nieodrodne Południa, jak dziecię Florencyi; łyzy mu w oczach stawały gdy przypominał sobie owe Bramy Raju, owe arcydzieła, gdy zagożały mu żywemi blaski w duszy wspomnienia dzieł Sanzią, Bartholomeo, Michała Anioła, Caraccich. Czuł on głęboko ich piękność a tak ślepo ich wielbił, iż sądził się prawie niegodnym trzymać pędzel, że z strachem, niedowierzaniem, boleścią i niennością, jakby zmuszony tylko brał się do roboty, porównyując ją potem w myśli, do swoich ideałów; w każdej robocie własnej tyle znajdował wad, tyle słabości i błędów, iż wreszcie odpychał ją prawie ze wzdargą lub usnwał z bolesnym westchnieniem.

Była to jedna z rzadkich dusz wzniosłych co pojmują wielbienie i cześć jako skrzydła zbliżające nas ku wielkiemu, co widzą wszędzie ślady roztluczonego piękna, nie rozumiejąc krytyki, nauki braków i niedostatków lub zostawiając ją tylko na użytek dla dzieł własnych; jedna z tych dusz, które męczennikami uczucia swojego, przechodzą przez świat wzgardzone, pocieszając się słodkimi wrażeniami jakie daje kontemplacya wielkości i piękna. Pobożny, łagodny, litościwy, umiejący bawić się jak dziecię, a myślący głęboko jak myśli ów sławny posąg na grobie Wawrzyńca Medyceusza, Batrani ze łzami w oku szedł życiem w ciągłym zachwycie, siebie nie wiele ceniąc i najpierw poświęcić gotowy.

Średniego wzrostu, posiwiały, w czarnych oczach zdawał się mieć wiecznie gotowe do wylania wezbrane łzy; głęboko wpadłe źrenice pływały w nich ciągle. Wyraz ust wąskich

był pełen słodyczy i uśmiechu miłego; czoło wzniosłe ale zmarszczone troskami, posiwiałą resztką miękkich włosów okryte, mogłoby za wzór było służyć snycerzowi. Nieco zgarbiony, w ruchach nieśmiały jak dziecko, bojaźliwy, milczący, wzbudzał politowanie mało znany, lepiej poznany, szczere uczucie przyjaźni i przywiązania. Nikt też lepiej nie zasługiwał na nie, gotów się był poświęcić sto razy dla niewdzięcznych i słowa nie rzec zdradzonemu. Batrani ożenił się w Litwie, z kobietą najniższej prawie klasy, ale niezwykłej piękności. Młodszy jeszcze przybywszy do Wilna postrzegł w tłumie dziewczę, które mu Włochy przypominało oczyma, usty i budową ciała kształtną a dziwnie czystych idealnych linii. Marya ukochana, Maryetta Batraniego, była córką ubogich piekarzy z Zarzecza, i zepsutą jak jedynaczka, samowolną, a w pałczku już zatrutą oddechem miasta, które starości ani dzieciństwu czystymi przetrwać nie daje.

Daleko młodsza od Włocha, który rozkochał się poczynając już siwieć, Maryetta śmiała się z niego, gardziła nim, popychała, odtrącała go, aż w końcu musiała przyjąć za męża. Marya bowiem miała kochanka, który się z nią ożenić nie chciał choć był powinien: rozpacz ogarnęła dziewczynę wystawioną na sromotę. Włoch korzystał z tej chwili rozpacz i poświęcił się przyjmując matkę i dziecię; ani słowem, ni wejrzeniem, ni smutkiem nawet nie dając jej poznać co mu kosztuje hańba jej, hańba własna i położenie ich obojga. Ludzie bowiem plwali wzgardliwie na Włocha, nie pojmując takiego poświęcenia i biorąc je za podłość. Marya stawszy się żoną jego, żelazną ręką wzięła rządy domu; poczęła rzucać mężem jak dziecię piłką. Prózna, gadatliwa jak srocza, samowolna jak zepsute dziecię, pięknocią swoją dumna, zdawała się mieć przyjemność w dręczeniu męża: spokojność jego, posłuszeństwo, wytrwały charakter, jeszcze ją rozdrażniały. On wszystko znosił od ulubioniej, ubóstwioniej Maryetty. Niewolnik we własnym domu, zabijał się pracą podlił podejmując robót najlichszych, tracił sławę, aby jej

wypracować co mieć chciała. Kaprysy dziwaczne téj kobiety nie miały granic, mściła się na mężu za kochanka, za wszystkich znienawidzonych mężczyzn. Batrani w ciągu kilkoletniego pożycia ani razu nie pisał i nie poskarżył się: patrzył w oczy Maryetty i tego mu dość było.

Pożycie ich było podziwem sąsiadów, politowaniem dla wielu, bo Batrani przez przywiązanie niepojęte dla zléj, próżnej i głupiej kobiety poświęcał się, uniżał, upokarzał niewypowiedzianie, niczem niewynagradzany. Ona miała w ręku wszystko, ona była panią samowładną. Nie kochając męża i ojca swych dzieci (nie mieli bowiem dwoje oprócz pierwszego, naturalnie ulubionego Maryi nad inne), pomiałała nim jak cichym a nieznosnym sługą, którego powolności jesteściey pcwni. Najmniejszy brak w domu wyrzucała mu gniewliwie jak zbrodnię. Dwoje tych aniołków, które się później urodziły, biła, popychała, znęcała się nad nimi jak nad nieswojami dziećmi, a biedny Batrani musiał w kątku tylko ze łzami je ścisnąć, bo mu wyrzucała za każdym otwartém okazaniem dla nich czułości, że jój ulubieńca nie cierpi, a tém ją w oczach całego świata obwinia. Kiedy spłakane dwoje młodszych szły do kolan ojca, musiał je gdzieś w kąt uprowadzić aby otrzeć ich łzy, pocieszyć ich i ucieszyć się nimi. Starszy, żywy obraz matki, piękny jak aniołek Albana, zły jak żmijka, pędzał młodsze biczem, pędzał ojca mniemanego, znęcał się nad sługami i uczył się wczesnie nie mieć serca. Rodzice Maryi pomarli wkrótce, zostawując jój w spuściźnie lichy i odłużony domek tylko na Zarzeczcu, który, jako wspomnienie lat młodości i kochanka, kazała okupić malarzowi żona. On posłuszny zabijał się pracując na to. Tymczasem stroje Maryetty, życie jój wrzawliwe, pożerało powoli co on zapracowywał.

Sechł biedny i szalał w nieustannój pracy, ale się nie skarżył, patrzył w oczy Maryetty. Jeśli cudem, przypadkiem, litością, rachubą Maryetta mu się uśmiechnęła, Batrani gotów był w ogień skoczyć, duszę dla niej zaprzedać. Ten

nśmiej długie lata oczekiwań, łajań, gniewów, nagradzał chwilą jedną.

Takim był malarz, do którego Wawrzyniec Szemiaka miał wprowadzić Jana. Dom Włocha składał się z niego, z żony, trojga dzieci niedorosłych, trzech sług kobiet, jednego służącego i chłopaka wyrostka. Uczniowie nieliczni naówczas, byli eksterni. A gdy żona, dzieci, sługi bez litości trwonili pracę Włocha i rozsypywali ją marnotrawnie, on jeden w sukni łatanój, nie miał często grosza na własną potrzebę, ani sposobu zarobić go sobie, bo żona zabierała wcześniej wszystko do siebie i godziny mu rachowała.

— To biedne dziecko opuszczone, mówił cicho Wawrzyniec malarzowi. — Ma ochotę, wyszedłby może na artystę, ale opiekun, który mu pomagał, oddawał go na naukę, umarł. Nie ma się gdzie podziać. — Gdybyście go przyjął chcieli....

— Gdybym mógł! westchnął malarz — ale sami widzieć, moja dobra żona, moja kochana Maryetta, tak zawsze biedna, chora i chorobą znękana, zniecierpliwiona, tak nie lubi obcych, tak...

— Możeby się przecie zgodziła; Jan mógłby wam trochę posługiwać, a poduczywszy się czegoś, pomagać.

— O! to nie prędko, rzekł malarz łagodnie, ale poczekaj Lorenzo, pójdę ja do niej, poradzę się z kochaną Maryettą.

I chwilkę się zastanowiwszy, jakby dla zebrania myśli, odważnie potem postąpił ku drzwiom, za którymi wrzała buchał piskliwy, to groźny głos ukochanój Maryetty.

— — Czego to? zawołała kobieta zaledwie okryta narzuconą suknią kosztowną ale poszarpaną, z włosami rozpuszczonemi, twarzą zapырzoną. Zawsze te twoje nieczuśne dzieciska naprzykrzają się mojemu Michasiowi, patrz, musiałam je obić.

Włochowi na widok zapłakanych dwojga tulących się do siebie dzieci, łzy zakręciły się w oczach.

— Moja droga Maryetto! rzekł z westchnieniem.

— Moja droga Maryetto! powtórzyła podrzeźniając go żona. Tak! tak! droga Maryetta, a ona się musi zabijać z twemi dziećskami nieznośnemi jak ty. Czemu ich gdzie nie pooddajesz?

— Moje dzieci!

— Ja nie wytrwam w tém piekle!

— Cierpliwości trochę Maryetto! cierpliwości!

— Ja nie mam cierpliwości, wiesz o tém i nie chcę jej mieć. Głupcy tylko są cierpliwi jak ty.

Włoch zamilkł, a po chwili:

— Chciałem cię spytać się Maryetto... miałem do ciebie prośbę

— Wszakże zwykłeś robić wszystko bezemnie lub na przekór mnie.

— Ja?

— A tak! ty! ty! O cóż to przecie raczysz się mnie pytać? dodała szydersko i złośliwie.

— Potrzebuję kogoś coby mi mógł później w robotach pomagać. Chcę wziąć ucznia. Tym sposobem zarobekby się mógł powiększyć może. Ty wiesz ile potrzebujemy, jak trudno mi wystarczyć. Trafia mi się właśnie.

— A! jakiś ulicznik jak ów może coś go przez litość a raczej przez głupstwo wprowadził, co to nas okradł po tém i uciekł. Jesteś i umrzesz cieleciem.

— Ale kochana Maryetto...

— Ale, kochana Maryetto! kochana Maryetto! Chcesz znowu dać się na pośmiech ludziom, gubisz zresztą siebie, ale i mnie. Zkądżeś znów wygrzebał tego chłopca?

— Lerenzo przyprowadził mi go, był jakiś czas u Szyrka.

Te słowa — Był u Szyrka uderzyły Maryettę: spojrziała na męża.

— Dla czegoż się zamtąd oddalił? spytała.

— Szyrko dwa czy coś lata brał za naukę jego opłatę,

od protektora chłopięcia kasztelanica Trąbskiego, który właśnie umarł niedawno.

— Tak! a gdy goły to ty go chcesz wziąć darmo. Marnotrawniku! o! jak to do ciebie podobne. Żona i dzieci nic nie mają, a ty cudzemi się myślisz opiekować. Ale cóż to za łotr z tego Szyrka, dodała.

Trzeba wiedzieć, że Maryetta nienawdziła kawalera Athanazyusza.

— Dobrze, dobrze, zawołała namyśliwszy się, upokorzym tego łajdaka, tego bazgrałę co się ma za malarza dla tego, że się z niego ksiądz Biskup naśmiewa, i śmie mierzyć się a nawet prym brać przed tobą. Dobrze, pokażemy całemu miastu, że nie ma serca, tak jak nie ma głowy. Weźmiemy tego chłopca.

— O! ty masz złote serce Marryetto! zawołał uradowany Włoch całując zabrukane ję ręce. Tyś tak dobra! Tak! tak! weźmiemy sierotę, przyjmiemy, przytulim.

— Daj mi pokój z tém dobrém sercem! Ja ze złości go biorę. Ale pokaże mi go wprzód — chcę go widzieć, bo tyś gotów kalekę jakiego, obrzydliwca wziąć na niewidziane; ty wszystko robisz bez najinniejszej uwagi.

— Zaraz go zobaczysz! zaraz! I Batrani wybiegł do Lorenza z uradowaną twarzą.

— Wołaj tego chłopca! wołaj! Moja złota Maryetta chce go widzieć wprzód, ona ma zawsze słuszość, ona taka rozumna, tak przenikliwa.

Wawrzyniec zbiegł ze wschodów i z bramy domu dał znak biedakowi, który oparty o ścianę czekał patrząc osłupiałem okiem na dym wijący się z komina i latające nad dachem wróble. Patrzył a nie widział nic!

— Janie! Janie, zawołał żywo Wawrzyniec, chodź! chodź!

I Jan wyrwany z zadumania długiego, sennego prawie poskoczył zarumieniony, przerażony, żegnając się bojaźliwie nim na wschody wstąpił.

Na górnym stopniu, u wniścia czekał już na niego Batrani z ciekawością, a gdy Jaś pocałować go chciał w rękę uściśkał go i pocałował w głowę z rozczuleniem, (bo pomyślał o własnych dzieciach w téj chwili) i dodał;

— Nie dziękuj, nie dziękuj mi jeszcze, poczekaj, rzecz dotąd niepewna, nic wiadomego dotąd, wstrzymaj się, chodź za mną.

I wpatrując się w twarz Jasia drżącego, pomieszanego, prowadził go do żony. Jan piękny zawsze, teraz okryty tym królewskim purpurowym płaszczem, rumieńcem niewinności, który tak uwodzi twarze młode, piękniejszy był jeszcze. Spuszczone oczy jego, postawa zalękniona, były najlepszą zaletą w oczach kobiety, która właśnie chciała, żeby wszystko drżało przed nią, i przywykła do tego.

Niecierpliwa Maryetta już otworzyła drzwi swego pokoju, i czarnymi oczyma ściagała nową ofiarę. Lecz, o cudo! błyszczące oczy jój czarne zaszyły nagle łzami, głos w piersi zwinął się i stłumił, zmieszała się, zajęła i zakrywszy twarz dłonią, zatrzaskała drzwi tak silnie, tak impetycznie, że Batrani przerażony, wylękły, nie wątpiąc, iż Jan wypędzony być musi, począł się mieszać, niepokoić. nie wiedząc jak to nowo przybyłemu objawić. Nigdy on odmówić nie potrafił, tyle go kosztowało, ilekroć był do tego zmuszony.

Wawrzyniec widział także zatrząśnięcie drzwi, ale nie zrozumiał go wcale. Wtém z za uchylonej połowy twarz Maryetty ukazała się znowu, wołając męża niecierpliwie:

— Girolamo! Girolamo! Chodźże. Mówiąc to mierzyla jeszcze ukradkiem oczyma chłopca, który stał jak winowajca.

— Odprawię go, odprawię, rzekł uprzedzając chęci pokorny Włoch i westchnął.

— Tak! tak! biednego sierotę wypędzić na ulicę gdy przytułku nie ma! któż ci mówi o tém.

— Więc pozwalasz go przyjąć Maryetto!

— Albożeś się mnie o to pytał? Już jest, niech więc zostanie.

— Lecz jeśli ci to może robić przykrość, jeśli ci się zdaje, że i tak jest nas w domu zawiele? —

— Któż to mówi! zapalczywie przerwała Marya, od kogożeś to słyszał? Niech zostanie powiadam, niech zostanie! Ja chcę ażeby został.

Mówiąc to jeszcze raz spojrzała na Jana i zamknęła drzwi z gniewem, złośliwie, popędliwie jak zawsze.

Włoch posłyszawszy to — Ja chcę — wprowadził natchmiast Jana do swojego domu, bo wszelki rozkaz żony był dla niego nieodwołany.

Tegoż wieczora Jan zniósł rzeczy swoje, pożegnawszy pocziwego Adama i już w kącie wielkiej Batraniego malarni dmuchał nad przyszłością. Pocziwy malarz ukradkiem przyniósł mu trochę jedzenia, pogłaskał go po głowie i nie spieszył z daniem roboty, sam woląc się krzątać i siebie posyłać, niż w tej chwili uroczystego smutku oderwać od rozyniślań biedne dziecko, które już serce jego za swoje było przyjęło.

Nadzwyczajne zmiany zaszły wkrótce potem w domu malarza Batrani. Jan, który zdawał się wzięty prawie przeciwko woli wszechwładnej Maryetty, stał się jej ulubieńcem widocznie. Malarz przypisywał to najlepszemu, złotemu jak je nazywał sercu Maryetty, inni ruszali ramionami. To pewna, że po najdroższym Michasiu, a daleko przed biednymi dziećmi malarza, stał ncezeń w łaskach pani. Często ukradkiem rozwarłszy drzwi Maryetta patrzyła na pracującego, ze łżą w oku. A łża, łża inna nad wylaną w guiewie, tak u niej była rzadką! Ilekroć przemówiła do Jasia, to tak łagodnym głosem, tak drżącym, jakby się ona jego, nie on jej lękać miał. Czasem zamyślona godzinę stała wpatrując się w niego. O cokolwiek poprosił, uprzedzając życzenie podsuwała mu. Michaś nawet nie miał prawa nad nim się znęcać i nieraz burę oberwał, gdy wzorem braciszka i siostrzy-

czki chciał wyćwiczyć ucznia. Malarz przewidujący jak źle Jasiowi nusi być u niego, dziwnie się zawiódł, jak zwykle w domysłach i przeczuciach zawodziemy się wszyscy. Coś niepojętego przywiązywało Maryę do tego dziecka; często gdy sam jeden w malarni siedział skulony, rysując na kolanie z gipsów, wkradala się za niego i cicho i łagodnie poczyniała rozmowę z takim wzruszeniem, jakby głos biednego chłopca znała już dawniej. Jakby on jęć przypominał coś drogiego, utraconego. Nie tylko postawą i ciałem, ale sercem i duszą Włoszką była ta kobieta.

Batrani cieszył się i błogosławił dzień, w którym wziął Jana do siebie, bo teraz częściej miał chwilę spokojną. Lecz Maryetta jakby zapierając drogi pytaniami i wszelkiemu tłumaczeniu, udawała przed mężem obojętną dla chłopca, czasem nawet niechętną. Batrani przywiązywał się do niego co dzień mocniej. Prędko bardzo objawił się prawdziwy wrodzony talent w chłopięciu a Włoch zapalił się myślą uczynienia z niego wielkiego artysty. Każdemu postępowi ucznia poklaskiwał ciesząc się nim jak dziecią. Uczył on nie jak drudzy, co zazdrośni najdroższe tajemnice zostawiają sobie, ale z duszy i z głębi serca dobywając co miał najszacowniejszego. Myśli swoje, doświadczenie długie, smak wykształcony, drogie sztuchy, które zbierał i nad którymi nieraz plakiwał przypominając oryginały w pałacu Pitti i Trybunie — wszystko otworzył Janowi zachęcając do czerpania. Sam nauczony wedle odwiecznej i najlepszej metody u najslawniejszych mistrzów, wlał w ucznia swego co miał tylko od nich, natchnął go tym zapalem co mu z oczu nieraz łyżyciską, świętym ogniem, bez którego nie ma artysty wielkiego, choć tylu pospolitych bez niego się obchodzi!

Cóż bowiem jest sztuka? co artysta? sztuka nie jest głupim małpowaniem natury i prozaicznym tłumaczeniem myśli, ale tworzeniem ideałów, ale spotęgowaniem życia ziemi i wszystkiego, co ono wyraża. Natura widoma, jest tylko objawem myśli niewidomej, a malarz winien wiedzieć znacze-

nie wszystkiego co widzi, aby użył go jako znaków, jako środków ku wydaniu swojej myśli. Co natura myśli i objawia wyrywkowo, niekompletnie, to składa artysta na rysy obrazu swój myśli, myśli znającej siebie, pełnej i wielkiej. Nie ma malarstwa, nie ma sztuki bez prawdy idealnej, jak nie ma ich też bez prawdy realnej będącej wyrazem pierwszej. Artysta nie jest, nie powinien być rzemieślnikiem malującym twarze, drzewa i przedmioty pewne, mniej więc prawdziwie i dokładnie; ale portą co myśl wielką, uczutą, pojętą i wyrywającą się na świat puszcza nań strojną we wszystko co jęć dać może, aby ją widomą, ucieleśnioną, dotykającą uczynił. Bez tego twórczego ognia co unosi mistrzów, co uświęca i oczyszcza sztukę, co ją dzieli od rzemiosła, nie ma obojga. Bez niego zostaje robota bezduszna i bezduszny robotnik.

Są niestety, i jakże wielu podobnych artystów, co siadają do pracy zadanę jak szewc do skrojenia buta, zimno, mechanicznie, bezmyślnie, na traf się zdając, przypomnienia za tworzenie biorąc; ale sąż to godni nazwania tego, artysty? O! nie! Zapatrzmy się na extazę Ś. Łukasza, który w niebie okiem szuka wzoru do twarzy Matki Bożej — jest to cudnie piękny symbol. Choćby Ś. Łukasz nie był malarzem (jak chcą niektórzy krytycy) legenda ta będzie zawsze wielką i piękną nauką. Tak! w niebie są wzory pierwotne, w duchu i myśli ideały nasze być powinny, a bez extazy i zapału nie ma tworzenia. Ideały linii, ideały kolorytu, ideał wyrazu, ideał całości: wszystko powinno wystrzelić jak kwiat aloesu razem, rzutem jednym, — z głębi myśli, z łona artysty ogrzanego zapałem.

Tak właśnie zwysoka, tak wielką pojmował sztukę Batrani, pojmował ją jak naówczas rzadkie tylko, niepospolite i wiek wyprzedzające umysły rozumiały. Czytajmy dzieła XVIII wieku o teoryi sztuki, a przekonamy się, że sztuka naówczas mniej zrozumianą była, gorzej pojętą, niż gdy Leonardo pisał swój traktat, Rafael listy swoje, Benvenuto Cel-

lini pamiętniki, Michał-Anioł sonety. Tam to, w tych urywkach szukać należy rozpiezchłych rysów odwiecznej prawdy o sztuce, którą umysły wyborowe, wielkie, zawsze jaśnieją i lepiej od współczesnych pojmowały. Plato stary, boski Plato, nazwał piękno, blaskiem prawdy, i kazał twórcemu dzieło zapatrywać się we wzór idealny, nieśmiertelny. Po Platonie, wieki czekać było potrzeba, aby toż samo powtórzono.*)

Batrani, wierny uczeń téj potężnej szkoły włoskiej, która razem w jedno wzięta jest może największą w świecie; najlepiej pojmował ideał w sztuce i najłatwiej pojęcie o nim wlać umiał.

Jan przez rok tutaj więcej skorzystał niż przez dwa u Szyrka. Rysunek jego począł dążyć do téj cudnej czystości linii, która zachwyca w sztuce starożytnych, do tego wdzięku, który ani energii ani prawdy nie wyłącza.

Włoch, jak wszyscy ludzie kompletniejsi, nie był zwolennikiem ani jednego stylu, ani jednej mianery, ani jednego mistrza. Widział on w zachwycającej całości sztuki myśl z tysiąca stron objętą i wystawioną, umiał ocenić stronę właściwą każdemu, choć wyłączością grzeszącą. Szukał siły w Michale-Aniele, idealnej piękności linnii i wyrazu w Rafaelu. wdzięku naiwnego u Fra Barholomeo, kolorytu u Ticiano, Palmy i Bellinich, wykwiutnej roboty u Hollendrów, idealizujących kapustę, marchew i zinarszczki staréj baby; przywiązanych tak do kraju, że własne suknie i twarze dają famillii świętej, czystych i przezroczystych w robocie jak skrupulatnie czyści i umyć się w domu.

Lecz z mnóstwa dziwacznych utworów giermańskich

*) *ὁπουν μὲν οὖν ἂν ὁ δημιουργὸς πρὸς τὸ κατὰ ταῦτὰ ἔχον βλέπον ἀεὶ, τοιούτῳ τινὶ προσχρῶμενος παραδείγματι, τὴν ἰδέαν καὶ δύναμιν ἀπεργάζηται, καλὸν ἐξ ἀνάγκης οὕτως ἀποτελεῖσθαι, πᾶν οὐδ' ἂν εἰς τὸ γεγονός, γεννητῶ παραδείγματι προσχρῶμενος, οὐ καλόν.*
Plato. Τιμαιος.

sztuki, stary Łukasz Kranach, nieporównany Martin Schoen, naówczas tak mało jeszcze cenieni, byli dla Batraniego przedmiotem czei i podziwu: płodność i siła Dürera wynawiała w oczach jego niepojętą czasem karykaturalność, a raczej przesadę wyrazu, zbytek realnej prawdy.

W takiej szkole Jan odetchnąć nie miał czasu, każda chwila była tu drogą, wszystkie leciały piorunami, dnie mięły błyskawicą, zapominał o wszystkiem, znikła mu z oczów ziemia jak Eliaszkowi porwanemu na wozie ognistym. Al jakże rzadko, jak rzadko ten wóz ognisty zapału porywa z ziemi wybranych i miosi ich w obłoki! Jak daleko częściej miasto świętego wozu, przypina sobie biedne czelcze, lepione i klejone skrzydła Ikara, aby spaść potem z wyżyny na ziemię, w otchłanie morza!

Wkrótce Jan stał się nawet pomocą malarzowi, wziął pędzel do rąk i nieśmiało pierwszemi barwy wyrazić się starał myśl przenikającą, jeszcze niepochwyconą, której ustalić nie umiał. Łagodnie kierowany, uczył rozwijanie się własne, a radość dodawała mu sił nowych.

Batrani był jednym z tych nauczycieli, co rozumieją najlepiej, że kierując uczniem, samodzielności odbierać mu się nie godzi, że należy oszczędzić mu szukania i niepewności, ale zostawić wybór drogi i nie żądać od talentu aby siebie się zaparł dla mistrza.

Gdy się te wielkie niepostrzeżone zmiany w głębi niego odbywają, Maryetta gorącym okiem, w którym każdy inny prócz pocziwego Batraniego, byłby namiętność ognistą wychytał, obejmuje, rozgrzewa chłopca daremnie.

Oprócz strachu, żadnego uczucia nie wzbudza w nim to wejrzenie dziwne, którego zapału, ognia, czułości, nadziei, chwilami błyszczących, on nie rozumie nawet. Napróżno rozpoczyna rozmowy Marya, on jej tylko wyrwanemi odpowiada słowy, pyta o rozkazy nie śmiejąc nawet podnieść na nią oczów.

— To on! to drugi on! cicho szepcze rozdzierając na

sobie suknię z niecierpliwością kobieta, jak on zimny, jak on obojętny! O! jakże dziwnie, jak cudownie go przypomina! Ale przynajmniej patrzę na niego, widzę go co dzień jeszcze. Łudzę się i zdaje mi się, marzę, że on mnie kocha znów, choć na chwilę. Dla czegoż niczem do życia go pobudzić nie można? Jestże tak dziecinny jeszcze, czy tak zimny już? O! nie, oczy świadczą, że już myśli, ale nie o mnie, nie dla mnie.

Trzeci rok bytności u Batraniego upływał. Jan gorliwie pracował, rozumiał mistrza i wiedział, wiele mu samemu brakło. Kto wie, że nie jest doskonałym, ten najpewniej jest na drodze do udoskonalenia. Tylko dla ludzi, którzy się sądzą skończonymi, w istocie wszystko się skończyło, nie z nich już nie będzie. Dopóki te wielkie, sine i rzestwienie nieskończoności widzi przed sobą człowiek, dopóty idzie; gdy ściana ciasna świat mu zamknie, cofa się, maleje i kona. Jan widział niezmierzone drogi przed sobą, pojmował ile pracy, poświęcenia, ile nauki potrzeba aby być mistrzem i twórcą. Rzec można, że cały świat podbić wprzód musi, kto świat ten ma odtwarzać. Nic mu tajnego, nic mu obcego być nie powinno. I rzeczy łupina-forma i ten duch wewnętrzny co formie wyraz nadaje i blaski powierzchowne jasności wewnętrznej i życie we wszystkich swych objawach počawszy od znikomych światel do ogromnych potworów, człowiek fizyczny i duchowny, dzieje jego, twarz jaką mu nadaje, klimat, ród, obyczaje, cywilizacya, indywidualność, charakter, wszystko zbadać i poznać musi malarz. Dla niego wielką całego żywota zagadką: — związek ciała i ducha, przyczyny objawu formy i myśli — uczy się czytać hieroglify odwieczne i pisać niemi tak, aby zrozumiany został. Musi myśleć jak filozof a tworzyć jak natura; każdy twór jego długo dumany, a szybko wcielony być powinien. Dwie prawdy: prawda prozy dla oczów gminu stworzona i prawda idealna, muszą w nim walczyć i równoważyć się z sobą.

Dla tego pewnie wielcy mistrze dawni nietylko malarzami byli, ale jak nieśmiertelny Leonardo twórca wiecze-

rzy, uczonymi w całym znaczeniu wyrazu. Czegoż bowiem nie potrzebuje umieć artysta?

Zstąpmyż do serca: ile znajomości jego, ile poznania natury ludzkiej potrzeba dla nadania wyrazu jednej twarzy, dla nadania odpowiedniego ruchu ciału? A gdy już wszystko pojęte, zbadane i pomyślane, ile pracy, aby rękę własną podbić jeszcze pod panowanie myśli, aby ona posłuszna, szybko i silnie wyrażała w całości, co pomyśli, co stworzy głowa?

Ten ogrom nauki, nauki ducha i materii widział przed sobą Jan i nie wzdrygnął się, ona go ogromem swym pociągała ku sobie, jak światy pociąga słońce. Pyły tylko rozpadają się bezwładne w niebieskie przestrzenie, ale co żyje, krąży i zbliża się do celu, i wiąże się z czémś tak żywym jak ono same.

Nie będziemy dłużej wystawiali wam Jana w tych walkach pierwiastkowych, bo któżby na obrazek nasz chciał patrzeć? Tysiące szczegółów wyraziłby tu potrzeba, gdy sam ogół nawet tak mało kogo obchodzi. Ta historia duszy tak niszczącą jest w oczach ludzi co wolą zabawną historję złodzieja, niż dla nich obojętną a tak nauczające życie artysty!

Dla Batraniego ten niespodziewany uczeń był darem niebios. Pojmie to każdy kto długo tajone a drogie myśli znalazł nareszcie gdzie wylać, w serce i duszę otwarte ku ich przyjęciu, sympatyczne. Czasem wieczory całe upływały na kreśleniu gorących obrazów pięknej Florencyi, którą młodemu ławemni oczyma, oczyma tęsknoty widział zawsze przed sobą Batrani, z jej kościoły, pałacami, ogrodami, z kampa-nillą i chrzcielnicą, z posągami i temi niezmiernemi bogactwy, które zostawili Medyceusze po sobie, jakby na zatarcie pamięci swych zbrodni. Jan zapalał się obrazami, które ciepłe uczuciem padały nań nieustannie, a w duszy wołał ciągle jak Izraelici na puszczy poglądający w stronę obiecanj ziemi: Italia i Roma — Wołał i odpowiadał sam sobie: Może kiedyś, może tam nigdy nie dojdiesz. Na cóż się przyda

ubogiemu ten wykrzykunik próżny, ten krzyk Tantala, wołanie co się rozchodzi i ginie nieposłyszane nigdzie, nawet w niebie!

Wielkie imiona artystów sławy pełne, laurami uwiecznione wyrły się w pamięci chłopca. Z rozmów Batraniego, z jego tek i dawnych rysunków, które przedstawiały wszystkie sławniejsze freski, w rzadkich tylko i kosztownych widzieć się mogące zbiorach, znaczniejsze zaś figury i głowy osobno studyowane dla wyrazu, anatomii, linii, światła, skurczeń umiejętnych lub rzutów draperyi; z mnóstwa prac tego niezmordowanego człowieka, co jak prawdziwy artysta całe Włochy wyniósł w swą tece: i pałace Palladiów i obrazy Sanziów i ruiny teatrów i starożytne obłamki pogańskiej sztuki: szczęśliwy Jan uczył się Włoch wcześniej i gotował do ich widzenia. A mistrz, jakże się unosił młodą jego radością na widok tych arcydzieł! On, odmłodził z nim i gdy pierwsze postacie myśl własną wyrażające narysował Jan drżącą ręką, z policzki płomieniącemi natchnieniem jeszcze dziewiczym, jakże go serdecznie uściskał poczciwy nauczyciel, jak ze łzą w oku błogosławił mu wyciągnionemi rękoma, ojcowską duszą!

— O! możesz i ty wykrzyknąć, rzekł poruszony: *An ch'io son' pittore*. Ty będziesz wielkim malarzem! Byleby ci życie nie stanęło w poprzek geniuszowi, byleby nędza nie przykuła do ziemi, a robak namiętności nie wkradł się w zawiązki owocu, a poziome chęci nie ściągnęły z polotu na ziemię

Mówił i spuścił głowę zasmucony.

A Marya? Maryetta ubóstwiona zawsze prawie jednako przykra dla Włocha, dla Jana co dzień wyraźniejszą okazywała czułość. Darujmy jęj, nie była to bowiem pospolita zalotność, nie była to prosta zwierzęca żądza młodości, było to silne wspomnie niedokończonego szczęścia, co się dopominało praw swoich

Jan tak był podobny do pierwszego jęj kochanka, do uwielbionego i nieodżałowanego młodych lat towarzysza, że Marya pokochała w nim nie nowego człowieka ale swą dawną miłość.

Obojętność Jana, który w pół nierozumiał czego od niego chciano, w pół nie chciał rozumieć, gdyż byłby w swém przekonaniu winien zdrady i podłości, gdyby choć jedném wejściem stał się uczestnikiem uczucia niewywołwanego, natrętnego: obojętność ta zwiększała jeszcze zapał i niecierpliwosć kobiety. Niezrażona zimnóm uszanowaniem Jana podwajała oznaki przywiązania ale napróżno, zawsze i ciągle napróżno.

Jan tylko nieustannie palony jój oczyma, których wreszcie unikać nie mógł, uczuł budzące się w sobie uczucie któreby może jeszcze długo w nim spalo. Niespokój młodzieńczy, pragnienie nieopisane, tęsknota, zamyślenie, opanowywały go. Dokola siebie szukał czegoś, jakby przeczuwał zbliżenie, jakby czuł oddech nadchodzącej.

Naprzeciw małej izdebki, którą rzadko we dnie, ale zawsze wieczory i rankami zajmował Jan, wprost okna jój wychodzącego na dziedzińce, był stary dom nowemi budowaniami tak objęty dokola, że okna jego wychodziły w podwórzec rozciągającej się kanonii i oddzielony murem tylko od podobnegoż podwórza domu, zajmowanego przez Batraniego.

Stara ta kamienica nieforemna, szara, mnóstwem komi-nów różnokształtnych najeżona, ścieśniona przybudówkami różnego przeznaczenia i wysokości różnych, nigdy w początku nie zwróciła oka pracowitego Jana. Nie miał on tój próżniaczęj ciekawości lat młodych, tego chciwego późniejszych pragnienia wniknięcia w życie otaczających go ludzi: żył jeszcze w sobie i co się działo obok nie widział. Ale gdy wejrzenia słodkie słówka Maryetty wprawia go w zadumania długie, mimowolnie oczy poczęły też błądzić dokola, jakby czegoś do zdobycia szukały. Tęsknota, to pragnienie pomieszane z nadzieją, tak różne od tęsknoty będącej tylko

słodkim sunutkiem, uderzyła na serce Jana. Szukał a nie wiedział czego, spodziewał się, nie pytając nawet siebie, kogo? Dziwnym a częstym jednak w życiu ludzkim trafem jedno spojrzenie wytlumaczyło mu ten niepokój wewnętrzny.

Naprzeciw okien Jana, w przeciwnym domu ukazywał się zwykle z za wypłowiałej firanki kolorowej, suchy i dziwny profil staruszki, jakby z obrazu Gerarda Dowa wycięty. Nieraz Jan, chociaż starość zmarszczoną na sposób flamandzki, w czepku z wielkimi białymi falbanami muslinowemi, nie miał za przedmiot malarski; mimowolnie chwycił ten profil stale przez część dnia ukazujący mu się za murem.

Staruszka zgięta, skureczona we dwoje, z pofalowaną twarzą, ze spiczasto zakończonym nosem, z wystającą brodą, pomimo tych pospolitych rysów wiekowi właściwych, wiele miała szlachetności, wiele stylu w fizyognomii. Jan przemyslał nawet nieraz, czy lepiej było schwytać ją do teki na starą sługę Judyty, czy na matkę Dariusza. Rysy twarzy czyniły ją prawie godną być Dariusza matką.

Na sługę Judyty musiałby ją być chyba skarykaturować. Starszy, a nadewszystko ciekawszy, dawnoby był dopatrył, że głowa staruszki często się ukazywała nie samą, ale jakby oplecioną dwiema anielskimi twarzyczkami prześlicznych dziecięzątek. Jan jak cudo i zjawisko, dnia jednego gdy słońce biło w otwarte okno przeciwka, ujrzał nagle, dwie młodzieńcze twarzyczki aniołów, śmiechające się ptaszkowi białemu, gołąbkowi, którego jedna z nich trzymała w ręk. dzióbek różowy do rumianych swych przytykając nstek. Wnuczki dwie stariej kobiety, były prawdziwie piękne!

Złote włosy dzieci północy, błyszczały na białych ich skroniach, niebieskie oczy jednej, ciemne drugiej, opasane były rzęsami długimi co taką dają wejrzeniu łagodność. Świeże jak dwa tylko co rozwite kwiatki, śmiechały się do gołąbka, ukazując i usteczka różowe i ząbki bieluchne a drobne. Był to gotowy obrazek i malarza naprzód jako obrazek nderzył; potem zadumał się dłużej popatrzawszy na pro-

fil niebiesko-okiej i począł ją ścigać wzrokiem i przesiedziały w oknie trochę dłużej niż zwykle.

Dziewczęta bawiąc się swoimi gołębiami, swawoląc wracały ciągle ku oknu, aż jedna z nich jakby poczuła wejrzenie, (któż nie wie, że wejrzenie, nieczuć można nie widząc go?) zwróciła oczy na Jana. Szepnęła coś siostrze, obie ukradkiem spojrzały na niego, ale nie uciekły od okna. Owszem, choć młode a już zalotnice, poczęły bawiąc się umyślnie może nastroć oku patrzącego. Gołąb zerwał się, wyleciał oknem i jakby nanówiony (ile trafów w życie!) splątawszy się kilka razy w powietrzu, zawrócił ku otwartemu oknu Jana, zatrzepotał, i przywabiony usiadł na nim. Dziewczęta wychyliły się śmiejąc za okno, potem zakryły oczki, ustąpiły wstydlive i zaglądały tylko ciekawie z za firanki, sparszy się główkami na ramieniu staruszki. Jan wyciągnął rękę ku ptakowi a gołąb oswojony usiadł na niej: serce mu bilo, twarz płonęła i pocałował gołębia.

Ptaszek jakby poczuł dopiero obcego po oddechu, zerwał się szybko, okrążył dzielące domy podwórze i odleciał do dziewcząt, które go go przyjęły śmiejąc się, zamknęły okno swoje żywo i pobiegły z nim do drugiej izdebki.

Ta dziwnie sielankowa scena, choć zresztą naturalna bardzo, była pierwszym wstępem do wielu późniejszych. Odtąd dziewczątka z przeciwka stały się znajomemi Jana, Jan ich przyjacielem zdaleka. Szukano się wzrokiem, witano ukradkiem, a gołąbek zawsze przypominał poznanie Młodsza niebiesko-oka często rozsuwała firanki, otwierała okno; czasem wsparta na ramieniu babki długie wejrzenie rzucała w przeciwną stronę dziedzińca. Jan też często spieszył do izdebki, zamyślał się w niej, stał, czekał.

Po kilku tygodniach znajomość zupełna zawartą została, miłość obudziła się, ale z obu stron nie umiano, nie chciano, czy obawiano zbliżyć się więcej. Jan był nieśmiały z natury, nieśmiały biedne swe znając położenie, lękał się wreszcie sam spełna nie wiedząc czego.

Łatwo mu było dowiedzieć się o dziewczętach; wszyscy je znali. nie wiele jednak więcej od niego. Kto one były? kto babka? różnie różni opowiadali, ubóstwo tylko, pracowitość i śliczne twarzyczki powszechnie uznawano. Zajmowały ze staruszką parę pokoików w domu. którego okna nie wychodząc z téj strony na ulicę. skazywały na mieszkanie wydzielczonym od losu. tym co do ruchu życia świetniejszego mieszać się, ani nawet na ten ruch patrzeć nie mieli prawa. Im ciche schronienie i praca. Gołąbek jedyną był zabawką.

Mało miała staruszka znajomych i przyjaciół, bo nie widać było odwiedzających. Jeden tylko czasem stary, złamany, w polskim ubiorze z siwą głową dziaduszek, może daleki krewny, może młodych lat przyjaciel, czasem się tam ukazywał sparty na łasce z galką kościaną. Spędzał on wieczory śmiejąc się, jak to dawniej śmiać się dobroduszenie umiano, ze staruszką i dziewczętami. One chodziły tylko do kościoła razem, rzadko po południu na przechadzkę. Znano je wokołicy mieszkania pod nazwiskiem siostrzyczek, bo jednakowo ubrane, bardzo do siebie podobne, uderzały i zajmowały każdego. Miały wielu jak Jan nieznajomych przyjaciół.

Staruszka regularnie opłacała za mieszkanie, żyła bardzo skromnie, jedna sługa najęta z miasta, kuchnią i całą zajmowała się posługą. Służąca wypytwana nieraz przez ciekawych, na wszystkie zapytania odpowiadała: — Albo ja co wiem! lub ruszała ramionami dając do zrozumienia, że wypytwać niebardzo było warto.

Raz, stary Batrani zastał Jana siedzącego w oknie i tak zapańietale wpatrującego się w niebiesko-oką sąsiadkę, że wchodzącego malarza nie posłyszał nie postrzegł, nie przeczuł; zbliżył się Włoch, spojrzał, powstał chwilę z wyrazem litości na twarzy i położywszy zwolna rękę na ramieniu chłopca, uśmiechnął się gorzko

— Janie, rzekł powolnie do zarumienionego, schwyta-

nego na uczynku chłopca. Tyś już nie dziecko, powiem ci jak mężczyźni: unikaj kobiet, twoją jedyną kochanką sztuka. *Ars longa, vita brevis*; życie jęj poświęcić mała. A kobieta daż ci większe i pewniejsze rozkosze? O! nigdy! Starożytny Egipt, którego niepojęta mądrość dziś się nam ćmami pokryła, w pięknym symbolu całą zamknął historię kobiety w społeczeństwie. Widziałeś Sfinksa? to kobieta. Wiekuista zagadka, którą najpospoliciej rozwiązuje śmierć ciała albo śmierć duszy. Twarz anioła, piersi matki, ciało zwierzęcia, dwie nogi a ptasie skrzydła. Obiecuje ci wejrzeniem anioła, lecz uściśniesz w nięj potwór, zwierzę, matkę, a skrzydła uniosą wkrótce daleko od ciebie, to dziwne jakby senne widziadło! Odwróć oczy i nie patrzaj. Ciągnie cię kobieta, tym urokiem jakim pociąga przepaść, niebezpieczeństwo, śmierć!

Kochaj sztukę, kochaj piękność idealną, niecielesną, ale nie kobietę. Słowo tęg zagadki — kobiety, opieczętowane w księdze siedmiu pieczęci na drugim świecie. Nigdy, nigdy jęj nie zrozumiesz. — W oczach Sfinksa, wieczne pytanie tylko, pytanie i pytanie bez odpowiedzi. —

Może on sam niewinię temu, dodał po chwili smutnie, jest stworzony zagadką dla siebie i dla drugich, sam więc, tęskni i pragnie, zawodzi się, zniechęca, spodziewa jeszcze i pyta znowu świata, po co mu dano na ramiona, na serce życie takięj pełne tęsknicy, tak nie pewne jutra, takięm spalone pragnieniem... Biedni my i on biedny!

To powiedziawszy głosem stłumionym, wyszedł Batrani, a Jan Izawo się zamyślił. Niebieszko-oka dawno była nciekla zawstydzona, pastrzegłszy wchodzącego starego Włocha.

Skarżym się wszyscy na zawody, lecz któż z nas przestrzeżonym nie był? Głos wewnętrzny, głos ludzi, głos umarłych co swe doświadczenie nam przekazali, wszystko mówiło młodemu: zawiedziesz się.

A jednak poszedł aby się zawiódł i zawiódł umyślnie. Mówią, że na wielkich wyżynach gdy wzrok zwrócisz na dół,

czujesz potrzebę upadku. ziemia cię pociąga gwałtownie, wlepiasz w nią wzrok fatalnie, tracisz przytomność, myślisz o niebezpieczeństwie i śmierci, wyciągasz ręce, upadasz. Tak właśnie młodość ciągnie nas koniecznie ku zawodom. Uwiadomienie o następstwach niczem jest: *Homo vult decipi*, wola jest tu konieczności objawem. Jan też zrozumiał wyrazy Batraniego: błyskiem ukazała mu się przyszłość przed nim, a jednak nie zamknął okna, ani go na później mikał. Niebieskooka ciągnęła go zawsze ku sobie. Nie widział w tej przyszłości, nie mógł się spodziewać jutra ze wschodem słońca wesela, brnął jednak sercem i kochał. Bo kochanie samo jest taką koniecznością w młodości, jaką spadanie kamienia podniesionego w górę, upuszczonego z ręki. Mniejsza o rozbicie się w druzgi, upaść potrzeba.

Wkrótce Jan dowiedział się, wyszpiewował kiedy siostrzyczki wychodziły do kościoła, znalazł sposób wymykać się z domu, spotkać z niemi na drodze i zerwać uśmiech z jej usteczek, spojrzenie, potem słówko obojętne, potem słówko pożądane, drogie, potem był już szukany, nareszcie dawano mu znak z okienka, gdy siostry wychodzić miały w ulice, ale tak zręcznie! tak zręcznie, że nikt go zrozumieć nie mógł, prócz Jana. A Jan coraz dłużej zamyslał się i przesiadywał w izdebce.

Stary Batrani powtarzał często:

— Janie! Sfinx cię zgnbi! Nie odgadniesz zagadki a zginiesz dla niej. Wielki symbol świadczy, że kto nie odgadł zagadki Sfinxa, ginąc od niego musiał. Tak jest po dziś dzień, wszyscy ginie, bo nikt jej nie zgadnie. Janie mój, zbyt często wpatrujesz się w Sfinxa.

Jan zaczerwieniony, zawstydzony nie odpowiedział.

Maryetta, która nie pojmowała obojętności młodego chłopca dla siebie, bo od chwili przybycia Jana, starała się być i była dla niego miłą, łagodną a piękną; poczuła nareszcie rodzący się gniew w sercu, oczy jej zachodziły krwią i łzami, serce biło wściekle. Naturalnie, myślała wreszcie, że

Jan gdzieindziej kocha, obiegła ją niespokojem. Poczęła go śledzić i podejrzewać. Zamyślanie, częste wycieczki z domu, częstsze do izdebki wychodzenia i przesiadywania w niej, coraz pewniejszą czyniły ją, że Jan kocha kogoś. — Ale kogo? kogo?

Jednego poranku Jan wstał raniiej od wszystkich i zasiadł w oknie. Piękna Jagusia otworzyła przeciwległe i oparta na łokcin odpowiadała oczyma na ciche wyrazy kochanka. Maryetta jakby przeczuwała coś, schwyciła się z łóżka i poczęła po całym domu szukać Jana. Słyszała (znała chód jego) przed chwilą stąpanie w pokoju: cicho skradając się przysunęła pod drzwi izdebki, rozwarła je i ujrzała go w oknie. Z bijącym sercem na palcach postąpiła zobaczyć, w co się tak pilnie wpatrywał. Wzrok jój spotkał Jagusię. Wszystko było wytłumaczone: w chwili zatrzęsała się gniewem dawniejszym, nieokazywanym od czasu przybycia Jana, i wybiegła głośno drzwi zatrzasnąwszy.

Jan osłupiał.

Obrażona kobieta leciała do męża.

— Precz z nim! zawołała, tupiąc nogą, niech ztąd idzie, niech idzie sobie, niech żebrze! Precz z nim, to niecnota!

— Kto? co? spytał pokornie Włoch.

— Kto? Ty innie pytasz jakbyś nie rozumiał? Dawno musiałeś o tém wiedzieć. Ten próżniak, zamiast pracować, bałamuci się z dziewczętami jakimiś z przeciwka. Twój Jan, twój ulubieniec! Nie chć go więcj w domu, precz z nim jednej godziny.

— Ale Maryetto droga, samaś —

— Tak! samaś go chciała, sama chć teraz abyś go sromotnie wypędził. Zaraz, zaraz, natychmiast.

— Moja Maryetto droga. Ja go kocham, ja się do niego przywiązałem. Jeżeli winien można go naganić, postraszyć. Ale cóż zawinił? To są młodości. Daj się przebłagać, ja sam cię za niego przepraszam.

— Nie chcę nic słyszeć! nie chcę wiedzieć o niczém więcej! Niech sobie idzie, niech idzie precz. Oddawna już znieść go nie mogę, nie cierpię.

Malarz się uśmiechnął.

— Jesteś nieubłagana? spytał raz jeszcze biorąc za kłankę.

— Wypędzić go i to zaraz, mówię ci zaraz!

Batrani spuścił głowę, ruszył ramiony, chciał mówić coś jeszcze; ale kobieta, której gniew mieszał się ze łzami, wypchnęła go za drzwi i zamknęła się na rygiel. aby płakać niewidziana.

Włoch długo się namyślał, potem wziął ukryty w kąciku woreczek, obliczył kilka dukatów, łza mu się zakręciła w oku, westchnął i poszedł ku izdebce Jana tak smutny, jakby sam został wypędzony.

Jan przeczuwał coś i lękał się; powitał jednak wesoło mistrza, którego chmurne czoło, zaczerwienione oczy, skłopotana mina, wiele mówiły.

— Janie, rzekł Batrani cicho, dobywając głosu, kochany Jasiu — poprawił się — musim się rozstać.

— My! rozstać! jako?

— Tak, powtórzył Włoch ocierając łzę rękawem, nie ja, nie ja, ale ona. Maryetta cię wypędza. Nie wiem coś zrobił. Musiałeś ją oburzyć temi nieszczęsnymi miłostkami przez okno, ona tak święta i czysta!

Jan spuścił oczy jak winowajca.

— Nie chce cię widzieć więcej w domu, kazała mi cię ztąd wysłać. Lecz dokądże ty pójdziesz biedne dziecko?

I Włoch oparł się o mur zamyślony.

— Ja nie wiem, Bóg poprowadzi, rzekł Jan smutnie patrząc w okno, w którym mignęła twarzyczka Jagusi.

— Jak ty bezemnie, jak ja się obejść bez ciebie? Nie wiem; tyle rzeczy mogłeś się tu jeszcze nauczyć, na tak dobrę byłeś drodze! A! mój drogi, bądź co bądź nie rzucaj malarstwa. Ono jest także kapłaństwem, poświęć mu ko-

biety, nadzieje znikomego szczęścia, świat, życie. Nie dla sławy, bo cóż słowa? ale dla nagród, które znajdziesz w sobie samym. Sztuka jak wiara (na inny rozmiar) sama płaci sobą. Nie porzucaj jej, zaklinam cię. Ludzie cię może nie poznają, świat cię sponiewiera, nie ocenia cię pewnie: będziesz dla jednych za wysoko, dla drugich pozornie za nisko; napoją cię octem i żółcią, przebiją ci bok i serce. Ty wszystko to poświęć sztuce, ona wielka, ona ci nagrodzi mężnie chwilami niezmównanej rozkoszy. A jeśli jeszcze wiara dawna, gorąca, w sercu twym z sztuką za ręce się weźmą, ty będziesz szczęśliwszy o kawałku razowego chleba, niż inni opływający w rozkoszach ciała, które się przebiorą; gdy rozkosze sztuki, nigdy. Sztuka jedna nieskończona i bezdenna. Sytości nie ma na dnie czary, bo dno nie ujrzysz tam nigdy.

Janie mój, ale gdzieś się podziejesz, co myślisz począć z sobą!

— Radź mi, ja nie wiem.

— Radzić, jabym ci radził... Jedno jest tylko na świecie miejsce dla poety, dla prawdziwego artysty, ale ty dziś przynajmniej jeszcze nie zechcesz go, nie odważysz się w nim zamknąć. To jedno miejsce: klasztor. Wielka samotność, miedlitwa, pogarda świata, część Boga podnosząca duszę, oddanie się sztuce bezwyjątkowe. Gdybym miał drugie życie, nie inaczejbym nim rozporządził pewnie! Ale ty...

— Ja mam matkę, siostry w ubóstwie, którym winienem być pomocą.

— Tak; świat cię ściga, wszystko odrywać będzie! Obowiązkowi, moje dziecko, przed wszystkiem. Jesteś synem, bratem. Ale cóż poczniesz z sobą?

— Powrócę do matki.

— Dzielić się z nią nędzą i zwątpieniem. O! nie! nie! jeszcze ci nie pora wracać, z czemże przyjdiesz?

— Gdzież pójdę?

— Pozostań w mieście, spróbuj sam zarabiać na życie, a ucz się.

— Zarabiać! lecz jak? Chceszże żebym na zawołanie, dla pieniędzy, dla potrzeb brudnych, zniżał się do robót, — do robót. —

Batrani się uśmiechnął.

— Każdy tak czynić musiał, rzekł. Jestto jednym z warunków życia artysty, być zapożyczanym i umęczonym głupstwem ludzi. Trzeba umieć być wyższym na to. Nie dosięże ci, że czujesz piękno i czcisz je w duszy?

— A płodzić będę musiał nieforemne, poczwarne?

— Dla chleba! Wszak Bóg stworzył żaby i węże, aby niemi zapelnić wody i kaluże; możesz i ty zlepku rąk Jego, tworzyć co ci każą na zapehnienie żądań, które są jak kaluże i bagniska.

Posłuchaj, dodał, praca żadna a żadna nie kała człowieka, nie poniża artysty. W najinniejszą możesz wlać ducha, podnieść ją i uszlachetnić. Nie każdy może tylko to tworzyć co pragnie i wtedy gdy pożąda, ale każdy może sumiennie wykonać co mu los nadarza i pracując na chleb nawet, uczyć siebie i drugih. Przekłeta duma którą wpojono artystom. czyni ich dziećmi kapryśnemi, wielki jeniusz umie z ciężkiej konieczności nawet wyjść zwycięsko...

Była chwila milczenia. długa, ciężka, Batrani wsunął woreczek w rękę Jana.

— Dałbym ci więcej, rzekł, ale Bóg świadkiem, nie mam. Jan rzucił mu się do nóg i oddał nazad ten dar prawie płacząc.

— Weź proszę! Na cóż mi to dajesz? Dałeś mi więcej niż skarby, bo dałeś mi duszę nową, uczucia, myśli, uczyniłeś mnie człowiekiem. Kiedyż ci się i tak wypłacić potrafię?

— Pauiętaj o mnie, o starym Batranim, który wkrótce może — (pokiwał głową i mmiłkł). A jeśli kiedy jaki los szczęśliwy zagna cię do pięknej, czarownej mojej Florencyi, jeśli ujrzysz to miasto Medyceuszów i ucałujesz ziemię grodu sztuki, zcjdź na małą uliczkę, Vigna Vechia gdzie stoi stary

nasz domek. Może tam go już nie ma! tyle to lat nibiegło! Pokłoń się odemnie wspomnieniom starym, pójdz na cmentarz Franciszkanów i poszukaj kamienia pod którym leży Giulia Batrani, święta matka moja. pomódl się za nią, i powiedz popiołom...

Głos wrzaskliwy Maryetty przerwał wylanie się Włocha.

— Idź, idź! rzekł żywo do Jana, słyszę jój głos. Bierz te pieniądze. Oddasz mi je gdy będziesz mógł, zobaczysz się dziś jeszcze, za chwilkę, w kościele świętego Jana. Zbieraj rzeczy i idź. Idź! A! czemuż nie mogę cię zatrzymać!

Po cichu stary Włoch otworzył drzwi, powiódł okiem za uczniem, który z lekkin tłómczkiem i teką swoich rysunków, schodził już ze wschodów pomieszczenia. W ulicy zastanowił się, przypadł do muru, usiadł. Maryetta spojrzała na niego oknem i zaśmiała się ze łzami.

— Wypędzony! zawoła, tak! nie ma go! wypędzony, nie ma i nie będzie Dobrze! niech idzie, niech zginie, niech przepada, to był upiór co mi serce wysysał. —

I upadła na łóżko słuchając

Jan siedział odurzony pod murem jeszcze gdy dwie siostrzyczki, ujrzały go idąc na mszę.

— Patrz Jagusiu! rzekła starsza po cichu, twój gołąbek! Co to jest?

— Gdzie? A! to on! Cóż tu robisz? Z tłómczkiem! Wypędzili go czy co? Wiem, wiem, rozumiem wszystko.

Jagusia widziała żonę malarza w oknie, domyśliła się sceny całej, postąpiła ku Janowi żywo i dotknęła jego ręki, bo on nic nie widział.

— Panie Janie? spytała, co to jest?

Jan się dopiero ocucił.

— A! żegnana panienkę! odchodzę, idę.

— Dokąd?

— O! daleko zapewne! do swoich, do matki.

— Ale zkądże to tak nagle?

— Nie mam już miejsca u Batranich.

— Dla czego?

— Nie potrzebują ucznia.

— Wrócisz tu kiedy?

— Czy wrócę? nie wiem, a! nie wiem, rzekł smutnie. To wiem, że nigdy, do śmierci, nie zapomnę ciebie, dodał kładąc jej rękę na swém sercu. Chodźmy do kościoła i ja potrzebuję się modlić. Dzwonią na mszę.

Ulice były jeszcze prawie puste, ranek prześliczny, przeszli przez kościół razem, smutni, kilka tylko słów do siebie przemówiwszy. Dziewczyńce srebrne łożki w oczach się kręciły! Jan już był mężczyzną i dumął. Batrani po chwili napędził ich niespokojny, znalazłszy jakiś pretekst wynijścia z domu. Wywołał Jana do kruchty.

— Cóż z sobą myślisz? — spytał znowu.

— Nie mogę tu pozostać, odparł Jan, później, kto wie, powrócę może. Matka dawno nic nie wie o mnie. A potem cóżbym tu począł? Co dzień więcej przywiązuję się do tego anioła (wskazał na modlącą się Jagusię) muszę uciekać.

Włoch nie już nie rzekł. — Na drogę, wybąknął po chwili, potrzeba ci więcej pieniędzy. Pomyślałem o tém, ale ich nie mam. Jeśli masz dla mnie trochę wdzięczności, przywiązania, jeśli kochasz nauczyciela. przyjm jeszcze odemnie ten stary zegarek, on mi nie jest potrzebny. To pamiątka po ojcu, z nim przybyłem z gorącej Florencji pod wasze zimne niebo. Oddaję ci go chętnie; w potrzebie, pilnej potrzebie sprzedasz go, (tu westchnął). Gdybyś się obejść potrafił, powrócisz mi go później. Jeśli żyć nie będę, zachowaj go na pamiątkę.

— O! wolalbym pracować jak wyrobnik, zapłakał młody chłopiec ściskając ręce i rzucając się na piersi starca, niżeli przyjąć taką ofiarę. — Nie chcę, nie chcę.

I w długim uścisku pożegnali się.

Jagusia jeszcze raz rzuciła mokry wzrok na niego. Jan nie czekał dłużej, pokłęknał, pomodlił się gęroco, ze łzami, i ruszył sam nie wiedząc dokąd idzie: oszalony, nieprzytomny.

Każda podróż w młodości zajmuje tak silnie! Podróżujemy naówczas myślą po obszarach nieskończoności! a gdy i oko ciała przebiega coraz nowe przedmioty, gdy świat w całej mu się swojej nieskończonej różnorodności przedstawia, dusza i ciało harmonizują rozkosznie. Starcem, gdy wszystko w duszy osiadło, gdy skrzydła wypelzły, i ciało już wówczas nie podróżować więcej. Podróż męczy, nam trzeba spoczynku, spoczynku, cichego przygotowania do śmierci.

Jan, który lat kilka przesiedział w mieście nie podróżując dalej nad okolice Wilna i to zbyt rzadko, bo rzadko wstawał od jednostajnej pracy; pomimo smutku głębokiego uległ uroczym widokom nowym jeszcze dla niego, zewnętrznego świata.

Było to lato — w całej krasie jaką ta pora miewa czasem u nas, wszystko ubrane zielenią wesołą, niebo w coraz nowych barwach, ziemia w pełni życia swojego. Pieszko powolnie idąc, zatrzymując się gdzie i jak długo chciał nasz malarz, nieraz dobywał ołówki i dumał długie godziny spoglądając z pagórków w doliny daleko usłane. Ranki parne, wieczory dziwnemi blaski zachodu oświecone zachwycaly go; zdawało mu się, że pierwszy raz natura jest tak uroczą, tak nieporównanie piękną.

Znużony pieszą wędrówką przysiadł się na wóz wieśniaczy po drodze za małą opłatą przyjmujący go gościnnie na szerokie z siana posłanie; przyłączał się do podróżnych jak sam ubogich ale uboższych jeszcze duchem od niego. Nocował czasem sam jeden pod drzewami, czasem u ognisk gospody, wśród pokotem osłanych, znużonych jak on ludzi, którym sen był najwyższem szczęściem, bo dawał zapomnienie. Chciwie chwycił te naiwne opowiadania ludu, które się słyszeć dają u gościnnego stołu karczemnego, gdy się człowiek rozgrzeje, posili i wypocznie, a myśl w nim zaszumi. Niekiedy tylko wspomnienie przeszłości tak nagle i niespodziewanie zerwané, niespokój o jutro, o matkę, o rodzinę, zasępiały mu czoło.

— Jak ją znajdę? pytał się siebie.

I szedł dalej a dalej, a gdy się zbliżył ku rodzimiej stronie, która mu mgliście i niewyraźnie rysowała się w pamięci, podwójnie zabiło serce.

— Co tam się dzieje? co się tam dzieje? powtarzał w duchu i pomodlił cicho.

W kilka dni zmęczony, bo nieprzywykły do pieszej podróży, ledwie już mogąc dźwigać tłumoczek choć lekki, Jan stanął na wzgórzu, z którego obejrzeć można było całą znaną okolicę. Miejsce to zwało się Grabową górą, z niego widać było bardzo daleko dokoła: wierzchołki lasów sinych, które przebył, jak ciemna zasłona leżały za nim ginąc w oddaleniu: przed nim kraj znany; w prawo na kraju brzozowego lasu wśród rzadniejących drzew, ujrzał Dworek Brzozowego Ługu, który mu teraz wydał się mniejszy, bardziej przytulony do ziemi, pochły, stary, ze swą zagrodą kamienną, szopką i znanymi kilką pułakami czerniejącymi wśród podwórka. Dalej, poniżej, spało miasteczko nad rzeczułką za zieloną łąką, miasteczko zwinięte jak ślimak w skorupce, z którego jak dwa rogi, dwie białe wysuwały się wieżyczki kapucyńskiego kościoła z klasztorem, przytkniętego do drugiego pasma lasów. W lewo a dalej Nowy Dwór na wzgórzu, poniżej we mgle Zasiszki, Troba i inne folwarki: drożyny, krzyże na rozdrożach, wąskie grobelki. przecinały obrazek.

Wszystko tak znane i tak nie niezmienione!

Nasyciwszy się widokiem tyłą wspomnieniami brzemieniem, zwrócił Jan niespokojne oczy na chatę matki, jakby chciał zbadać co tam zastanie

Niewyraźnie ztąd tylko dojrzał nieco lekkiego sinego dymu wzbijającego się w górę, na dziedzińcu nikogo nie zobaczył.

Cisza ranna panowała na drogach, chmury siwe po burzy wczorajszej, porwane i poszarpane wiatrem leciały spiesząc na zachód, gdzie już siny ich wał zapadał. Chwilami słońce błysło na część wielkiego krajobrazu zostawu-

jąc resztę w cieniu. Dwa czy trzy razy ozłociła się facyata z krzyżem kościoła Kapucynów, który we świetle panować się zdawał otaczającemu krajowi; potem mdły półcień oblewał znów cały widok jednostajnymi tony.

Jan jakby się obawiał iść dalej, pozostał chwilę, potem zawstydzony się własnej bojaźni ruszył żywo. Ale nieraz zastanawiać się musiał. Któż nie zna tego bojaźliwego zbliżania się do domu po długiej niebytności? Człowieka byt i szczęście tak zależą od chwili, od jednego nic, że się zawsze boim nie znaleźć czego najwięcej pragniemy, znaleźć czego się lękamy powracając do domu. Jan szedł i stawał, a im był bliżej, tém nierówniej to pospieszał chwilami, to się włókł powolnie. Patrzący z boku wzięłby go może za szalonego.

Gdy wreszcie odkryła się chata ojcowska, krokiem niepokojnym puścił się ku niej żywo, żywo, aż mu zabiło oddech, aż krew uderzyła do głowy. Lusto było w podwórku. Starego psa, towarzysza zabaw i dumań, stróża, piastuna dzieci nie zastał; trawa gęsta nietknięta zębem koni i bydła porastała dziedziniec.

Szczebiotanie siostr, głosn matki, nic; tylko dzieciół kul drzewo niecierpliwie i wrony krakały unosząc się nad polami.

Drzwi dworku były na wpół przymknięte, lecz Jan doszedł do sieni a nikt go nie powitał. Pustynia, cisza. W sieniach jak zwykle na wsi wszystkie narzędzia gospodarskie stały, leżały przy ścianach: miecki, beczki, żłukta, garnki, grabie, rydle, widły, drabiny, w kątach zepchnięte spoczywały. Otworzył drzwi izby, cicho jeszcze. Czemuż głosu matki, ani siostr głosu nie słyszę?

Przebiegwał się i wszedł powoli.

— Kto tam? ozwały się dwa głosy z głębi, a w jednym z nich poznał Jan głos macierzyński, głos słodki, ale zmieniony i drżący. — Kto tam? powtórzono.

— Niech będzie pochwalony, — odróżny. Stara nie-

znajoma kobieta wywlokła się z zapieca, przy którym skulona siedziała i popatrzała na Jana głupawym wzrokiem. Potém matka, matka wysunęła się także, patrzała, patrzała, zarumieniła się, milczała; przeżyła pięć lat w téj chwili i poznawać zaczynała swe dziecię.

— Matka, wykrzyknął Jan pierwszy, rzucając się ku niej. Mniej była zmieniona od niego; ona zestarzała, zbladła, zmalała. on wyrósł, wynęśniał, wyszedł z dzieciństwa. Łzy zakręciły się w oczach obojgu. To on! — to ona! — Tak zbiedniona! tak hoży i tak piękny!

Czarne oczy kobiety obwiedzione były piętuami płaczu i cierpienia, zagasłe; twarz żółkła. pomarszczyła się, barki pochyliły. Świeże dawniej i staranne ubranie teraz tłumaczyło nędzę prawie. W chacie biedniej jeszcze było niż dawniej. Też same ławy, stoły, łóżko; ale sprzęt lepszy, kufry, odziewie wiszące przed tém na kołkach. znikły. Łóżko okryte było mizerną starą kołdrzyną; w piecu ledwie iskierka ognia u jednego garnka dymiła powolnie. A ta cisza! ta cisza! Jan rzucił się ku niej i kilka razy powtórzył wzruszony: Matko! matko!

— Mój Jan, Jan mój, Jan! zawołała kobieta, chwytając go w objęcia, płacząc, ściskając, modląc się i płacząc znowu. Jan nie śniął spytać o siostry.

— A! wrócił! moja dobra Małgorzato! powrócił. Wiesz, że wrócił do mnie. Modliłam się o niego do świętego Antoniego jak o powrót zguby, bo mnie strachy o mój jedyny skarb opanowały. Modliłam się i wymodliłam. Jan powrócił!

Aż łzy zatamowały jęj mowę i nie dały nic wyrzec więcej.

— Siostr, siostr nie zastaleś, rzekła opamiętywając się jakby po chwili. Widzę, że o nie zapytać nie śmiesz! Nie ma ich, nie ma... i nie wróca.

Poczęła płakać, porwała Jana za głowę i oderwała się żywo:

— Siadaj, odpocznij! Tyś głodny? Cóż ci dam jeść!

Piwa mu zgrzój Małgorzato. Moja stara wyręcz mnie, ty widzisz, że ja nie potrafię, że nic nie mogę. Czemuż was troje do siebie przytulić nie mogę? Z trojga jedno tylko pozostało! Siostry twoje, dzieci moje, u Boga. Bóg pobrał je na aniołki sobie.

Otarła oczy powoli.

— Pół roku temu odra panowała, w chacie chłodno było, zasłabły obie i razem prawie na lepszy świat poszły bez grzechu, czyste duszyczki! Teraz tyś jeden u mnie! A! jak co godzina drżałam o ciebie! Chciałam cię widzieć a nie śmiałam nawet żądać tego. Powiedzże mi coś tam robił? co masz? jaki twój stan? co na przyszłość myślisz? Przytuliszże biedną matkę do siebie?

— Uczyłem się droga matulin, odpowiedział Jan smutnie, nauczyłem się na malarza; ale jeszcze długo i wiele uczyć mi się potrzeba, i wiele pracować. Przerwałem naukę aby ciebie zobaczyć. potem muszę do niej powrócić znowu. Wkrótce jednak spodziewam się mieć kawałek chleba; a dla ciebie spokojną starość i kątek własny przy mnie.

— Mój drogi, nagle przerwała matka, ty przyszedłeś pieszo widzę? Musisz być zmęczony bardzo, spocznij, nie chcę cię pytać, ani się skarżyć przed tobą, to na potem. teraz cieszymy się żeśmy razem, ach! tylko nas dwoje! poszły do nieba aniołki.

— Nie jestem zmęczony, nie czuję tego przynajmniej, powiedz mi matko, jakie było życie twoje? Maszże żyć z czego! Maszże kogo coby się tobą opiekował? nie zbywa ci na czém?

O! albowiż mi tak wiele potrzeba! odpowiedziała. Schronienia, kąta a łyżkę strawy i kawałek chleba. Gdy mam przy sobie moje dziecko jedyne, ostatnie, czegoż chcesz więcej? nie mówmy o niczym. Ale ty znowu pójdziesz...

— Jeśli pójde, to żebym powrócił i zabrał cię z sobą matuniu droga.

— Doprawdy? doprawdy? a dożyjęz ja tego szczęścia?

— Bóg łaskaw, Bóg dobry.

— O! dobry, odparła matka ocierając oczy. On mi dał dzisiejsze szczęście. Dla czegoż mi jednak choć jedną z moich dziewczątek nie zostawił? Obie poszły, obie! Gdybyś ty wiedział jak te dwa aniołki umierały. Biedne dziewczęta, to może i lepiej dla nich. Świat tak ciężki ubogim!

Stara Małgorzata krzając się około ognia, zaczęła gderać na swą Jejmość (tak ją zwała), za ciągle jej płacze.

— Ot, cieszyłabyś się Jejmościuniu z syna, dodała. a tamte że Bóg wziął, nie potrzeba mu ich żałować.

— Prawda, prawda, odpowiedziała wdowa, ale mówże mi Janie o sobie, całując go w głowę dodała zwróciwszy się do syna.

Jan opowiadać jej musiał wszystko. Okno tylko i Jagusię przez wrozoną wstydlivość zataił, złożywszy na dwactwo Maryetty co było zazdrością i gniewem zawiedzionej kobiety.

Matka nacieszyć się nim nie mogła.

— Patrz bo moja Małgorzato, wołała jaki on piękny. Widziałas ty kiedy w życiu tak pięknego chłopca? O! wrócił mój Jan, powrócił.

Tak cały boży dzień, tak zeszła część nocy. Nazajutrz biedna matka powiodła syna do kościoła Kapucynów, wzięwszy najlepszą swą suknię i najweselszą twarz na tę uroczystość serdeczną. W drodze mówili o zamiarach na przyszłość. Jan chciał powracać do Wilna lub udać się do Warszawy, sam już próbować pracy o swych siłach, a gdyby można matkę utrzymać, wziąć ją do siebie, nie rozdzielać się z nią więcej. Ale do Wilna czy do Warszawy zarówno trudno było dostać się bez opieki, też pieniędzy. Wdowa nie miała czém bardzo dopomóc synowi, bo lepszy nawet sprzęt w czasie choroby dzieci i na ubogi ich pogrzeb, wszystko aż do koni i owiec, wyprzedać musiała. Mogła wprawdzie dość w niarę jego wartości korzystnie sprzedać swój grunt; lecz gdzieżby podziela się naówczas? Jan pocieszał

ją, że może zapracuje na tę podróż, a w najgorszym razie, o niewielkim zapasie, pieszo, powoli, dowiezie się gdzie do miasta. Matka łamała głowę zkąd dostać pieniędzy, a że pobożna więcej miała ufności w pomocy świętych niż ludzi, poczęła więc zaraz nowe nabożeństwo do świętego Mikołaja i do ulubionego świętego Antoniego patrona okolicy.

Jan postanowił szukać roboty. Westchnął myśląc jak ona ciężką mu będzie; ale konieczność wielka, żelazna siła, każdy upada pod nią, trzeba było w głębi duszy zachować na później myśl i natchnienie artysty.

Krzyżem pobłogosławiła matka gdy wychodził z domu po robotę i usiadła na ławie pod okienkiem goniąc go okiem. Jan poszedł do klasztoru.

Stary znajomy nam z czasów Rugpiutisa Gwardyan dawno był umarł, inne rozpoczęło się panowanie, przełożony nowy, troskliwy o kościół swój zdawna trochę opuszczony, odnawiał go, oczyszczał, odzłacał, była to właśnie pora dobra do zarobku dla Jana. Dowiedziawszy się o tém, poszedł do celi Gwardyana i skłonił się całując go w rękę.

— Ojcie Dobrodzieju, rzekł — Jestem malarz; uczyłem się lat kilka w Wilnie u Szyrka i Batraniego. Możecie raczyli mnie użyć do odczyszczenia obrazów, złocenia ram i odświeżania malowań na sklepieniu. Nie mam grosza, a matkę ubogą, chorą i przyszłość, której trzeba meztwem tylko i pracą wystarczyć. Chleba i pomocy potrzebuje.

Przełożony któremu Jan jak z nieba spadał, począł go wypytywać, a sam niegdyś znawca i człowiek wielkich zdolności, niepospolitej nauki, poznał łatwo, że talent, zapał, szczerłość z młodej mówiły piersi.

— Moje dziecię, odpowiedział rozpytawszy się go wprzód, przyjąłbym twoją ofiarę, ale co Kapucyni dać ci mogą? dawniej jałmużny bogate były jak serca, dziś ubóstwo i nas uciska. Niczem ono dla nas, bośmy na nie przysięgli, bo ono powołaniem naszym, bośmy dobrowolnie je znosząc po-

winni mimowolnym ubogim dać przykład jak się znosić ma niedostatek w pobożności, pokorze, rezygnacji i weselu ducha. Zapłacić ci jakby było warto za twoją pracę dziśby mi trudno.

— Mój Ojcie, rzekł Jan przejęty, zrobiłbym cobyś mi kazał darmo, za chleba kawałek, przez pobożność, ale matka i przyszłość!

— Wieleżby ci potrzeba? spytał Kapucyn zamyślając się.

— Nie mam doświadczenia mój Ojcie, rzekł Jan, nie wiem. Matka nie ma sposobu do życia, mnie trzeba dostać się znowu do Wilna lub do Warszawy, i starać się być już na swoją rękę malarzem, aby jej starość spokojną zapewnić.

Gwardyana głową pokiwał.

— Słuchaj rzekł, chodź ze mną do kościoła, obejrzymy wprzód robotę, potem znajdziemy może pobożną duszę, co ją zapłacić zechce.

Brat zakrystyan otworzył milczący kościół i poszli od ołtarza do ołtarza, Jan wskazywał co zrobić można i potrzeba było, zwłaszcza, dla fresków Danckerts'a które pył i kopeć brzydko okrywał, gdyż nieoczyszczane nigdy, lat przeszło sto przetrwały. Do tego potrzeba było rusztowania dość kosztownego i czasu długiego.

— Przyjdź moje dziecię w niedzielę wieczorem. Z rana spodziewam się na nabożeństwo i obiadek kapucyński kilku osób z sąsiedztwa, ponieważ z nimi, może też kto dla chwały Bożej kosztą podjąć zechce.

Jan odszedł, wieczorem zaraz z karteczką od Gwardyana przywiózł parobek klasztorny zboża i zapasów spiżarniowych dla wdowy. W karteczce pisał poczyty ksiądz: „Dzielim się jałmużną, ubogi z ubogim, nie dziękujcie wcale.“

Jan tymczasem, pomimo, że chata biedna, światła i izby nie miała stósownej, usiadł malować obrazek dla Gwardyana, przez wdzięczność, a trochę dla pokazania, że coś umie. Czuł że nieznajomy może i ma prawo o jego

umiejętności powątpiewać, może się wahać powierzyć mu robotę. Święty Antoni na pustyni, którego odmalował szybko, udał mu się bardzo, choć rzucony pospiesznie na płótno i do niedzieli ukończony, prawie od razu tylko, gdyż trzeba go było jeszcze z pomocą letniego słońca wysuszyć.

Matka stojąc za synem pół dnia, każdy ruch jego ręki śledziła. Sercem matki potrafiła odgadnąć sztukę, aby ocenić i zrozumieć syna. Radowała się pracy i składała ręce z uniesieniem. Wyras twarzy świętego, niebieskie światło skronie jego otaczające, dzieciątko Boże, które piastował na rękę, zachwycali ją.

— Mój miły Boże, to żyje! to żyje! wołała. I dumna, szczęśliwa całowała go w głowę. Nadeszła niedziela; Jan poszedł na nabożeństwo, ale że to była oktawa festu a osób mnóstwo, nie udał się zaraz do Gwardyana, przechadzając po okolicy i czekając wieczora. Po niesporach dopiero zapukał do jego celi gdzie jeszcze słychać było głosy przy starym miodku siedzących gości. Jan wszedł, Gwardyan pospieszył ku niemu.

— Wszystko idzie dobrze, dzięki Bogu, rzekł zaraz przełożony, pan Łowczy ofiaruje trzysta złotych na poprawę i oczyszczenie sklepień i obrazów. Są one u mnie, uważaj je za swoje. Rusztowania obiecał swoim kosztem wystawić.

Malarz ucałował rękę zakonnika i drżącym rzekł głosem:

— Ojcie, chciój przyjąć tę moją robotę, dla ciebie ją malowałem.

A gdy Gwardyan rozwijał ciekawy, Jan wysunął się i uciekł. Wszyscy z krzeseł powstawali aby ją zobaczyć.

Zgromadzona szlachta hurmem otoczyła księdza i zaglądała chciwie na obrazek, któremu przyglądając się zakonnik zadumał głęboko aż łza zwilżyła mu powieki. On jeden z tego tłumu czuł całą wartość pracy młodzieńczej. Inni to dotykali jej palcami, to szukali błędów usilnie, to chwaliли nie wiedząc dlaczego i poco, to spoglądali jakby zrozumieć nie mogli, co tam było do widzenia.

— Ten chłopiec zajdzie daleko jeśli Bóg pomoże, rzekł nareście Gwardyan, człowiek co jest w stanie taki obrazek stworzyć, ma i talent, ma i naukę. Tak młody! próbka śliczna!

— Prześliczna! chórem powtórzyli zapijający miodek, prześliczna!

— A maluje on portrety? spytał ktoś z boku.

— Dla czegożby nie? odrzekł zakonnik, nie jestto rzecz tak trudna schwycić podobieństwo. większa daleko myśl swoją tak wyrazić. Dajcie mu robotę, będzie to dobry czyniek. Ma matkę ubogą, chciałby sobie co zarobić, aby się dostać do Wilna lub Warszawy gdzie mu łatwiej będzie na życie i na sławę zapracować.

— Gdyby się nie drożył, rzekł postarzały ex-Ekonom z Nowego Dworu, niechby i mnie i Jejmość odnalował.

Drożyć się nie będzie ale i wam panie Strukezaszycen (dawano mu ten tytuł w niedostatku innego) wstydby było za mało dać gdy to dla wiecznej pamiątki czynicie, a malarz wyborny, jakiego i po miastach znaleźć trudno.

— Jak Ojciec dobrodziej sądzi, cóżby téż to konterfekt mój a Jejmości kosztował? Dwa spore koloranni na płótnie, w ramach, z herbami w górze.

— Juściż nie mniej jak po sto złotych jeden jeśli duże, i to bez ram, bo ramy nie jego rzecz.

— A! na rany Pańskie! A tochy lepiej przestać siać breczkę, a malować tylko i malować. To dalipan piękny wcale mógłby być dochód.

— I wielka to praca, rzekł O. Gwardyan, wiele tylko panowie, dodał z lekkim ledwie dostrzeżym uśmiechem, mogą mieć portrety swoje

Powiedział to z intencją, znał ludzi.

— Panowie! panowie! albowiem to my nie panowie! każdy z nas pan, rzekł kręcąc wąsa Strukezaszyc; mnie taki stanie na dwa konterfekta choćby po sto złotych od sztuki.

Inni zbliżyli się opatrywać obrazek świętego Antoniego,

a Gwardyan tak zręcznie choć w niewinny sposób, umiał Jana zalecić, że mu znalazł robotę w kilku domach sąsiedztwa. Nazajutrz rusztowania po kaplicach stawiać poczęto a Jan wziął się gorliwie do pracy. Matka przychodziła niekiedy do niego, modliła się godzinami, rozmawiała z nim po cichu, dodawała mu serca i ochoty. Cieszyła się powodzeniem syna, a pocziwemu zakonnikowi co ich poratował, do nóg ze łzami upadła.

Godziny w tej pracy płynęły szybko i mile dla ucznia, który wpatrując się w roboty dobrych malarzy doznawał rozkoszy, jakiej kosztują tylko prawdziwi artyści. W długich godzinach samotności, Gwardyan czasem, matka codziennie, niekiedy niewinnie wesół braciszek klasztorny, przychodzili go rozrywać i nie dawali mu smutno zadumać się na długo. Odczyszczanie, poprawki małe i ostrożne zniszczonych, obmywanie obrazów poszło dość szybko. U Szyrka i Batraniego nauczył się był sam z całą ostrożnością potrzebną obchodzić się z staremi utworami, które czasem bezczelnie partacze psują, nieodżałowane wyrządzając szkody. Z Bartranim odczyszczali oni część pięknych fresków u świętego Kazimierza i kaplicę katedralną Danckertsą wystawiającą cuda patrona Litwy.

W przerwach wielkiej roboty, Jan zaczął portret dla Strukczaszyca z Nowego Dworu. Ale tu ciężej mu szło daleko. Ile wymagań, ile dziwnych znieść było potrzeba sądów! Jejmość utrzymywała, że ją odmalował nie dość młoda i nosa jej nadał, że cień pod nim wyglądał jak zatabaczenie nieprzyzwoite, że była plama na jednym policzku niepotrzebna. Jegomość chciał gwałtem jaskrawej sukni i poważnej miny, której wcale nie miał, kazano poprawiać, przerabiać bez końca. Cały dwór i czeladź zwoływano na sądy: parobcy, dziewczki z praczkami, arędarz, przypuszczeni byli do wyrokowania o podobieństwie i piękności obrazów. Jan srodze cierpiał ale milczał, jeden też to sposób w trudnych razach. Przecież tak mu się udało, że i Jejmość z wielkim

nosem i Jegomość z poważną miną, byli z siebie dosyć kontenci, chociaż nigdy dosyć jaskrawo odmalować ich nie było można. Gdy przecie dzieci, parobcy, słudzy poznali gospodarzy, i panów swoich, opłacano nie bez stękania koprowiną i złemi tynfami malarza, odprawiając z wzgardliwem. Bóg zapłać.

Zbierał się powoli zasób na podróż pożądaną; ale matka widziała go zawsze jeszcze niedostatecznym.

Kilka miesięcy zabrały roboty w kościele i w sąsiedztwie; potem ciężko się było rozstać z matką, nie wiedzieć kiedy się z nią znów zobaczy. Wahano się téż dokąd się udać? Jan chciał do Warszawy, matka do znajomego i bliższego radziła Wilna. Codzień u komina jesiennego radzono, naradzono się i nic nie postanowiono. Jan od dnia do dnia odkładał podróż, tracąc odwagę gdy pomyślał iż znowu przyjdzie mu się puścić w świat nieznajomy, tracąc odwagę starą opuścić matkę, bez sposobu do życia, Bóg wie na jak długo!

— O mnie nie masz się co troskać. mówiła mu co dzień pocziwa matka, mnie tak niewiele potrzeba. Całą przeszłą zinę żyłam z pracy, z przędzenia i robót kobiecych, choć daleko mniéj byłam silna, smutniejsza. Stara Małgorzata wdowa jak ja bez kąta i dachu gdzieby się przysuliła, pozostanie ze mną. We dwie zapracujemy daleko więcej niżeli zjeść możemy. Byleby tobie tylko nie zabrakło. A! czemuż niemożemy być razem? ale może doczekam tego! Teraz tyś mi jeden i wszystka macierzyńska miłość zlała się na twoją głowę. Sprzedamy później nasz grunt i wyniesiemy się do miasta.

Miało się już ku późnej jesieni, gdy ciągle odkładana podróż, nareszcie na dzień pewien oznaczoną została, fundusze na nią zebrane, nabożeństwo odprawione na tę intencją. Gwardyan pobłogosławił, matka wcześniej opłakała. Jan zbierał swoje teki. pakował tłómczek, wybierał się do Warszawy. Mówiono wówczas wiele o stolicy w której król

sam lubownik sztuki, protektor artystów. nieraz w pracowni Bacciarellego malujący dla zabawki. rozrywał się czując, że stoi nad przepaścią. Malarz nasz często myślał o królu. rachując na szczęście swoje, że go ku niemu zbliży.

Nie wiedział, że ten, którego na szczycie szczęścia widział, cierpiał może więcej od najbiedniejszego ze swoich poddanych. Słaby Stanisław August szukał po niewczasie pociechy we wszystkim co go od smutnej odrywało terażniejszości. Otoczony blaskiem, wrzawą. a nie dość jeszcze ślepy aby nie widział chmurnego końca tej uczty, na której pierwszemu zasiadł miejscu, bawił się jak bawią dzieci, którym lekarz zapowiedział zgon rychły. Wszystko im naówczas wolno. bo jutro umrą. Stanisław August nie też nie odmawiał sobie, co go zabawić i rozerwać mogło. Szukał rozrywki w zabawach szumnych, w sztukach, w literaturze. w zbiorach, w tych drobnostkach codziennych, któremi żył w niedostatku większego życia.

Był to los człowieka, któremu chleba braknie a konfitur podostatkiem: łechcą one podniebienie. ale nie nasycają.

Sir James Harris (Lord Malmesbury) *) doskonale maluje stan duszy tego króla w swoim dzienniku.

Raz polowali razem. Nigdy Waszój królewskiej Mości nie widział tak wesołym, rzekł Harris — A! odparł August; — czasem tak miło samemu się oszukiwać!

Drugi raz wziął go król pod rękę poufale:

— Sir Harris, mówił mi, czuję ja dobrze ciernie mojej korony. Rzuciłbym ją do pięćdziesięciu tysięcy djabłów, gdyby mi nie wstyd opuścić stanowiska. Wierz mi, nie ubiegaj się za wzniesieniem! gorczyce tylko zbierają się w końcu. Przyjdzie ci niespolzianie i nieproszona wielkość, przyjm ją. Gdybym i ja tak był zrobił, lepiejby mi z tem było! Duma mnie uniosła. Chciałem korony, dopiąłem jej. i jestem — nieszczęśliwy. Ten nieszczęśliwy i słaby król bawił się ma-

*) Diaries and Correspondence. Lond 1844.

larstwem, snycerstwem, stawiał we Włoszech posagi sławnym mężom, obchodził uroczyste stuletnią pamiątkę Wiedeńskiego zwycięstwa. malował z Baciarellim, kochał piękne panie a płakał łzami w duszy.

Ale wówczas nikt tych łez nie widział. łez słabości. łez dziecińczych, łez bezsilnej niewiasty. widziano tylko powierzchowne wesele i zwodniczą pomyślność. Zachwalano wspaniałość króla, który dawał Karpińskiemu nagi kawał ziemi puszcza niewytrzebioną okrytą, a Naruszewiczowi bogate biskupstwa. którego dnie uprzyjemniali Trębecki wychowaniec Francyi i Węgierski naśladowca Pirona.

O. Gwardyam sam zachęcił Jana aby szedł do Warszawy, prorokując mu tam świetne dla jego talentu losy, byleby się dał poznać królowi jakimkolwiek sposobem. Z od wagą w sercu, z tą żądzą gorącą zdobycia świata, która tylko do krańca młodości towarzyszy człowiekowi, Jan postanowił spróbować szczęścia. Niebieskie oczy Jagusi nieraz go zwabiały ku Wilnu. lecz los matki, nadzieje lepszej przyszłości, rozkazywały iść do Warszawy.

Chłodnym porankiem jesieni, pożegnali się w progu chaty. Jan napotkał był furmana powracającego do Warszawy. który podjął się zowieść go za małą cenę

Czemużbym cię nie odprowadziła choć trochę, rzekła matka, dłużej będziemy z sobą. A zobaczymy że się kiedy jeszcze? Bóg wie jeden.

Milcząc (bo kto słowa znajdzie w takim razie?) pocieszał ją Jan. Zobaczymy się, zobaczymy prędko matuniu, przemawiał niewyraźnie. Czuję, mam nadzieję.

Idąc ścieżką ku miastu, ciągle tak rozmawiali o przyszłości i nie odeszła matka aż zobaczyła Jana na bryce. Potém stała jeszcze długo. długo odwracała się często dopóki pył wzbity widziała na gościńcu. Zawróciła się nareszcie ku pustemu już domowi, ale dłuższą drogą, bo zaszła jeszcze do kościoła Kapucynów pomodlić się przed obrazem świętego Antoniego na intencyą syna. Znowu miała chinurne dni pę-

dzie, myśląc tylko nad kądzielą, myśląc nawet przy modlitwie. Co on tam robi? Jak mu się tam wiedzie? czekając wiadomości od niego. Stara Małgorzata jedyna powiernica i towarzyszka, słuchała macierzyńskich skarg, domysłów i nadziei, potakując im skinieniem głowy lub zinnem;

— Jakoś to będzie, da on sobie radę.

Jan tymczasem zamyślony, zmęczony pobylem na wsi, który rozjaśniało jedno serce matki i współczucie zakonnika, a ubarwiały tylko praca i myśli, ale nieczyja nie ożywiła serdeczna zachęta; jechał powoli do pożądaney stolicy. Kraj w tej podróży coraz się zmieniał jak tylko może u nas się zmieniać przedstawiając sobą najrozmaitsze próbki. W ogólności jest to kraj płaszczyzn i zieleni, ale wyjątkowo znajdziesz tu góry, znajdziesz niespodzianie urozmaicone widoki. Najczęstsze są wielkie lasy i nie głębokie w nich krajobrazy zewsząd obstawione gajami; przecież i długie doliny ginące w mglistém oddaleniu i nagie równiny gdzieś napotkasz nieraz na drodze. Ziemia czarna i żyzna obok złocistych piaszków porosłych czarnym jałowcem. wązkie strumienie i szerokie rzeki i ogromne zwierciadlane jeziora i zielone niezmierzone lany i głuche puszcze i zaludnione gęsto kąty; wszystko tu znajdziesz na przemiany.

Ręka tylko ludzka zabijającą jednostajnością porozstawiała na tej ziemi budowy, wszystkie sobie podobne i należące do pierwiastkowej epoki, więcéj zajętej ubezpieczeniem schronienia, niż myślą o formach jego, o wdzięku linii. Pałace tam i owdzie ukazujące się, miały jeszcze wówczas niny feodalnych gniazd sokolich: poosadzane w widłach rzek, wśród trzęsawisk, wieżycami nasróżone, murami i wały opasane, bramami żelaznemi zamknięte. Ale już mosty zwodzone ledwie gdzieś na swych łańcuchach wisiały, już z wielu wieżyc porobione gołębniki, jaskółki stały spokoj-

nie gniazdka na blankach, mech porastał gzemsy, podwórzec zajmowały szeregi ścieśnione pokrzywy i chwastów. Wiercholki krągłych rondeli opadały, zamki mieniły się w pałace, gdzieśniedzie ogród włoski z kondygnacyami szumiał na rozkopanych wpół wałach; mostki i kapliczki zajmowały miejsca młynów prochowych i starych skarbców, innéj epoki świadków. Szlacheckie dworki, jedne z najcharakterystyczniejszych budowli krajowych, wyglądające jak ptaszki z gniazd ze krzaków bzu, wiśni i grusz starych, ze swemi serniczkami, ze spichrzami malowniczymi o galeriach drewnianych, z gankami na słupkach, bramami których rozpięty strzegł jastrząb u szczytu, nieraz uderzały Jana. Widocznie tu było życie i uczucie silne, cechy właściwości kraju ukazywały się wszędzie, trzeba je tylko było umieć wyczytać — Samo mnóstwo tych dworków mówiło kto tu panem. A jaka rozmaitość przy jednostajnej zda się wszystkich ich powszechności. Jedne opuszczone i obite z tynków, inne strojne jakby im się chciało z pałacami mierzyć: w tych herby na facyacie, tam gniazda wróble tylko, lub schnące na tarcicze sery.

Jan wśród próżniactwa podróży, patrząc na dwory, usiłował zgadywać kto je zamieszkiwał, wnikał w ich życie z kolei spokojne lub wrzawy pełne i budował z kilku zdziebeł całe losy, całe historye pełne obrazów i obrazków. Potém zwracał myśl na siebie, na matkę, i biegł popatrzeć duchem na ubogą chatę, stojącą w Brzozowym Ługu, tak nagą, tak wczesnie pochyloną, tak biedną.

Jednego dnia ukazał mu się wieczorem wielki pałac Sapichów na górze panującej miastu, gdzie zapewne dawniej musiało być starsze od niego zamczysko obromie.

Teraz wynownie świadcząc o potędze czasu, wielki gmach bez wałów, mostów zwodzonych i wieżyc, stał sobie spokojnie i patrzył po okolicy. Zdawał się mówić ziemi opasującej go, dolinom i miasteczkom, wsiom i folwarkom: — Jam pan wasz. Stał jak na straży, podparłszy się w boki

długimi galeryami, które trzypiętrowy korpus łączyły z oficyami.

Piękna brauna z zegarem wiodła na owalny podwórzec. Pańskie herby świeciły na frontonach, ale w pałacu było pusto. Nie jak dziś, gdy ruina i żydzi opanowali opuszczone a pamiątek pełne uniejsce; lecz pusto na chwilę, bo państwo odjechali. Lasy, miasteczko, zamek i dalsze widoki, wszystko to razem wzięte, a oświecone na chwilę tak, że pałac w świetle był cały, wywiodły Jana z ołówkiem w ręku za miasteczko, dla naznaczenia sobie widoku tego, na podróżnej księdze, gdzie zwyczajem artystów wziętym od Batraniego, twarze dziwne lub piękne, drzewa, budowy, widoki, zbierał poczynający malarz. Żyd właśnie się tu był zastanowił dla szabasu, nie brakło więc Janowi wolnej godziny. Wyszedł szukać punktu do rysowania. Wieczór choć jesienny był przecie prześliczny.

Pajęczyny srebrzyste jak symboliczne nici łączące z sobą wszystko co żyje, połyskiwały od zachodzącego słońca, lasy fantastycznie ufarbowane jesienią, krwawe, złociste, pomarańczowe, ciemne, białawe, sine, plotły się w wieniec prześliczny; trawy miały barwę brązowego kobierca, gdzie niegdzie resztką zieleni przetykanego, a pożółkłe słoniaste nawet ściernie różnych odcieni, zdawały się kwadratami misternie wytkanymi na wielkim tym dywanie. Mleczne chmurki polatywały nabierając barw zachodnich, księżyc czerwony, gniewny, straszny, ogromny, unosił się w sinych parach na wschodzie.

Cisza panowała w pustém miasteczku, które przechodziły stada bydła i owiec, zastanawiając się po kilka razem u wrót gospodarzy. Jan przeszedł ulicę i piaskiem poza miastem puścił się ku pałacowi.

Zapylony powóz pański obwiązany tlómkami, powolnie włókł się ku miasteczku, ale w nim nie było nikogo, minął go obojętnie malarz. O kilka kroków dalej zdziwił się widząc na niewielkiej wyniosłości siedzącego mężczyznę młodego, przystojnego i ślicznie ubranego. Zdawał się on czy-

tać czy rysować. Było to wówczas dziwném zwłaszcza u nas zjawiskiem. A że miejsce właśnie najlepiej przypadło mu do rysowania, postąpił ku niemu powolnie Jan wpatrując się uważnie w nieznajomego. Był to mężczyzna młody jeszcze, miłych rysów twarzy, prawie piękny, z pudrowanym włosiem, różowymi policzki, siwemi oczyma, uśmiechem w twarzy ledwie nie dobrodusznym. Żywo poruszał ręką i niecierpliwił się, rzucał papier i chwycił, mówił do siebie, śmiał się i kiwał głową.

Ubrany w ciemny frak i takąż wyszywaną blaszkami kamizelkę długą, z mankietkami koronkowemi u ręki, na głowie miał na ucho włożony kapelusz ówczesny, maleńki, bez żadnych ozdób. Na nogach, pończochy szare z klinami, trzewiki wytwornej roboty z szerokimi srebrnemi kłanrami kameryzowaną robotą. Wielkie guzy sukni także były srebrne, a na koszuli buchastój, błyszczała szpilka złota z topazem. Para rękawiczek, płaszcz niedbale rzucony, laska i chustka od nosa delikatna, leżała na boku tuż przy nim. Wszystko opowiadało w nim jakiegoś wielkiego pana, nawet owo brwi marszczenie, owe ruchy dziwne, samowolne, gwałtowne, ów uśmiech pogardliwy i niecierpliwe rzucanie się. Jan tak się przybliżył, że ciń jego padł na papier rysującego, który podniósł oczy siwe, przenikliwe, pełne życia, zatrzymał je na nim, zagryzł usta zmierzyszy od stóp do głowy lice jego i niepoczesne ubranie. Na ukłon Jana odpowiedział lekkim głowy skinieniem, jakby się chciał co najprędzej od natręta uwolnić.

— Waćpań jesteś tutejszy? spytał zwracając oczy na Album.

— Nie! podróżny, i właśnie szedłem także zamek rysować.

— A! doprawdy! szydersko trochę rzekł panicz: spojrzal na Jana ruszając ramionami nieznacznie. Waćpań chciałeś rysować. Zająłem mu dobre miejsce, nieprawdaż? Mnie się jednak zdaje, że nie zawadzi jeśli z niższego odemnie stanowiska na zamek spojrzysz.

— Zapewne, rzekł Jan z uśmiechem także — ale w takim razie linie zbyt uciekać będą, wyda mi się dziwnie i niekorzystnie. Z dołu patrząc często się nam zdaje, jakby to co widzimy waliło się.

Nieznajomy spojrzał Janowi w oczy gdy ten rzucił razem wejrzenie ciekawe na Album na którym zuchwałe linie, poprawiane, pokrzyżowane, coś tworzyły nakształt niepojętej pajęczej sieci.

— Waćpan zapewne będziesz szczęśliwszy, bo ja tego widoku nie mogę nawet oznaczyć, a słońce szybko zachodzi.

— Spróbuję, rzekł Jan ufny w siebie, bo czuł się silniejszym, a nie go inniej nie kosztowało nad widok z natury. Batrani z perspektywy starego Hondyusza wyuczył go tajemnic dających klucz do pojęcia wszystkich linii pejzażu i architektury.

Siadłszy niżej a tak przecie aby nieznajomy mógł widzieć jego robotę, oznaczywszy w myśli horyzont, rzucił Jan główne linie, oznaczył plany i z dziwną poprawnością i szybkością wytłumaczył idealnie cały ten wielki widok, któremu kilka cieniów ołówka roztartych tuszownikiem, kilka silnych uderzeń (*touches de sentiment*) dodały życia i kolorytu.

Nieznajomy w miarę jak się posuwała robota, coraz się jęj ciekawiej przypatrywał i mruzczał pod nosem. Nareszcie zaintrygowany widocznie, wstał oparł się na łasce, długo chodził za ręką malarza i odczytywał w końcu:

— Wybornie! Waćpan jesteś artysta, co się zowie artysta! I zażył tabaki ze złotój tabakiereczki. Nie mógłbyś mi pan mojego rysunku poprawić, spytał biorąc swoje Album.

— Na cóż mam panu psuć jego myśl, wolę jeśli mu to zrobi przyjemność ofiarować ten nie wiele warty szkic mój. Niech mu to miejsce, pewnie wspomnieniem jakimś poświęcone, przypomni.

Uklonił się podając swój rysunek. Młody człowiek jakby się wstydził, że z początku nie bardzo grzecznie przyjął podróżnego, podniósł kapelusz protekcyjnalnie z wyszu-

kaną grzecznością nieskończenie wyższego ku nieskończenie mniejszemu i przyjmując dar rzekł:

— Gdybym mógł czém zawdzięczyć. .

— Rzecz ta małej wartości, ani wdzięczności, ani podziękowania nie warta. Cóżbym lepszego robił? Jestem więźniem tutaj, bo mój furman zatrzymał się na dzień cały, szukałem zajęcia.

— Pan więc jesteś artystą i krajowcem! to dziwna! mierząc go oczyma rzekł młody pan zabierając płaszcz, chustkę i powoli naciągając rękawiczki.

— Artystą? nie śmiem brać tego nazwiska, uczę się i chcę nim być kiedyś, będę może. Ubogi, jadę do Warszawy pracować, o niewielkim groszu, bez opieki niczyjej, ale z wielką ochotą.

Pan spojrzał z ukosa.

— Możebym mu mógł być użytecznym, szepnął. Powiedz mi nim dojdziem do miasteczka, kto jesteś, co myślisz z sobą, gdzieś się uczył?

— Mogę tak pana męczyć?

— O! ja lubię artystów! to lubię wyrzeczone było jakby: lubię pieski. Jan pominie to, cały w płomieniach począł swoją historią, którą słuchający pan przerywał dziwnymi żarcikami, nie słuchając jej bardzo uważnie. Czasem naiwność wyznań śmiech mu na usta wywoływała. Dopiero o Batranim i nauce u niego, uważniej słuchać począł.

— To dobry wcale malarz, rzekł, znam jego obrazy, tanio się placą ale znawcy je cenią. Masz pan zapewne tekę swoją z sobą, studia, myśli? może mi ją zechcesz pokazać, stoję w murowanym domu, cały wieczór sam będę, proszę do mnie.

Jan szczęśliwy z tego wypadku, który mu dawał nadzieje niespodziewane, wnosząc, że ów pan do wielkiej jakiej rodziny należy, pośpieszył do murowanej gospody.

Przygotowana już herbata i angielski podwieczorek podróży z jaj, wędlin i słodczy złożony na przedce, okrywał

stolik, za którym siedział a raczej wół leżał na sofie zasłanej dywanem nasz panicz

Nie wstawszy uawet i nie podniosłszy się na przybycie Jana, prosił go jeść, ale temu odpadł apetyt choć był głodny. Nadzieja go paliła.

Dobłą godzinę nic nieznaczające tylko odpowiedzi jakąś, spędził w oczekiwaniu. Nareszcie słudzy zabrali jedzenie, panicz się wyciągnął na posłaniu i prosił o pokazanie teki.

Roboty Jana daleko większe teraz i pochwały i zdziwienie w nim wzbudziły niż pierwsza próbka na gościńcu, która może nieco miłość własną artysty w nim ubodła.

— Waćpan jesteś na bardzo dobrej drodze! Będziesz artystą, powiadam ci! są tu głowy wyborne, lecz trzeba żebyś jechał uczyć się dalej niż do Warszawy, trzeba żebyś był we Włoszech. Masz Waćpan znajomych w stolicy?

— Nikogo.

— Mogę więc zawdzięczyć mu za rysunek listem do królewskiego malarza pana Marcellego Bacciarelli, lub do Smuglewicza, który ma z Rzymu powrócić.

Jan poskoczył z takim uniesieniem, że rękę jego ucałował.

— O! nie dziękujże Waćpan! Jeśli mu się moja pomoc na co przyda, będę szczęśliwy, żem kraj obdarzył znakomitym artystą. Ale Waćpan masz jeszcze znaczną przestrzeń drogi do Warszawy, a pieniądze? Szczerze mi powiedz wiele masz pieniędzy?

Jan wybąknął cicho co wziął z sobą, a Panicz rozśmiał się na całe gardło.

— Daruj Waćpan, rzekł, nie mogłem wytrzymać, — lecz czyż to podobna?

— Tak jest.

— Czuję się w obowiązku ciągnąć dalej, rozpoczęte przez mego kuzynka Kasztellanica dzieło i dopomóż mu

trochę. Oto dwadzieścia dukatów, które mi Waćpan oddasz jeśli kiedy będziesz mógł, jutro gotów będzie list dla niego.

Niepodobna odmalować radości Jana, uniesień i podziękowań, które młody dobroczyńca przyjął z obojętną, zimną grzecznością.

— Zresztą, dodał żegnając go protekcyjnie, ja sam wkrótce spodziewam się być w Warszawie. Oto zwykły mój adres, rzekł wsuwając bilet. Kto wie, czy ja wprzód czy Waćpan staniemy, chociaż ja wracam Pan jedziesz; bo z moim zapasem zapewne bardzo powoli wlec się musisz. Listy i pieniądze nigdy zbyt czerni dla niego być nie mogą.

Rozstawszy się z nowym opiekunem swoim Jan napisał zaraz do matki, oddzielił dla niej część pieniędzy, doniósł o szczęśliwym trafie, uważając go u wrót nowego życia za przepowiednię dalszego powodzenia, za daną przez Opatrzność zachętę do wytrwania.

Jan jeszcze naówczas wierzył w tę Opatrzność tajemniczą, z wysoka ogarniającą jednem spojrzeniem wszystkich ludzi, czytającą w ich myślach, uścielającą im drogi i zsyłającą mannę dla ciała a pociechy niespodziane dla duszy.

Smutne to były i świetne zarazem czasy, gdy nasz Jan z bijącym sercem wjeżdżał do stolicy tak wówczas zepsutej, tak splamionej wszelkiego rodzaju spodleniem, przedajnością, rozpustą; że nie wiem czy co bardziej nad ten stan chorobliwy głównego grodu dowodziło blizki upadek całego kraju. Ta obojętność u brzegu przepaści, ten szatański taniec rozpasyanych rozkoszników po jednym padających w otchłanie, pijanych, szalonych, bez jutra, okropnym był widokiem, lecz straconym dla współczesnych. Mało kto widział rzeczy jak były. Kilku ludzi z sercem, głową, zresztą szlachetnego charakteru, ostatnich przedstawicieli kraju, walczyli z tysiącami bez serca, głowy, bez charakteru, bez żadnego

pocziwego uczucia. Jak szlachetne i piękne twarze rzadkie są w tym tłumie, tak rzadka też postać coby lepiej zepsucie, spodlenie malowała, coby równie była typem zgnilizny moralnej, jak pan Podskarbi koronny. To także reprezentant całej tej masy ludzi obojętnych, upijających się na stypie, odzierających katafalk, zwlekających z dogorywającego trupa ostatnie szaty, ostatnie klejnoty; targujących się z sukcesorami o bogatą spuściznę. O! szumiała bo naówczas Warszawa stypą okrutną, ale nie było prawie oka, coby smutną stronę tego wesela mogło zobaczyć. Wszystkim tak było miło, dobrze; tak się bawiono doskonale! Wprawdzie wśród śmiechu ozwał się czasem głos straszny, rozeszła nowina pomru, ale wprędce taniec i skrzypki głużyły ten odgłos podobny hukowi poprzedzającemu trzęsienie ziemi. Dla młodego chłopca, co raz pierwszy widział stolicę, widok to był oszalający, straszny: tyle domów, tyle ludzi, zgiełk taki, tłum tak ogromny a tak rozmaity; przepych i nędza, rozpusta i pokuta, starość bez wstydu i dzieciństwo bez sromu, wszystko pomieszane razem, zbite w jedno, ogromna masa stworzeń sklejonych tysiącem interesów, powiązana wzajemnymi potrzeby i namiętnościami. Zimno się robiło Janowi gdy pomyślał wjeżdżając na biednej, odartej furmańskiej bryce do stolicy: Co ja tu pocznę? jak się tu wyróżnić wśród tylu? jak dać poznać i jak docisnąć!

Wszędzie zdawało się pełno do zbytku, wszędzie miejsca brakło. Bez opieki, znajomych, młody, ubogi, nieśmiały, myślał co począć i już żałował, że za radą matki nie udał się do Wilna. Tymczasem mimowoli pożerał oczyma przepyszne kawalkady pańskie, owe cugi nieskończone, owych błyszczących laurów, paziów, dworskie kozacznice, strzelców, hajduków, strojnych, wzgardliwych, dumnych, rozpychających tłumy; złociste powozy i skrzywione w nich twarze, naszywane i kameryzowane suknie panów i cudne strojnych kobiet oblicza uśmiechające się, wesołe, tętnące zalotnością, rozkoszą, zdające się mówić: — Co mi dasz?

Zaćmiło mu się w oczach, zakręciło w głowie. Tam leciał laufer z pochodnią wyprzedzając pazia na koniu wysłanego do Pani Krakowskiej, do Pana Zamojskiego, do Księdza ex-podkomorzego, do pani Mniszchowej i t. d., dalej sunął się powóz skromny na pozór lecz smakowny i prześliczny Pani G., ukazującej przez spuszczone okna sławną pierś ową, którą kupiła króla, kibić, której pieszczoty zepsuć nie potrafiły, i dumne faworyty spojrzanie, która wie co może.

Dalej jeszcze jechała w kabrioletcie uśmiechnięta Lullie, niecierpliwa, ciekawa i pochlebica, wścibska a miła jak zepsute dziecko; znająca wszystkich i niemal wszystkim ulubiona.

Tuż zaraz wieziono trupa na mogiłki, a kondukt ze śpiewy przesunął się mimo oświeconego szyneczku gdzie tańcowały pijane kobiety z lokajami niemniej zepsutymi od panów. Próżne powozy wlokły się za konduktem; panowie ich nie mieli czasu, grali u W. gdzie im jechać na mogiłki! pan podskarbi koronny incognito spieszył do pewnego domku na Krzywe Koło gdzie miał napatrzonego ptaszka, usiłując się ułatwić między objadem u Kandlerza a konferencyą w zamku, i z zimną twarzą idąc się tarzać w kałuży. Błada jego maska wyzięrała z czarnej karetki jaszczurczemi strzelając oczyma, uśmiechem zimnym jak lód. Stary kanonik Szulc szedł bokiem, pieszko, z parasolem pod pachą, w starych łatanych butach, w wytartej sutannie; czemuż postrzegłszy go tak mu się kłania Pan Podskarbi? O! o! nie darmo, czyha na sukcesyą i testament. —

Za nim pędzi, leci, rozbija L..., brat rodziuteńki Pani G.... pilno mu na grę, której winien ostatnie wrażenia człowieka zrujnowanego i bez przyszłości. Codzień spodziewa się milionów, zgrywa do koszuli, a król Jegomość targuje się z szulerami o długi rozpustnika! Ostatki zostawił u W.... szpinki nawet, pierścienie, konie a co gorzej dwa tysiące czerwonych złotych na słowo: nazajutrz smutna pani G... aż póki nie wyprosi u króla, żeby przegraną zapłacił. Oj! bywało i gorzej.

Za nim tysiące postaci, coraz dziwniejszych, coraz poczwarniej w oku Jana malujących się; za nim w ostatku — powolnie idący bokiem jakiś poważny mężczyzna pięknej postawy, godności pełnego oblicza, łą mu niebieskie zachodzi oko, wás smutno opadł na wargi, ręce się skrzyżowały na piersiach, patrzy i płacze w duszy. To Rejtan co w krótkce oszaleje, z? rozpaczy, próżno podnosząc głos Kassandry, do umyślnie głuchych niedochodzący uszu. — I młody wrzący wzgardą chłopiec z orlém spojrzeniem: — bohaterowie nieznaní w tłumie jeszcze!

Zapałono nieliczne latarnie, żydzi snuli się ze światłem, wszyscy zdawali spieszyć, pędzić, uganiać, szturchać, wyprzedzać; wszystkim rzekłbyś pilno nie wiem dokąd i po co. Na zamku, który się przemknął przed oczyma Jana, błyszczało we wszystkich oknach; miasto całe jak tysiące oczów tysiące szyb otwarło jasnych i patrzyło niemi w ciemność. A wrzawa! któż ją opisze tę wrzawę stolicy pod wieczór, gdy wszystkie namiętności wychodzą ze skorupy i lecą się napaść?

Żyd poganiał do znanój gospody, kędyś w pośrodku miasta, do zażyłego czy do krewniaka. Zwykły do fałszu, chciwy na zysk, nielitościwy dla reszty ludzi a zasklepiony w sobie: częściej jednak niżby myśleć można, żyd uczuje coś przecie i uczucie zapłaci z serca. Ów pogardzony Izraelita ma człowieczą febrę w skośnialém sercu, co zadrga poruszona, zadźwięczy, aż zimny rozum nakaże jęj milczenie.

W ciągu dość długiej podróży Jan potrafił łagodnością swoją, cierpliwém wysłuchaniem powieści i przygód, pozyskać nie powiem przyjaźń ale życzliwość furmana. Stary siwobrody Dawid choć zdzierał go jak mógł, czasem znówu za to od cudzego zdzierstwa obronił, gadał z nim poufale, a gdy już wjeżdżali do wrzawliwej stolicy wiedząc o wszystkich Jana projektach, obiecał mu wyszukać tymczasem stancyjkę tanią; obiecał nawet (gdyby tego koniecznie potrzebował) jaki grosz pożyczyć.

— Ja często bywam w Warszawie, mam tu teścia i siostrę, to jak dom dla mnie choć sam jestem z Piasków pod Lublinem, mówię. Gdybyć Ać mnie potrzebował, nu, nie mówię, mógłbym mu co zrobić. I pocierał brodę, Waś dobry człowiek, a dobry człowiek to i żydowi brat, tylko gałgany goje.

Postawiwszy konie w stajni (bo téż konie szły przed Janem i im się pierwsze należało staranie), Dawid pomógł wziąć zawiniątko Janowi i poszedł z nim do gospodarza.

Milcz Ać, rzekł, ja sam stancją wani zgodzę, oni by ciebie zdarli, Wać mizernie ubrany, niewiele zechcą, a jak ja godzić będę to odtarguję dla was trochę. Nu! nu! puść się Ać na mnie choć ja żyd, nie będziesz żałował.

Jan zgodził się na te pomocnicze usługi Dawida, a ten w zajezdowym domu najął mu stancją za dwa złote na tydzień prawda na strychu. zimną, czarną, biedną, ale mógłże wybierać?

Żydóweczka strojna, zalotna, kręcąca główką maleńką na tłustym karczku białym zwieszoną od niechęcenia, przyniosła świecę i ofiarowała rybę, kawę, mięso, coby chciał. Zgłodniały Jan przyjął wszystko, pilno mu było najeść się i ruszyć w miasto, gdzieby niechybnie był zbłądził i dostał może w ręce oszustów, gdyby Dawid nie przyszedł i nie powiedział mu opiekuńczym tonem:

— Połóż się Ać spać i odpocznij sobie, po nocy nie chodź, ludzi się strzeż. Poznają cię żeś fryc i ogolą łatwo a nie to obedną gdzie w kącie. Drzwi zamykaj, pieniądze noś przy sobie albo tak schowaj, żeby ich broń Boże złodziej nie domyślił się gdzie szukać. Często grosz bezpieczniejszy w popiele niż w szkatulce, nu! nu! wać jeszcze nie żył, a mnie trzy razy do koszuli okradli. Wierz wać mnie.

Jan mało go nie uściskał! a co lepij posłuchał, położył się głową na tłómczku i tece, zaparł drzwi i niedługo czekając zasnął.

Gdy się przebudził dzień był wielki, ale mało go przez

brudne szyby wpadało do izdebki, która teraz dopiero wydała mu się w całej swój brudocie i obrzydliwości. Noc wszystko upiększa i idealizuje, przez nią plam, skaz i brudów nie widać. Szare tynkowane ściany, piec spękany, dwie jakieś ohydne ryciny podpisane przez jednego z tych sztycharzy, co mają sławę bazgraczy na całym świecie, stół kulawy przyparty do ściany okapany piwem, łojem, pyłem i nie wiem już jakimi ostatkami jadel, okruchami brudów; tapczan a na nim siennik poplaminiony, podłoga chwiejąca i powypalana a od dziesięciu pewnie lat nie myta; stołek wypoliturowany rękami i czemś jeszcze czego powiedzieć nie umiem: oto była izba i sprzęt jój cały. Powietrze dusiło,

Jan chciał otworzyć okno, ale to było zabite; jedna tylko szybka na jednej zawiasie raczyła się odemknąć i wpuścić zgniły, snurodliwy wyziew jakiegoś śmieciśnika na zaułku.

— Za dwa złote na tydzień to wyborne, rzekł Jan, ale wolałbym dworek matki. Tam jest czém odetchnąć; tu mi przez tysiące ludzi wydychane powietrze, zepsute, skalane do piersi zalatuje — A! cierpliwości!

Począł myśleć o skromnym ale przyzwoitym ubiorze; gdy weszła posługująca czarnobrewa żydóweczka z figlarzym uśmieszkiem do zepsutych owych czasów i domu w którym żyła zastósowanym.

— Dzień dobry panu! Pan spal tak długo! dwa razy pukałam do drzwi; Jegomość potrzebuje czego? jest kawa, jest śniadanie? a może czego do miasta?

— Chciałbym sobie, moja panno, kupić jakie ludzkie odzienie, albo kazać zrobić; bo mi się w mojem trudno na miasto pokazać.

— Odzienie! a waj! To niechże pan mówi! Zrobić! po co robić! to tylko wielkie panowie każą sobie robić odzienie, pan kupisz nowe, nowiusieńkie, śliczności u mego stryja. Mój stryj ma handel win, kupuje starzyzny. —

— Ale ja nie chcę starzyzny.

— Ja się omyliła starzyzna! a waj! to lepsze od no-

wego! wypróbowane! Mój stryj kupuje w wielkich domach, u Senatorów. A jak pan chce się ubrać? po francusku? teraz wszyscy porzucili nieczgrabnego kontusza...

— Ubiórę się jak zechcę...

— Zapewne, tak najlepiej. To będzie zaraz. Mój stryj tanio przeda, a jest w czém wybierać. Proszę pana ze mną. Jan zamknąwszy na klucz izdebkę, z pieniędzy w kieszeni wedle przepisu Dawida, zszedł za Sorką ze wschodów, które mu dziś wydały się okropne, tak były połamane, wybite, brudne. W miarę jednak jak schodziły rozszerzały się i śmiecie się zmniejszało. Zeszli aż na dół; po kilku słowach i chwile poczekania wyszedł średnich lat żyd w koszuli tylko i spodniach po kolana, w trzewikach, z piórem za uchem i tabakierką w ręku; otworzył ciemny skład i wprowadził Jana do izby sklepionej. gdzie nie tylko widać ale czuć było mnóstwo złożonych sukien. Były tam nowe i stare, kosztowne i lichie, pasy i łachmany.

— Co Jegomość chce? spytał mierząc chłopca oczyma.

— Cały ubiór czarny.

— Doktor? spytał żyd znowu.

— Nie.

— Nu a cóż? ksiądz?

— Nie, — malarz.

Żyd skrzywił się pogardliwie i począł szukać, Jan także. Widział on kilka osób na ulicach po drodze, i zrobił sobie wcześniej wyobrażenie o przyszłym stroju; zresztą jako malarz miał trochę smaku: wybrał więc w prawie nowych sukniach cały strój czarny aż do pończoch jedwabnych mało co noszonych, trzewiki nawet z czarno sznelcowanemi stalowemi klamrami znalazły się na podręczu, kapelusz, wszystko.

Ale przyszło do targu, żyd ogromnie kładł ceny i nie ustępować nie chciał.

— Waćpan zapłacisz drugie tyle na mieście. Widocznie chciano ułować i oszukać fryca; Jan pomyślał i rzekł:

— Słuchaj mości kupcze, jestem ubogi, nie mam grosza do wyrzucenia; zgodzim się o cenę, połowę zapłacę, a drugą połowę gdy znajdę kogo co lepijć znając się ode mnie, poświadczę, że to istotnie tyle ile chcesz warto.

Po długich sporach wśród których żyd trzy razy zamykał i odmykał izbę, chodził i wracał, sprzedał nareszcie żądane suknie. Jan obejrzał po dniu swoje odzienie, które mu się wydało świeże i do miary, i pobiegł z niem na górę. Wprędce ubrany, gotów do wyjścia, pomyślał co zrobić z sobą? gdzie się udać!

Do Bacciarellego nie wiedział jak dojść, ani jak nawet trafić. Zszedł na dół zamyślony błądzić po mieście. Jestto jedna z wielkich przyjemności nowo przybyłego, gdy jeszcze w ogromnej stolicy błądzi jak w pustyni, wśród ludzi a nieznany nikomu, wszystko mu nowe, zajmujące a obce: oczy pasie a czuje, że nie w sercu go nie dotyka. Jestto rodzaj moralnej kąpielii przyjemnej dla bardzo wielu. Artysta sto razy stawał przed gmachami, sklepami, ludźmi, z tą nowego człowieka ciekawością, ciekawością młodości i niedoświadczenia, którą wszystko zajmuje, zadziwia, zachwyca, unosi.

Tysiące rzeczy nowych zupełnie, a przez to samo kolosalnych, nowe barwy, linie ledwie marzone, twarze tak pełne różnaitości, które namiętne życie miasta nadaje rozwijając wszelką skłonność, jątrząc ją latwością zaspokojenia: wszystko zastanawiało wędrowca. Jan szedł, topił się w tłumie i błądził w nim długo. Teraz nawet, w blaskach wielkiego jasnego dnia, wydało mu się miasto wielkiem, pięknem, lecz wilość ludzi, ścisk ich, zgiełk, wrzawa, ruch niepojęty męczyły go jeszcze. Powtarzał sobie: Jak dać tu rady? wśród tylu? jak się odznaczyć? jak dojść do czegoś?

Potém przychodzą mu na myśl wyrazy Batraniego, nieraz słyszane: Miasto wielkie tysiące dla malarza przedstawia pomocy: wzory żywe, ryciny, obrazy w wielkiej ilości; współubieganie się z innymi podsycę i zachęca. W tłumie można być jak na pustyni, kto zechce i potrafi. „Ale pa-

nięta naprzód, mówił stary Wloch, wyrzec się świata i pokus jego, stłum w sobie żądzę, poświęć się cały sztuce, miej ją za cel jedyny dla siebie.“

Ta rada była mu przytomną, ale nie wiedział czy potrafi ję sprostać. Pomodliwszy się u Kapucynów, gdzie jeszcze inszę zastał, długo wymęczywszy się niespokojném oglądaniem miasta, odważył się nareszcie szukać Jan Bacciarrellego. Powiedziano mu, że stoi w Zamku, bo król musi go mieć pod ręką i pracownia własna ulubionego artysty łączy się nawet z apartamentami królewskieni. Często do nię schodzi Najjaśniejszy, nie gardząc pędzlem i paletą. Malarz musiał być dumny słysząc to: król sam, król zajmuje się malarstwem; los malarza mógł pod takim panującym być świetny! Serce poruszyło się nadzieją.

Z bijącą jeszcze marzeniami piersią posunął się Jan drogą wskazaną do zamku, ale już w ulicy wiodącej ku niemu, z tyłą się powozami mijał, tyle osób spotykał, potem w podwórzu ogromnym w taki wpadł zgielek ludzi, z których żaden odpowiedzieć mu niechciał, bo wszyscy czemś zajęci byli, że całkiem głowę stracił. Spojrzawszy na czarne zleżale ubranie chłopca, nikt nawet nie raczył go objaśnić; chodził od jednego do drugiego, kłaniał się, prosił i wytykany palcami, popychany od drzwi do drzwi, w końcu całkiem głowę stracił i nie wiedział co począć. Nie pojmował, że trzeba było talarkiem sobie drogę torować i nie śmiałyby był nikomu z tych wygłanowanych panów zaproponować datku. Smutny, z niczem powrócił wieczorem do stancyi, a resztę dnia spędził na dumaniu. Stary Dawid i młoda żydóweczka, która mu jeść przynosiła pocieszali go zapewnieniem, że nazajutrz byleby chciał zaofiarować talarka, utworuje sobie drogę choćby do samego króla, byle nie oszczędzał datku. „Albo wie pan co, dodała Sorc, ja pannę dam żydka ubranego po francusku, który czasem wielkim panom usługuje (zarumieniła się trochę, bo Dawid spojrzał ję w oczy) za talarka on się wypyta, dowie i pokaże panu gdzie masz iść.“

Nazajutrz o południu Jan pospieszył ze swoim przewodnikiem i potrafił docisnąć się aż do przedpokoju Bacciarellego. Przez drzwi wpół otwarte ujrzał ztąd ogromne pracownię, szeregiem idące za sobą i wiele a wiele pokojów wysokich, w których kręcili się młodzi ludzie około płócien i stolików. Wnijsć mu dalej nie pozwolono. Z dunną a kwaśną miną spotkał go czarno ubrany siwawy już człowieczek, sekretarz artysty; poczynając rozpytywać po francuzku. Jan nie uniał po francuzku, zamknęto mu drzwi przed nosem. Wyszedł znów służący dopytując czego chce?

— Chcę się widzieć z p. Bacciarelli.

— Interes jaki?

— Interes.

— Od kogo?

— Jak to od kogo? od siebie. Mam prócz tego list do P. Bacciarellego

— Proszę mi go oddać.

— Sam w ręce muszę go oddać. Kiedy widzieć go mogę?

— P. Bacciarelli widzieć się daje tylko na chwilę i to jeśli jest co bardzo pilnego, między czwartą a piątą po południu.

To rzekłszy zamknął mu znów przed nosem drzwi służący. O naznaczonej godzinie stawił się Jan, ale Bacciarellego nie było, malował panią G.... Czekał do samej piątej aż nareszcie schwycił wracającego do domu z sesji malarzkiej, zmęczonego i kwaśnego.

Włoch przyjął go zacierając ręce i ukośném mierząc wejrzeniem, w przedpokoju, nie zdejmując szuby którą był okryty.

Jan skłonił się i podał list w milczeniu.

Bacciarelli począł go czytać, skrzywił się, zmierzzył oczyma nowo przybyłego, pokiwał głową i począł z razu mówić coś złą francuszczyzną. Jan odpowiedział mu po polsku.

Ruszył ramionami i zawołał złą polszczyzną: — No czegoż chcesz?

— Chcę mieć szczęście korzystać z jego nauki.

Bacciarelli udobruchał się i rozśmiał.

— Ja nie daję lekcji — rzekł, mani uczniów, ale im płacę nie oni mnie. Wojewodzie S... chce bym wam pomógł i nagli mnie o to. — Chodź Waćpan.

I wprowadził go do wielkiej malarni, pracowni na ogromną skalę, której ściany okrywały od góry do dołu obrazy, po większej części portrety różne w całej postaci, popiersia i t. p. Portrety Stanisława Augusta, którego co rok przez ciąg panowania malowano i sztychowano, były tu w największej liczbie, w różnych mundurach, strojach, postawach: najwięcej wyobrażały króla w granatowym generalskim ubiorze z piórem za uchem, u stołu na którym stał kałamarz i karta biała leżała. Piękne ręce królewskie pulchniutkie, białe, obie były na widoku: wyraz znużenia i przymuszonej wesołości może mimowolnie przebił się z fizjognomii królewskiej. Kilka innych obrazów przedstawiały prawie nagie kobiety, jakieś Wenery Kallipygi, malowane z zalotnic, z uśmiechającymi się pyszczkami i mdlejącymi oczyma. Innego rodzaju utworów było mało.

Kilku uczniów ciągle kopiowało portrety Najaśniejszego Pana, podmalowywało, zarzucało draperye, wykończyło koronki i t. p.

Jan obejrzał się dokoła, ale prócz kilku nóg i rąk nie zobaczywszy żadnego gipsu, żadnych posągów, zdziwił się bardzo. Mannekin w generalskim mundurze siedział zadartszy nogi na krześle.

— Gdzie pan byłeś? spytał Bacciarelli spoglądając na Jana z uwagą.

— W Wilnie u Batraniego.

— Co to Batrani?? A! a! Włoch, florentczyk, povero! skrzywił się. Co uniesz? robiłeś z natury? malujesz z natury? malujesz olejno?

— Trochę, odpowiedział Jan skromnie.

— Chciałbym coś zrobić dla Wojewodzica, rzekł Bacciarelli, c'est un charmant garçon, ale tyłu już mam w mojej malarni! Weź waćpan kredę, dodał od niechcenia. odrysuj mi co chcesz na tém płótnie.

To powiedziawszy stanął i ciekawie przyglądać się począł.

Jan pomimo przełknięcia, rzucił kilką śmiałemi rysami głowę starca, (w rodzaju świętego Hieronima) oznaczył piersi i ręce złożone, potem główne plany torsu.

— Nie źle, rzekł zakąsując usta Bacciarelli, lecz możesz malować? długo malowałaś?

— Rok!

— A! tylko rok

I zazdrosny Włoch, który się zdziwił śmiałemu rysunkowi Jana, zuowu pogardliwą zrobił minę. Jan zawstydził się i smutnie rzekł w duszy: na nic mu się nie przydan.

— Jeśli pan pozwoli, dodał, ja o to tylko proszę, żebym mógł przyjść czasem i służyć mu na rozkazanie. Żadnej nagrody nie będę żądał. A gdybym mógł mieć kątek jaki i kawałek chleba.

— Każdy z moich uczniów, prócz jednego, stoją w mieście. Dam Waćpanu na to pieniądze, ale dorzucił niedbale, mało mam czasu, ściemnia się, pokaż mi jak malujesz, umiesz się obejść z brossą?

W czasie rozmowy poprzedzającej, kilku młodych ludzi nadeszło z drugiej sali i postawało dokoła, ciekawie wpatrując się w obcego. Bacciarelli dał znak aby mu przyniesiono paletę i pęzle. W chwili spehniono rozkaz, ale najgorsze brossy naturalnie podstawiono umyślnie. Jan stanął u płótna czując, że tu o los może jego chodzi. Nie wiedział on, że Bacciarelli zazdrosny, wszystkie wielkie odpychał talenta, że przysyłane z Rzymu (jak twierdzą) obrazy Smuglewicza, psuł umyślnie aby króla ku niemu zrazić.

Głowa starca już rzucona na płótno w chwilę poczęła

się cieniować, nabrała wypukłości i ożywiła cudownie. Wyraz jój, koloryt, półcienie, w których cała zatopiona była prócz części czoła i jednej strony twarzy, zdradzały talent silny i oryginalny. Obrisy może były trochę za ostre, zbyt wyraźne, ale zresztą nie jój zarzucić nie było można. Szybkość wykonania, pewność ręki, zdumiewały przytomnych uczniów. Bacciarelli bladł, to czerwieniał.

— Che diavolo! precedził przez zęby, wcale nie źle, wcale nie źle! Biorę Waćpana na takich warunkach jak innych. Będziesz pracował pod moją dyrekcją, dla mnie i dla nikogo więcej.

— Jak to? spytał Jan nieśmiało.

— Tak, rzekł malarz. Co zrobisz będzie mojem, a roboty u mnie nie zabraknie. Robię to dla Wojewodzica. Od jutra proszę być na miejscu. O ósmej schodzą się wszyscy i pracują do obiadu, czasem po obiedzie, ale teraz dnie krótkie. O reszcie koledzy go nauczą. To rzekłszy obrócił się i wyszedł, ale ze drzwi zawołał do ucznia: Zetrzeć tę głowę, bo płótno mi potrzebne na jutro.

I natychmiast mokra ścierka z terpentyną niełitościwie przesunęła się po ślicznym szkicu Jana. Głowa znikła jak senne marzenie. Jan ujrzał się otoczony ludźmi, którzy mieli być towarzyszami jego; młodzieżą wesołą, żartobliwą, która byłą niechybnie rzuciła się nań jak na pastwę, gdyby jój nie dał próbki tak dalece zastanawiającego talentu, że najzłośliwsi upokorzonymi, a co gorzej wzruszonymi się uczuli.

— Jak się nazywasz kolego? i zkąd przybywasz? rzekł jeden.

Jan dopiero po tém pytaniu rzucił okiem na swych towarzyszy. Było ich pięciu. Okryci zioionemi bluzami, różnych wzrostów i postawy, otaczali go ciekawi. Ten który pytanie rzucił, słuszny, czarno-oki, piękny, i całkiem już męczyzna, bladój twarzy, rysów szlachetnych, zdał mu się najsympatyczniejszym. Ogień błyskał w jego oczach: ruchy,

postawa, wszystko mówiło o szlachetnym charakterze, o duszy dumnej ale czystej. Drugi za nim stojący mały blondynek, z zadartym nosem, niebieskimi a zbladłymi od śmiechu oczyma, tak się wszystko w nim śmiać zdawało, opierał się na malsztoku, a rękę trzymał w bok wpartą. Trzeci mały także i trochę ułomny, seryo poważny, włos ciemny rozczochrany, ręce silne i ogromne, czoło chmurne, brwi zmarszczone, usta zapadłe, nosił ślady schorowania, boleści, strapiień; stał z boku i nie mieszał się do szeptów i rozmowy. Czwarty cienki, smukły, piękny jak anioł, mający coś wyrazu i rysów twarzy Rafaela, w berecie axamitnym na uchu, z włosiem blond długim, ubrany był wytwornie; szeroko wyłożony kołnierz koszuli dawał mu coś dziecięco-wieściwego. Był to faworyt Bacciarallego; a różnie sobie ludzie to upodobanie w nim mistrza tłumaczyli. Ostatni najświeższy przybylec, wzrostu słusznego, pospolitych rysów twarzy mężczyzna, nie miał wybitnego wyrazu, obojętnie spoglądał, bez ciekawości, bez zajęcia, bez ognia, ruszał machinalnie pęzlem po palcie, którą trzymał w ręku. Myśl jego widocznie była gdzieś indziej.

Na zapytanie pierwszego Jan odpowiedział:

— Jestem Litwin, uczyłem się w Wilnie, miałem list od Wojewodzica S.... Chcę się uczyć. Jestem ubogi a kocham sztukę. Was panowie i przyszli towarzysze proszę usilnie o przyjaźń, a sam starać się będę na nią zasłużyć.

Tych kilka słów prostych, przerywano bo z uczuciem powiedzianych, dobre zrobiły wrażenie. Ostatni z uczniów, obojętny, i faworyt Bacciarallego w axamitnym berecie poszedł zaraz do sąsiedniej sali, spiesząc zapewne do roboty. Jan pozostał ze trzema, owym figlarnym śmieszkiem, pierwszym co go był zapytał i smutnej twarzy ułomnym.

— Daj ci Boże szczęście mój Żmudzinie, mój Litwinie, rzekł żartowniś, ale czy wiesz co cię czeka? Całemu światu wiadomo, że Litwa jest dotąd pogańska i że czci żaby i węże, musimy cię więc naprzód ochrzcić.

— Widzisz, że to ubogie chłopię, przerwał ponuro ułomny, daj mu pokój ze chrztem i bierzmowaniem. Może przybył tu o ostatnim groszu, spiesząc jak do portu ocalenia.

— Więc już nie ma za co nawet towarzyszom chrztu sprawić? spytał młody chłopak.

— Znajdę, rzekł Jan, ale będzie ci smakować kolego, grosz ubogiego, choćbyś go w najlepsze wino zamienił?

— Za tę odpowiedź niech cię uściskam, zawołał wesoło chłopiec, darujemy ci chrzest. Dowiedziona, że byłś ochrzczony za Władysława Jagiełły, przez biskupa Dobrogośta, a chrzest się nie powtarza. Dixi.

To mówiąc porwał go za szyję i ucałował serdecznie. Pierwszy co Jana zapytał i ułomny zbliżyli się do niego z zajęciem. ścisnęli go za dłoni i prawie razem szepnęli: — Poczekaj, pójdziemy razem.

Nieopatrzenie sympatyczna jest młodość, nie ma ona tajemnic, którychby się wahała powierzyć: ściśnięcie dłoni, uśmiech przyjazny, słówko serdeczne, całą ją zabiera i płaci. W chwili potem Jan schodził ze wschodów powoli, słysząc goniących już za sobą dwóch towarzyszków co mu szeptali u wyjścia aby się nieco zatrzymał.

W podwórzu dogonili go i szli razem.

— Słuchaj, rzekł mały ułomny, którego zwano Felixem. Jaki zły duch zagnał cię do pracowni Bacciarellego?

— Zły duch? spytał Jan, ja to miałem za największe szczęście.

Drugi, w malarni przewany Longinem i wabiący się na to narzucone nazwisko dorzucił:

— Oj śliczne szczęście! przedać się z duszą i ciałem człowiekowi co ci każe pracować jak machine, pracować dla siebie ze swęj myśli, niewolniczo-bezimiennie.

— Chodźmy do Saskiego ogrodu, przerwał Felix zwany Chinurą, opowiesz nam jaka cię tu burza zagnać mogła.

Jan po prostu opowiadać zaczął wszystko o sobie:

młodość swą, naukę u Batraniego, pobyt u matki, podróż, spotkanie z Wojewodziecem.

— Wojewodzie S..., rzekł Chmura, pomścił się na tobie za upokorzenie, którego doznał, zarekomendował cię Bacciarrellemu na twoję zgubę.

— Nicze się tu nie nauczę? spytał Jan.

— Widzieliśmy próbkę tego co umiesz, rzekł żywo Longin, Bacciarrelli bladł i czerwieniał patrząc na twoją robotę. Ra-ł cię użyje, ale nie spodziewaj się nic prócz wprawy mechanicznej ręki. Może napatrzywszy się na nasze roboty stracisz śmiałość linii i cieniów, nabędziesz miękkości i mglistości, zlania tonów cudownego, którem celujemy. Ale głowa ci się nie rozwinie, bo u nas nie mówi się o sztuce, nie tłumaczy żadnej czynności, bo sam może mistrz jest tylko zręczną machiną. Za to używać cię będziemy bez litości!

— Ja miałem nadzieję, że ztąd po jakimś czasie do Włoch się dostanę.

— Nadzieja nas wszystkich! Żaden przecie tego nie dopiął, prócz Smuglewicza, o którego już Bacciarrelli jest zazdrośnym. On nie wiele dba o rysunek, chociaż ma go jeśli się o to stara, nie wiele stoi o wyraz, trochę więcej o miły, harmonijny koloryt, a nadewszystko o podobanie się królowi, i tym przed którymi dworuje. Najwięcej robi portretów i nagich bogiń. Jeśli kogo wyśle do Włoch, to chyba w przekonaniu o niewielkiej jego zdatności i zmuszony. Ciebie zaś nigdy.

— Pochlebiasz mi, rzekł Jan, ale ja czuję jak mało umiem.

— Pelen jesteś prostoty lub wielki z ciebie figlarz, dodał Chmura.

— Bierście mnie jak widzicie. Wolę być oszukany niżeli oszukiwać. Radźcie mi co mam począć?

— Stało się, wpadłeś w kleszcze Bacciarrellego i nie łatwo z nich wynijdziesz, wprawdzie nie miałeś może do wyboru. Chybabyś....

— Chyba co?

— Chyba cię król wyróżni i postrzeże. W takim razie Bacciarelli pod jakimkolwiek pretextem usunie cię z przed jego oczów. Wolno ci naówczas będzie osiąść samemu, żyć z pracy i zająć się malarstwem swobodnie. Tak rozinawiając chodzili długo, a dwa pocziwe serca wylały swój smutek w duszę Jana, który postrzegł, że wielkie szczęście jakiego dostąpił, na oko tylko było wielkiem szczęściem a w istocie wielkiem na drodze postępu opóźnieniem. U Bacciarellego bowiem prawie nic nie mógł się nauczyć, a bardzo wiele zapomnieć.

Gdy się trzej towarzysze rozstawać nieli, Chmura niektóre jeszcze dobre rady dał na pożegnanie temu, którego już uważał za pokrewnego w nieszczęściu i przyszłego przyjaciela.

— Zdaje mi się i chcę na to rachować żeś niezepsuty i pocziwy, rzekł powolnie, przyjmij niektóre rady mogące ci bardzo w nowém życiu posłużyć. Nie mów prawdy zbyt porywezo, a gdy komu niemiła zamilcz ją całkiem. Niepotrzebnie porobiłbyś sobie nieprzyjaciół. Nie pokazuj swojej wyższości. Strzeż się pięknego kolegi co ma minkę Rafaela, chodzi w berecie jak on, jak on się uśmiecha: a serce ma Guida!

Strzeż się milczącego słupa, który jest także zausznikiem Bacciarellego. Wesoły chłopiec co cię chciał ochrzcić, dobre dziecko, ale dziecko. Nam zaufać możesz. Ja i pocziwy Longin wdychamy tu jak Izraelici na pustyni. Tamtym chce się pieniędzy, chce się świata i gotowi spodlić się aby je mieć: my myślim, że sztuka jest rodzajem kapłaństwa, jak mówił twój nieoszacowany stary Batrani. Bądź zdrów. Lecz gdzie ty mieszkasz?

Jan ze wstydem wyjąknął.

— Słuchajże, przerwał Chmura, przenoś się zaraz do mnie, mam mieszkanie obszerne, jasne, gdzie można pracować, gdzie będziemy we dwóch. Stoję niedaleko zamku,

bliżej nam będzie chodzić. Wspólnie opłacim mieszkanie i zaraz gospodarować w niem będziemy: obu lżej nam będzie. Jeśli później nie pokażesz się tak dobrym chłopcem jakim mi się dziś wydajesz, no, to się bez ceremonii rozstaniemy.

Ofiarę tę z radością Jan przyjął i tegoż dnia przeniósł wieczorem rzeczy swoje do Felixa, którego mieszkanie czyste, widne, wygodne, rajem mu się wydało po smrodliwej izdebce w żydowskiej gospodzie.

Nazajutrz i następnych dni kazano Janowi podmalowywać potreti, które on sobie właściwym kolorytem nabranym u Batraniego, szerokim pędzlem, szybko i grubo odszkicowywał. Nie podobała się ta maniera mistrzowi i pierwszy ulubieniec Włocha począł ją wyśmiewać, wskazywać na nią. Kazano Janowi zastósować się do manieri miejscowej i robić jak wszyscy. Praca była niesłychanie jednostajna, niewolnicza i bynajmniej nienauczająca. Bacciarelli rzadko przychodził i poprawiał, a najłżejsze odstępianie od swego sposobu karmił jak przestępstwo. On, jak wszyscy ciasnej głowy ludzie, widział tylko jedną doskonałość, swoją. Nie pojmował, żeby piękność mogła rozlicznemi środkami w różny coraz sposób być wydana. Jan postrzegł wkrótce, że zamiast uczyć się, cofał. Dusza jego wzdychała do Włoch, ale jak mu się tam dostać?

Chmura boleśnie żartował z nadziei.

— Wpadłeś w studnię, mówił, siedźże w niej spokojnie. Pracujmy cicho u siebie; mamy całą niedzielę a czasem i święta; możemy nieć wzory, używajmy resztek zbywającego czasu, abyśmy się doskonalili sami. A nadewszystko chceszli być artystą, unikaj miasta. To Sodoma i Gomora!

W istocie Warszawa wówczas zasługiwała na to nazwanie, tak była zepsuta, tak przegniła od górnych warstw towarzystwa do najniższych prawie.

Jan ocierał się między ludźmi i poglądał zblizka na jedną z najciekawszych epok krajowej historii, na tę stypę

pijanych grabarzy, która się zowie świetném panowaniem Stanisława Augusta. Codziennie w zamku bywając, pomimowolnie wnikał w to życie dziwne zmianami opinii, fizjonomii, charakterów, gdzie nieledwie wszystko obracało się na najnieszlachetniejszej osi osobistego interesu.

Feliks, towarzysz codzienny jego, jak Kassandra wzdychał przepowiadając smutne przebudzenie po szale: dla niego kłamane wesele nie miało tajemnic.

Przybycie do Warszawy na sejm, księżnej kurlandskiej ze świetnym dworem i przepychem królewskim prawie; nowe jeszcze wlało życie w ten ruch już i tak do szalu podobny. Balc gonili za balami, król Jegomość przelatywał motylem od piękności do piękności; przysiadł się był nawet razem z księciem Sapiehą przy księżnej Biron; ale go zazdrosna odwołała G... i posłuchał.

Jan wpatrzył się przez czas pobytu swego w Warszawie w ten obraz, który podobno nie znajdzie malarza coby go wystawił w całej fantastycznej okazałości jego i szkaradzie. Jego wspomnienia ze smutkiem jako obce przedmiotowi powieści, całkiem tu wyrzucać musiny.

.....
 Żyjąc tylko jedną rozmową z przyjaciółmi i pracą domową, którą sam wedle swej myśli kierował, Jan począł nareszcie rozpaczać nad sobą. Nie było promyka nadziei dostania się do Włoch. nawet sposobu wyróżnienia się od drugih i okazania talentu.

Szczególny traf pomógł mu do podróży upragnioną i dziwnie spełnił życzenia. gdy się już był wyrzekł długo karmionych chimier młodości.

W chwilach wolnych malowali oni oba z Feliksem w domu u siebie, chociaż to zdawało się przeciwne umowie z Bacciarellim, który ich całkiem chciał mieć sobie zaprzędanych. Roboty te wszakże nie wychodziły z malarni.

W czasie sławnego karuzelu na pamiątkę zwycięstwa Jana III pod Wiedniem, karuzelu, który tyle kosztował króla,

a z tak śmiesznym odprawiony był przepychem — Jan dostawszy bilet i pozwolenie, był przytomny. Wszyscyście pewnie słyszeli o tój Stanisławowskiej zabawie, na którą z zagranicy zjeżdżali się ciekawi; gdzie dany zwycięzcom turniejów przypinały złote i srebrne na niebieskich wstęgach medale, a zwycięzcami byli ośmnastoletni chłopcy, co drewnianych kiereszowali Turków, kółka łapali w pędzie koni na kopie, lub brechłance łamali nadkruszone.

Przypatrzył się Jan walkom liliputów i świetnym zwycięstwom, będącym najsroższą krytyką panowania tego i całej przepysznój uroczystości, takimi naówczas okrytój oklaskami i eudnemu nakoniec fajerwerkowi, który zielonym ognistym laurem oświecił kamienną twarz bohatera.

Nazajutrz gdy z dowcipnym dwnwierszem przylepiano kartki:

Sto tysięcy karuzel, jabym dwakroćłożył.

By Stanisław skamieniał, a Jan III ożył, a król uśmiechał się przyniesionemu konceptowi, mówiąc nań: — A to wcale dowcipnie! (ale z gorzkiem ust skrzywieniem); Jan rysował z panięci widok dość malowniczy gonitw, w chwili gdy paziowie, gwardyacy i kadeci z szablami na siebie nacierają (gdzie Lipiński dostał taki raz od Nakwaskiego przez głowę, że od niego na całe mu życie szrań pozostał).

Rysunek ten zrobiony w domu: naprędce, przyniesiony został do malarni i porzucony na krześle. Jan niedbale go wprowadzić wykonał i masy tylko poznaczając, ale w obramieniu punktu widzenia, grupach, pojedynczych postaciach, znać było malarza. Konie narysowane były z ogniem i wybornie, jeźdźcy ciągli się serdecznie, co na obrazkach rzadko. Dla znawcy rysunek ten wart był wiele. Król tego dnia opatrujący malarnię Bacciarallego, dla zdecydowania o portrecie pani N..., która odinalowana została leżąca w łóżku i bawiąca się z pieskiem, prawie naga, z uśmiechem figlarnym, z ręką na głowę zarzuconą, w pozie dziwnie bezwstydną, na wzór Tycjanowskiej Wenery w Trybunie, chodził od trójnoga

do trójnoga, a przechadzając się postrzegł zamazany arkusz niebieskiego papieru.

Z ciekawością wziął go w ręce.

Bacciarelli szeptał. To bazgraniny moich uczniów.

— A! to karuzel, rzekł Stanisław August i wybornie schwycony. Co za rysy pewne, jaka śmiałość ręki, jakie grupowanie! któż to rysował?

Jan pobladał, milczał nie śmiejąc się odezwać.

— Nie wiem, który z nich, rzekł Bacciarelli, ale niby mimowolnie i z roztargnienia wskazał na faworyta swego w axamitnym berecie

— Winszuję ci mój chłopcze! odezwał się król wpatrując coraz uważniej w rysunek; prawdziwie wybornie, chciałbym żebyś spróbował odmalować to dla mnie pod okiem Bacciarellego.

Młody chłopiec nie śmiejąc brać dla siebie niezasłużonych pochwał, już miał usta otworzyć i odezwać się, że nie on to rysował, bo i na karuzelu nawet nie był; gdy Bacciarelli zagadał Najjaśniejszego znawcę, który odszedł do jakiegoś obrazu, a nieco później wrócił do swoich pokojów. Jan odebrał swój rysunek i schował go.

W kilka godzin potem wbiegł do mieszkania Feliksa i Jana ulubieniec malarza, prosząc o rysunek karuzeli, wedle którego kazano mu widok gonitw malować.

— Maluj, rzekł Jan jeśli chcesz i jeśli ci kazano, ale maluj sobie z głowy, z pamięci, bo ja mego rysunku ci nie dam.

— Proszę do pana Bacciarellego, kwaśno odpowiedział wychodząc faworyt.

Jan poszedł natychmiast; Bacciarelli przyjął go blade i gniewny mówiąc na wstępie:

— Proszę o rysunek karuzeli, Rudolf będzie go malował.

— Rysunek jest moją własnością, odparł Jan.

— Wszystko co pan robisz jest moje, za to mu płacę,

rzekł w gniewie Włoch miotając oczyną. Taka była umowa nasza. Podobą mi się kazać Rudolfowi malować i malować będzie.

— Być może, ale nie z mojego rysunku. Jestto pamiątka, którą chcę zatrzymać dla siebie.

— Maluj więc razem z Rudolfem, wyjąknął malarz szybko.

— Nie mogę, bo wiem, że to tylko jemu na coś posłużyło, jemu sławę nie mnie przyniosło. Nie chodzi mi o nagrodę żadną, ale o własność pomysłu, której nie dam wziąć sobie.

— Waćpan jesteś uparty i zarozumiały, zawołał Bacciarelli ściskając ramionami i ostrym wejrzeniem ścigając Litwina. Waćpan wiesz, że śmiesz się sprzeciwiać woli królewskiej?

— Ja!!! z rozkoszą woli Najjaśniejszego Pana będę posłuszny, jeśli mi się pracy mojej wyrzec rozkaże.

— Wolą jest Jego aby Rudolf malował.

— Niechże maluje, odrzekł zmęczony naleganiem Jan, ale pracując nad sobą aby się nie poddać.

— Waćpan mu będziesz pomagał? dodał tryumfujący Bacciarelli.

— Nie.

— Stanowczo?

— Stanowczo, nie.

— Proszę więc nie powracać do mnie.

Jan skłonił się i wyszedł.

Ta scena, która w gniew niepojęty wprawiła Bacciarelliego, rozeszła się od ucha do ucha podawana po zamku: od uczniów z malarni do paziów J. K. Mości i dalej.

Nie bardzo lubiony Bacciarelli. powszechnie wyśmiewany był przez wszystkich.

Turkuł ów sławny paź królewski, figlarz i dowcipniś, którego żarciki lubił Stanisław August, a śmiałość tolero-

wał, bo ta go bawiła — Turkuł był narzędziem szczęścia dla Jana.

Turkuł wysłany został z prześlicznymi wiśniami, nowaliją osobliwszą od króla J. M. do pani Zamojskiej. W drodze, zepsute dziecko, trzpiot i łakomiec, tak się wpatrzył w wiśnie, że mu się ich poczęło zachciewać niezmiernie. Ulegając nieszczęsnéj pokusie, zjadł śliczne wiśnie posłane, po jednej aż do dna; a na miejsce ich kupił w straganie kwaśnych i maleńkich, odnosząc je od króla pani Zamojskiej. Nazajutrz gdy Stanisław August odwiedza siostrzenicę, skarży mu się pani Zamojska: — Cóż to za żart zrobiłeś W. K. Mość ze mnie? Przysłałeś mi jakieś wisienki, których w usta wziąć nie mogłam.

— Jakto, ma toute belle, prześliczne, łutowe i najpierwsze wiśnie!

— Szkaradne, drobne, kwaśne!

— Kto je przyniósł?

— O! nie wiem doprawdy.

— Czy nie Turkuł?

— Bardzo być może, dorzucił przytomny Bacciarelli, który malował portret pani Zamojskiej dla króla, — wczoraj go widziałem na koniu stojącego przed straganem nie opodal ztąd i kupującego wiśnie.

— A łotr! śmiejąc się zawołał król, il n'est pas degouté!!

Z powrotem do zamku przywołują paza.

— Coś zrobił z wiśniami pani Zamojskiej? spytał król kręcąc go za ucho.

— Najjaśniejszy Panie! a cóżem miał zrobić, dopełniłem ich przeznaczenia

— Tak! ale nie oddałeś ich pani Zamojskiej. Na miejsce ich kwaśne jakieś, brzydkie, maleńkie!

— Prędko jechałem, ntrzęsły się może, zbiły i skwaśniały.

— Bacciarelli powiada, że cię widział kupującego jakieś wiśnie w straganie?

— Mnie?

— Waści.

— No! to wolę wyznać W. K. Mości, że mnie skusiły jak jabłko Adama. — Owoce dla mężczyzn są tak niebezpieczne! Daruj królu! Wiśniom i kobietom oprzeć się niepodobna! dodał z głębokim westchnieniem i udanym strapieniem. P. Bacciarelli! (zapłaci mi, szepnął do siebie) on zawsze widzi co chce, a czego nie chce nie widzi. —

— No? czegoż tam się nie dopatrzył, panie Turkuł?

— O! wielu rzeczy Najjaśniejszy Panie! Naprzykład zobaczył, że pan Rudolf rysował Karuzel, a nie wiedział, że rysunek, który W. K. Mość pochwalił, był wcale innej ręki.

— Innej ręki? czyjże naprzykłał?

— Biedaka Litwina jakiegoś, który z tego powodu wyszedł od Bacciarellego i stracił miejsce, nie chcąc dać malować ze swego konceptu.

— Pleciesz Waćpan! rzekł król obojętnie.

Tegoż dnia było posiedzenie w malarzni dla portretu nowego J. K. Mości corocznie się malującego. — Po krótkiej chwili wyszedł Stanisław August do innych sal zobaczyć roboty poczęte: zbliżył się do Rudolfa i zapytał wpatrując się w niego:

— A co? mój Karuzel?

— Najjaśniejszy Panie, podchwycił Włoch szybko, jeszcze się do malowania go przygotowujemy.

— Wszakże to Rudolf go rysował? dodał z intencją król mierząc go oczyma.

Ten postrzegł a raczej przeczuł z wyrazu twarzy królewskiej, że się coś święci nie dobrego i chciał wyprzeć się nie swojej roboty, ale Włoch przerwał nie dając mówić.

— Zdaje mi się, rzekł żywo, że się omylił mówiąc W. K. Mości, iż on rysował. Ale to pewna, że tak drobnego przedmiotu o tysiącu szczegółach nikt nad niego lepiej wykonać nie potrafi. Il a une touche très spiri-

tuelle; pod mojem okiem byłby się dobrze z włożonego nań polecenia wywiązał

— Któż przecie rysował? spytał król obojętnie.

— Nie ma go tu, odrzekł Bacciarelli, nie wiem czemu od kilku dni nie przychodzi, musi być chory

— Niech maluje Karuzel, ten co pierwszy miał myśl szczęśliwą rysować go, — proszę cię Mości Bacciarelli.

To rzekłszy król się odwrócił i poszedł. Po południu Włoch posłał po Jana. ale Jan zrazu przyjść nie chciał. Wysłano z naleganiem raz drugi, i przyszedł nareszcie. Bacciarelli przyjął go zimno, nudał jakby nie wiedział dla czego tyle dni niepokazywał się w pracowni i nakazał brać się do Karuzelu. Jednakże chcąc sparaliżować efekt obrazka, wyznaczył rozmiar tak mały, że przy mnóstwie osób niepodobieństwem prawie było wybrnąć zwycięzko z tak trudnego zadania. Jan podlegnięty trudnością, w kilka dni prawdziwe stworzył arcydziełko: drobniutkie figureczki wykonane lekko, łatwo a z duszą, żyły; wszystko było wyraźne choć drobne. a nie twarde; ekukcy zachwycala barwą i światło-cieniami. Pod pretextem poprawek, Bacciarelli popsuł obrazek. Jan zobaczył to i zebrawszy się na odwagę, potajemnie starał świeże jeszcze poprawki cierpliwie i przywrócił robotę do pierwszego stanu. Malarz nic o tém nie wiedział, nie spodziewał się takiego zuchwalstwa, a śpiegi pracowni nie dojrzały tego i nie donieśli. Obrazek wysychał w kącie. W kilka dni król zapytał o Karuzel. Przyniesiono mu go, ale jakież było zdziwienie Bacciarellego gdy na nim roboty swój nie mógł znaleźć: oczy mu zasły krwią od gniewu, zagryzł wargi, ale zniłczał w początku. — Che bestia! mruknął tylko przez zęby.

Stanisław August tak był kontent z roboty, tak się nią bawił, że w uniesieniu chwilowém, nie zważając na kwaśne uwagi i krytyki Włocha, rozkazał zawołać Jana i spytał go czegoby życzył?

Ośmielony łagodnym i wesołym wejrzeniem króla, Jan

rzucił mu się do nóg, w kilku słowach opowiedział biednego swego życia historią, a z piersi wyrwał mu się wyraz ów żądań, niepomahowanych każdego artysty: Włochy!

— Jedź, rzekł król. a wracaj nam mistrzem! Jest już tam nasz Smuglewicz. po którym wiele się spodziewam. Wiele ci dać na podróż nie mogę, ale artysta obejdzie się małym: wyznacę ci pensyjkę i na podróż pieniądze, przysyłać mi roboty swoje, prócz tego, dodał cicho, nie masz tu podobno przyjaciół.

Jan w uniesieniu radości powtórę upadł do nóg królowi i rozplakał się w zbytku niespodzianego szczęścia. W kilka dni potem opatrzony w pieniądze, paszport, listy polecające, napisawszy kilka słów dla pocieszenia matki. Rugpiutis dążył już do wrót nieśmiertelnego Rzymu.

Wyjazd jego z Warszawy zaćmił się bolesnym wypadkiem: towarzysz Jana poczciwy Feliks znękany, zrozpaczony. i gwałtowną chorobą rzucony o łożo, podał mu na pożegnanie dłoń zimną, która w rękę jego skrzepła na wieki! Kilka rozpoczętych płócien. teka rysunków pełnych energii i niezwykłego ognia; wspomnienie w jednem sercu prędko zatrzeć się mające: oto co po nim zostało. —

— „Witaj ziemio! Grecyi dziedziczko, ojczyzno odrodzonej sztuki, matko wielkich artystów, których wykarmiłaś na ruinach starą myślą umarłego świata, których wykołysałaś głosami nadziemskimi przeszłości. witaj Italio! witaj Roma!...” wołał Jan ze wzruszeniem wstępując na odwieczną drogę, na której czuł raczej niż widział ślady rzymskich wozów, ujrawszy starą naddrożną kolumnę, jedną z tych co olbrzymie drogi olbrzyźniego państwa rozmierzały.

Z podwójnem uczuciem chrześcianina i artysty pokłonił się wielkiej ruinie i zamyślił nad nią głęboko. Nigdzie tak

żywo nie mówi przeszłość jak na tym grobowcu. A dla Jana grobowiec rzymski był także kolebką. Tu wykołysała się na falach krwi męczeńskiej wiary Chrystusowa, nowa religia, nowe prawo dla świata. Sztuka starożytnych na chwilę zapomniana, ustąpiła w jego umyśle miejsca katakumbom o nieforemnych symbolicznych postaciach i podaniom z pierwszych heroicznych chrześcijaństwa wieków.

Wzruszenie, w którym niepojętym sposobem mieszały się wiara i sztuka, — opanowało serce jego. Jan bowiem pomimo zaniedbanego wychowania, przejął od matki, wyssał z mlekiem głębokie, silne uczucie religijne, dotąd niestarte i nieosłabione niczem. On wierzył sercem, głowa jeszcze u niego serca słuchała.

Wszystko tu przemawiało do niego; a pierwsze dni w Rzymie spędzone, nie pogański świat, nie sztuka jego wspaniała i podziwu godna, ale pamiątek chrześcijańskich i świętych miejsc obejrzenie zajęło. W kościele świętego Piotra, u świętego Stanisława dei Polacchi, u Jana świętego, na Lateranie, u Maryi większej, u Maryi Anielskiej, u świętego Piotra in vincoli, modlił się naprzód jako pielgrzym, posyłając w modlitwie westchnienie za matką.

Ochłonawszy dopiero z tego pierwszego uczucia wyłączonego w początku, Jan poczuł się artystą, pomyślał, że jako artysta nie jako pielgrzym tu przywędrował. A arcydzieła sztuki z kolei silnie go pociągnęły ku sobie. Przygotowany do widzenia ich i ocenienia przez Batraniego, nie zaraz jednak potrafił wielkość i piękność ich uczuć, rozeznąć.

Ze sztuką jak z wszystkiém inném na świecie, potrzeba wyrobić w sobie smak różnostromny, pojęcie szerokie jęj całości, aby wszystkie objawy tak rozmaite gieniuszu ludzkiego zrozumieć, aby przez uwielbienie dla jednych nie stać się niesprawiedliwym dla drugih. Mało jest ludzi coby razem ryśunek, linią boskiego Rafaela, wyraz naiwny starych mistrzów, potęgę Michała-Anioła, koloryt uroczy szkoły Weneckiej, wdziek Albana pojąć i uczuć umieli, nie wyłączając jednego

przez cześć dla drugiego, nie stając się niesprawiedliwymi dla którego z tych wielkich, w swoim każdy rodzaju, mistrzów.

Jan téż w początku nie uczuł całej wielkości, arcydzielnosci tworów, które spotykał, błdził od jednych do drugich i tysiącem sprzeczności rozmarzony, nie pewien co wybrać i kogo słuchać, był jakby wśród wrzawy stu pięknych głosów, z którychby każdy inaczej śpiewał. Każdy w początku tego doznaje, kto nie ma wielostromego uczucia w sztuce i wyrobionego wyższego o niej pojęcia; później, najczęściej jeden mistrz najsilniej do organizacyi, temperamentu, wykształcenia przemawiający, staje się wybranym i uwielbionym kosztem innych. Jego stawiamy na czele gmachu, a resztę pod nogami bohatera. Lecz jestli to sąd sprawiedliwy, sąd jakim on być powinien? Nie — jestto poprostu ślepe zamiłowanie siebie w drugim. Ledwie prawdziwie wyżsi niemi się nie zadowalniają: pracują nad sobą, aby umysł potrzebny do pojęcia zakrytych im piękności wyrobili w sobie, i dochodzą do tego pracą, żądzą i wolą niezłomną.

Jan długo błdził od obrazu do obrazu, od posągu do posągu, zapytując siebie: Co jest prawdą dla sztuki? czy linia, czy barwa, czy wyraz, czy wdzięk, czy siła? Każde dzieło inaczej mu na to wielkie pytanie odpowiadało; żadnego nie znalazł coby wszystkie pojedyncze warunki sztuki skupiło w jednem i równie dobitnie zadość im czyniło. Tu dopiero pojął on co jest ideałem, tym odwiecznym wzorem boskiego Platona, na który ma się mistrz tworząc zapatrywać. Ideał jest to właśnie owo dzieło niestworzone, niezrealizowane, które tłumacząc i wcielając niedoskonałe, zawsze zbyt w jedną stronę pochylamy, ze szkodą całości.

Ideał, to dzieło energii Michała-Anioła, linii wdzięcznych Rafaela, wyrazu Piesole, kolorytu Tycyana, żywotności Rubensa, wdzięku Gnidów i Albanów: ideał, to nadziemską doskonałość wiążącą w sobie wszystkie ziemskie doskonałości niekompletne, ułonne.

Oddać sprawiedliwość, pojąć, ocenić każdego z wielkich twórców arcydzieł: oto nad czém Jan siłił się naprzód nim zasiadł do pracy. Błądził po galeryach i muzeach, godziny całenni siedział u posągów i obrazów aby z nich myśli twórcy przeczytać. Im mniej sympatyczném było dla niego arcydzieło, tém usilniej starał się zjednoczyć w niém z myślą artysty. W ten sposób dopełniał braki w swój organizacyi, rozwijał w sobie zamarte w zarodzie siły. Po długich godzinach wpatrywania się w dzieło, świeża z niego zakryta wprzód myśl powolnie, aż otoczyła pierwój mglisty twór, blaski swemi. Jaśniał mu on; czytał jego znaczenie, jego dzielność pojmował; pochylał głowę, czuł w duszy iż mu nowy zmysł przybył, nowe uczucie w sercu. Słowo jednój zagadki, rozwiązywało krocie drugich.

Tak spłynęły pierwsze dni pobytu w Rzymie, pierwsze tygodnie całe, na próżniaczéj powiedziałbyś może wędrówce, która przecież chwilą w życiu Jana ważną i dla rozwoju duszy jego stanowczą była. Artyści jak Jan zdaleka, z Francyi, Niemiec, Hollandyi, Anglii i innych stron świata przybyli do Rzymu dla nauki, poglądali na tego obcego przybysza z podziwieniem i szyderstwem. Była to chwila najfałszywszych pojęć o sztuce: młodzież biegła malować, nie myśleć, i uczyć się do Rzymu; łapała piękne lub tylko uderzające wzory po ulicach, myśli do obrazów, widoki ruin tysiąc kroć rysowane, ścisłała piękne Rzymianki, szalała w Cafe Greco, weseliła się chwilą swobody, chwilą młodości; ale nie głęboko wtajemniczala się w zamknięte dla niej sztuk tajemniki. Sztuka była piękną linią, pojmowaną najdziwniej, poziomo i bez zapału; sceptycyzm może XVIII wieku obnażył ją z uroków, osuszył, i materią, powierzchwnie daną do naśladowania, ograniczył.

Myśl uciekla z tego nagiego szkieletu, któren napróżno silono się ożywić sztucznie, ubarwić, upstrzyć i uczynić wdzięcznym dla oka.

Jan poważny, zamyślony, często ze łzą w oku, częściej

jakby nieprzytomny, tak głęboko zadumany i zwinięty w sobie, stał się pośmiewiskiem młodych artystów towarzyszków, z którymi pracował pod przewodnictwem Landi'ego.

Znalazł i tu przecież kogoś co sympatycznie uczuł się w początku pociągnięty ku niemu. Młody Annibal Cipriani, ubogi przybysz z Wenecyi, który napoiwszy się dziełami kolorytu w ojczyźnie Bellinich, Palmów, Tycjanów, i Tintoretów, szedł do Rzymu szukając tu linii i wyrazu, rysunku i umyśli; — pierwszy ku niemu dłoń wyciągnął. Spotykali się razem w pracowni Landi'ego, którego byli uczniami. Annibal choć Włoch nie miał chytrą włości włoskiej, szyderstwa im właściwego, próżności jaką oni mają; serdeczny, zbyt może czuły i uciążliwy, z czczością w sercu, bo pozbawiony był tego uczucia religijnego, które jeden lud jeszcze w tym kraju zachowuje; — rzucił się na wszystko, ku wszystkim, gdziekolwiek domyślał się pokarmu dla serca. Szukał on napróżno przyjaciela w tłumie i po innych zwrócił się do Jana. Jan dotąd miał wielkie i szczere uczucie religijne; Annibal który więcej czytał, zakosztował XVIII wieku owoców, pozbawiony był wiary, świat i życie nie miało dla niego tajemnic. Ze łąką w oku nad nędzą ludzkości, pod pozorem litowania się nad nią, powtarzał zdania pseudo-filozofów, dowodząc, że wiara jest zasłoną umyślnie przed światem wyciągniętą, aby z ciemności korzystać, by ludzkość ślepą pozostała na wieki i na wieki związaną.

Annibal tém niebezpieczniejszy był dla Jana, że szlachetny w duszy, nie szydził prawie ale się oburzał, że zdawał się mówić za ludzkością, za postępem; za wszystkiemi wielkiemi, dobrými i szlachetnymi. W początku wielkie zdumienie opanowało Jana, gdy pierwsze jego słowa wyrzeczone w zapale posłyszał: załękł się, osłupiał; potem z ciekawością ucha nadstawił, aż wreszcie, nieznacznie przyjął zarazę nie wiedząc o tém. Wyższość umysłowa i wykształcenie naukowe Annibala, który jako artysta był mierny i mały, ale jako człowiek myśli szybkością pojęcia, obeznaniem z wie-

łością przedmiotów i zagadnień górował nad Janem — ułatwiła nawrócenie. Jan czuł się małym w jego przytomności, choć w istocie daleko był potężniejszym. Co serce mu dyktowało na zbiecie słów Annibala, tego nie umiał i nie śmiał wyrazić, bojąc się okazać nienkiem. Słuchał więc. oburzał się, milczał i pił zarazę.

O! tysiąc razy powtórzym — wszystko jest zaraźliwe na świecie, cnota i występki, myśli. przekonania, sądy.

Myśl rodzi myśl z siebie, a wszczepiona na drugiej miesza się z nią i pośrednie wydaje płody, które dorastając ojcowską lub macierzyńską przybierają fizyognomią. Tak u Jana wszczepił się sceptycyzm na uczuciu religijném i wyszły z niego myśli płowe, barw niepewnych, już wiodące do obojętności, do niedowiarstwa. Nie przyjmując z równą jak Annibal gwałtownością wszystkich jakie przeciw religii wyprowadzał zarzutów, nie powtarzając obelg, zobojętniał przecie i zastygło powoli dawniej tak silne religijne uczucie. Świat w pierwszych chwilach tego przebudzenia zdał mu się nagi, zimny, pusty i straszny: za nim widział tylko śmierć. zgniliznę, zapomnienie. nicość.

Na nieszczęście z innych względów Annibal był dla niego drogim darem: przewodnikiem, tłumaczem, pomocnikiem, przyjacielem. Prędko poznajomieni, połączeni ściśle, już się nie rozdzielili.

Włoch potrzebował się wylać i znajdował duszę naiwną. otwartą dla siebie, w którą rzucał coraz gwałtowniej wzbierające myśli i uczucia; Jan miał towarzysza i przyjaciela. a wyrzec się go młodemu, jednemu wśród obcych tak trudno! tak trudno!! Często po dniu rozmowy, gdy dziwne nowości sceptycyzmu. tak rozczarowujące, tak ostre, tak zimne wbiły się weń; Jan spędzał noc w gorączce i niepojętych dla siebie zgryzotach sumienia. Czuł że źle robił. a rozbierając czynności, złego się w nich dopatrzeć nie mógł.

Prawdy mniemane, prawdy wyższe, których Apostołem był Annibal, powoli zasiane wschodziły w nim i rozgałęziały

się w duszy. Ciemnota! niewola! przesady! powtarzał cicho w sobie poglądając na duchownych, na religijne obrzędy — kiedyż ludzkość otrząśnie się z tego?

Biedna ludzkość! biedni ludzie! A ani razu nie rzekł nikt w sobie, nie spytał się siebie: kto dał to światło za pomocą którego walczone teraz przeciwko wierze? kto zniszczył niewolę poganizmu? kto uznał braćmi świat cały, kto wyrzekł jedno prawo do nieśmiertelności dla całego świata, jedną nagrodę za cnoty, jedną za występki kary? Teraz odrodne dzieci obracają się przeciwko matce. Nie pytają się i nie odpowiadają sobie: chrześcijaństwo, wiara nowa. Zdawało się naówczas wszystkiemu, że naturalny rozum, długo spowity, nagle rozwiązał pieluchy i roztoczył samoistne swe błyszczące promienie; że jemu ludzkość winna była wszelkie światło. Czemuż jednak ani boski Plato, ani żaden z filozofów starożytności pełnych owego naturalnego rozumu, przed chwilą wielkiej ofiary nie wyrzekli wielkiego słowa — bliźni ani razu; czemu Miłość, Ofiara, te najwyższe tajemnice chrześcijaństwa, nieznane były przedtem nikomu, czemu płac dobrem za złe, przebaczyć, nikt nie wyrzekł wprzód; czemu duch nie podniósł się nigdy do wysokości, na której dopiero od 1800 lat stanął? A świat tak stary! tak stary!

Myśli te nie mogły przyjść Janowi; jego przyjaciel Anibal wielkimi wyrazami ludzkości, swobód, oświaty, i najlepszej chęci pełnego serca, z gorliwością młodzieńczą i zapalem przekonania szczerego, silnie działał na człowieka dotąd nietkniętego z tej strony, niemającego mocy na oparcie się pozornie potężnym rozmowaniom.

W doktrynie XVII wieku, którą wiek XIX przedłuża, strona wielka i piękna, strona jej słabiej i prawdziwa, jest niezaprzeczoną. Każdy system ludzki, najfałszywszy nawet i najzgubniejszy, na jakiśś myśli wielkiej się opiera, inaczej nikogoby sobie nie zjednał. Nowość niedostateczną jest jeszcze ponęta. Tak też i filozoficzno-socyalne doktryny przeszłego i teraźniejszego wieku, niosą przed sobą chorągiew

jasną, promienistą; lecz z zasad najpiękniejszych błędą we wnioskach i szerokich zastosowaniach, w utopiach prześlicznych zapewne, w marzeniach dusz prawych i szlachetnych; niemniej jednak w utopiach i marzeniach, w niepraktycznych teoriach. Na dnie najfałszywszej nauki jest jakaś prawda co ję życie daje, co ją złości i podnosi. Fałsz rzadko jest w pierwszych zasadach, najczęściej w rozwinieniu i zastosowaniach szukać go potrzeba. Na lep zasad lgną umysły płytkie z sercami pocziwenni, a gdy się opatrzą gdzie zaszły, powracać już nie czas.

I filozofia dawniejsza i nowa, szły w imię ludzkości, walczyły o braterstwo, oświatę, o wywrócenie zgubnych przesądów; lecz zaszły od tych pobudek szlachetnych do pomysłów, których skutków nie wyrachowały, których praktycznego zastosowania przewidzieć nie mogły, zaszły do pojęcia człowieka za warunkami jego bytu, za szrankami jego natury. Chciały i chcą przerobić ludzkość na idealną, nie wiedząc, że śmierć ję może gotują. Po gwałtowném lekarstwie ciężko odchorować innsi świat cały. Lecz wróćmy do Jana; przebaczenie minowohy następ.

Jan mieszkał już z Annibalem, i nie rozłączał się z nim. Włoch postrzegł ze zdumieniem, że ten obcy, którego tak niższym od siebie sądził, jako artysta daleko lepiej i wznioślej widział rzeczy od niego. Uczył się więc z kolei od Jana, nie bez wewnętrznego upokorzenia, nagradzając sobie swoje niższość artysty wyższością oświeconego człowieka i filozofa, jak naówczas zwano. Ale Jan skutkiem ciągłego towarzystwa Annibala w dziełach sztuki powoli tracił sposobność czytania ducha i myśli. Annibal widział w nich tylko koloryt, kształty, zręczny układ, efekt ogółu, światło, nagości, draperye; — twórczej duszy, niewidomj myśli co ożywia to wszystko, spaja, porusza, tchnie życie, niedomyślał się. Materyalizm artystyczny Annibala nie mało wpłynął na Jana; poczał i on coraz wyżej cenić piękne karnacye, cndne kształty ciała, mięsistość torsów, ntoczenie rąk, morbi-

dezz'ę, więcej nawet niż łyż w oczach Nioby, niż wyraz boleści żywej w oczach Laokona. Sztuka dla Annibala całkiem była cielesną. Jan jej już tak materialnie widzieć nie mógł, lecz zobojetniał dla duchowej jej części. W widzeniu Ezechjela (Rafael'a) naprzykład, Annibal tylko kompozycją czterech zwierząt Apokalipsy, układ i swobodę lotu przez przestrzenie wynosił; Jan zadumywał się jeszcze nad znaczeniem obrazka, nie śmiejąc już przyznać, że myśl jego leciała za Zbawicielem w nieskończoności przestrzenie.

Lecz któż opisie kiedy historią duszy i myśli człowieka, tak aby wszystkie odcienia zmian w nich zachodzących wystąpiły jasno na jaw? kto potrafi rozedrzeć łono swoje, aby z niego jak pelikan wytoczył krew najtajniejszych ran, najskrytszych boleści?

Jan zmieniał się, obojeźtniał, i w stolicy chrześcijaństwa stawał nieznacznie poganinem; lecz zawsze pierwsze młodości wrażenia wiosenne, niezgluzowane nieczém, żyły w nim jeszcze tajemnic, przychowane na dzień jak zeschłe pierwszej miłości pamiątki. To co mu się gwałtownie narzucało pod szatą błyszczącą postępu, pukając do serca w inieję bolejącej ludzkości, pokrywało tylko warstwą popiołów głąb duszy, ale nigdy nie wyrugowało ze wszystkiém, co na dzień jej rośło.

Rozerwany, w niepewności, jednego dnia po staremu się modląc, drugiego oburzając znowu przeciwko przesądom z Annibalem, Jan był w tym stanie pośrednim, niepewnym, który dla wielu słabych ludzi całego życia jest męczarnią. Dwie prawdy błyskały z kolei w jego oczach, a wybrać nieumiał między niemi, a nie wiedział, która jest jedyną prawdą, prawdą matką.

Nauka tymczasem szła powolnie, a na niej także wypiętnowała się historia wewnętrznej walki. Jan uczył się więcej materialnych sztuki warunków, niżeli jej ducha. Annibal wmówił mu, że się do Rzymu przyjeżdża jedynie aby podkraść się w tajemnice kompozycji linii i światła mistrzów

wielkich, aby studyować naturę; nie żeby szukać sposobów wydania myśli. uczucia i napełnienia tworów swych — duszą.

W Sądzie Ostatecznym Michała-Anioła, kolosalnej kar- cie najpotężniejszego z malarzy, widzieli tylko dziwną potęgę rysunku, osobliwych złamań torsy, muskulatury, skrócenia smiałe, w sławnej Dyspucie, piękne starców oblicza i układ wyborny. w komunii świętego Hieronima wdzięk i zręczność kompozycyi i t. p. Annibal zniżał Jana do swych poziomych myśli, nie był jednak Jan bez jakiegoś wewnętrznego niepo- koju zawsze zwiastującego człowiekowi, gdy się cofa lub zniża.

Malowali razem u Landi. Jan nabywał mechanicznej wprawy szybko i zastanawiająco. z ucznia przechodził na mi- strza. Kilka jego robót wychwalanych przez nauczyciela, wynoszonych przez Annibala, ściągnęły nań nareszcie uwagę i innych współbraci artystów, którzy zapoznali się z nim, przyjęli go uściskaniem dłoni do swojego grona i uznali bratem.

Towarzystwo różnorodne, liczniejsze, oderwało go od wpływn ustawicznego Wenecyanina. W tym czasie Jan od- malował kilka swoich własnych kompozycyi na wielką skalę; między innemi Venus i Adonisa do których mu dwa najpię- kniejsze wzory Rzymu służyły. Annibal odciągnął go od za- miaru malowania męczeństwa świętego Pawła, które przed- siębrał. do którego nawet rozpoczął studia; przekonywając że sceny podobne nie są przedmiotem dla sztuki! Biedny Jan w początku walczył, nareszcie usłuchał. Jak gdyby sztuka miała się ograniczać jednym tylko wdziękiem, jednym tylko dla oka samogó powabem.

Dla Włocha ciało, nagość. nroczne linie i koloryt świe- tny, stanowiły całe malarstwo; expresya wedle niego psuła linie a nie tworzyła; unikał też jój jak starzy poganie, któ- rych cudowne kształtami posągi, z jednym pospolitym uśmie- chem lub obojętném skrzywieniem wszystkie się nam przed-

stawiają. Już konający Gladyator jest jakby przeczuciem sztuki chrześcijańskiej, sztuki myśli i wyrazu, sztuki ducha.

Dotąd pomimo towarzystwa w którym zostawał. Jan był czystych obyczajów i czystych myśli, a chociaż nieraz burzyła się w nim krew młodzieńcza, zapal artystyczny, duchowy ją ochładzał. Wspomnienie też Jagusi, wstrzymywało go i strzegło jak anioł opiekuńczy. Często takie wspomnienie, w głowach łoża przez Anioła stróża trzymane, jest tarczą przeciwko brudnym namiętnościom. Lecz jak, we Włoszech, artyście, otoczonemu pokusami, kiedy mu najpiękniejsze kobiety Rzymu za wzór Wenery godzinami służą, wytrwać niepokalanym, wynieść czystym? Jak w tęsknych wieczorach gdy tysiąc myśli wiedzie za rękę tysiące żądz, młodemu, z całą ciekawością młodości ku rozkoszy ciągnionemu nie dać się nwieść szepcącej do ucha Włoszce: — Ja cię kocham — ja kocham ciebie!?

Rzadki pewnie, ktoby w młodości kochał jedną nie wszystkie kobiety, coby kochał kobiety, a nie miłość samą. A miłość cielesna i duszna tak są z sobą związane, tak często poczyną druga, a kończy podstawując się pierwsza. Dwie te miłości, dwie siostry rodzone: jedna powietrzna, idealna, smętna ze łzawcem wejrzeniem i westchnieniem, wznieścioną piersią, druga gorąca, wesół, uśmiechająca się, drażniąca, niedbała o jutro i na jutro niepamiętna. A podobne do siebie (choć odmienne) jak dwie siostry rodzone. Annibal, który cały żył kobietą i rozkoszą, bo wiara żadna nie dawała mu przyszłości, a myśl występku nie była hamulcem, szydził z prostoty dziewiczej Jana. On już kilka łatwych kochanek przekołysał na kolanach i porzucił bez żalu, Jan jeszcze żył myślą dawniej czystej miłości dzieciństwa.

Czarno-łose i czarno-okie Włoszki spoglądały na Jana ciekawie, obojętność jego, układ dziwny, zdumiewały ich i drażniły. Nieraz czarne oko Angioliny, ostatniój z kochanek Annibala, którą porzucił co miesiąc, i co miesiąc się z nią godził, spoczęło w źrenicy Jana z pytaniem: — Nie jestem

dość piękna? Nie raz w wesołej igraszce, gorące usta spo-
czyły długo, zjadale lejąc truciznę żądz w krew Jana i mó-
wić się zdając. któż ci da więcej rozkoszy nademnie? Nie
raz objęła go drażniąc Annibala i przytuliła się do niego
Angiolina, aż biedny młody artysta drżał, bladł i na chwilę
czuł się obłąkanym, wytrwał jednak długo, długo, wierny
wspomnieniom swoim.

Lecz wewnątrz niego tlał już ogień, a oczy Angioliny
go rozdmuchiwały codziennie. Mieszkając z Annibalem wi-
dywał ją codziennie. pędzili wieczory, noce letnie na rozmowie
i śpiewach, był nie raz świadkiem całego dramatu cielesnej
żądzy, namiętności, nasycenia, obrzydzenia, obojętności,
świadkiem tych odpływów i przypływów passyi zwierzęcej,
co jak morze zalewa brzegi i cofa się od nich ze wstrętem.

Miłość duchowa nie zna podobnych. równie gwałto-
wnych zmian i ostateczności. ona jest zawsze jedną. dopóki
czystą. Cieleśna musi mieć charakter cielesny, znikomy,
przychodzi potężna, rozkwita jasno i wędnieje i znów wzra-
sta i znów upada.

Angiolina, dla której Jan był niepojętą zagadką, może
dla tego tak uparcie po każdej kłótni powracała do Anni-
bala, że chciała nareszcie rozwiązać pytanie:

— Co to za kamień-człowiek? Dla czego tak młody
a tak zimny? Jestem tak szpetną, tak nieponętną, nie po-
żadaną? czy on tak dziwnie zastygły?

Zwierzciadło i ludzie nienastannie powtarzali jej, że była
bardzo piękną. Angiolina bowiem powszechnie za najcudniej-
szą Venus całego Rzymu uważana była; nigdy Rubens nie
wymarzył takiej wspaniałości ciała w takich kształtach uro-
czych, takiej karnacyi złocistej nigdy nie odmalował Tycyan;
dwoje równie jasnych, czarnych oczów nie świeciły może od
wieków nad Tybrem. Oczy Angioliny, mijając inne wdzięki,
były może najpotężniejszą jej bronią. Cała ciałem będąc;
namiętna ale bezmyślna, wyuczyła się jednak Włoszka nada-
wać swym oczom wyraz tak dziwny a tak coraz różny,

że mówiły więcej niż tysiące słów, niż najrozkoszniejsza muzyka.

Raz zмирnzone, łzą zwilżone, przygasłe, zdały się szeptać: kocham cię, kocham, umieram z miłości. Luby chodź do mnie, chodź do mnie!

To znowu jasne ogniste, otwarte, wołały: pragnę. palę się, gorję!

Czasem z jakimś błędnym marzeniem błąkały się niby nieprzytomne, a pełne wdzięku nieskreślonego, jakby patrzyły w inny świat, i nie widziały ziemi.

Czasem zwracały się prosto w niebo, szukając w niem zda się pociechy, ratunku w nieszczęściu, litości.

Czasem pływały w łzie srebrnej, miękkie a gorjące. wyrazem boleści chwytając za serce.

Czasem się śmiały bezwstydne, zalotne, płomiennie, szunderskie, rzucały wejrzenia ostre jak szpilety. kłny jak owe długie szpilki. któremi Angiolina upinała włosy.

Angiolina mogła mieć lat dwadzieścia, ale wyglądała na podziw świeżo: dziecię ulic mniej bało się czasu, słońca i wzruszeń: na wszystko było już zahartowane od młodości. Biała jej szyja osobliwszej form doskonałości, nieco ozłocona słońcem południa, nie miała tych młodo zielonawych tonów. barw chleba czerstwego, które wielu Włoszkom są właściwe i zdała się zdjęta z obrazu Tycjana, pokrytego złotą długich lat patiną. Piersi trochę wzniosłe i spore jak u Bachantek Rubensa, gładkie były jak marmur i jak marmur chłodne, chlubić się zdawały swemi kształty i mało co ukrywały pod rozwartą z niechcenia suknią. Ręce i nogi tylko dalekie były od idealnej doskonałości, ale niechodziły wszakże i nie raziły bezkształtem. Angiolina stroiła się jak Włoszka w kraśne gdyby cyganka płachty, ulubione dzieciom południa i wschodu, w złociste świecidełka, bursztyny, korale, łańcuchy; nawet z tém ładnie jej było.

Różnemi sposoby Angiolina próbowała Jana, to weselem, to rozpustą, to smutkiem, to rozpaczą udaną, to dra-

źniąc go wzrokiem. to jętrząc pocałunkiem: nie jednak nie pomagało.

Raz wieczorem; a był to wieczór tęskny, cichy. smutny; usiadła mu na kolanach (Annibala nie było); poczęła szeptać jak dziecię pieszczone. czystą ndawać i skromną, poczęła potém mileżąca policzek gorący przykładć do jego twarzy, obejmować go rękoma za szyję i.... zaplakała. Nie wiem co jćj te łzy wycisnęło. W szeptach cichych głos Angioliny był tak uroczy i dźwięczny! Jan usłyszał w nim jakby dalekie echo rozmowy z Jagusią, coś podobnego do głosu dziewczęcia swojego, i ucałował łzę oblane policzki. Poczwszy usta jego na swćj twarzy. Włoszka chwyciła go nawzajem, zjadając pocałunkami, przyciskając piersią wzdętą i marmurowemi ramiony: ale ten wyskok czułości szalonej zamiast oszalić Jana, rozbił nrok co ją otaczał. Wyrwał się i uciekł od uiej, Angiolina w gniewie szukała noża, aby go zabić, nie znalazła pod ręką, nadszedł Annibal. nazajutrz rozpoczęła znowu obłężenie.

Czemuż człowiek tak słaby? czemu tak dla niego łatwym niepowrotny upadek, którego płacze bezsilnemi łzami? Wkrótce Annibal śmiał się z upokorzonego Jana i zwyciężkić Angioliny, która chodziła w tryumfie jakby jćj kto koronę na głowę włożył. Wenecyanin poznał od razu co ją tak uszczęśliwiło, rozpromieniło i zrobiło dumną.

Pierwszy krok tylko łzami się opłaca, a rzadko pierwszy ostatnim.

Jednego wieczora siedzieli na schódkach używając chłodu, Annibal, Angiolina i Jan. Angiolina brząkała na gitarze śpiewając starą piosnkę w którćj amor felice grał wielką rolę, a każda strofa uim się kończyła nieznieniemie; twórca canzony zapewne piosnką chciał nagrodzić co niedostaje życiu.

Księżyc nad grodem Cezarów pływał srebrzysty na nieba głębinach. krociami gwiazd usypanych. Małeńkie dzw. nki klasztorne brzęczały jak komaty w oddaleniu, świerszcze

śpiewały pieśń swoją po skwaronym dniu letnim ciesząc się nocą chłodniejszą. Angiolina spartą miała głowę na ramię Annibala, jedną ręką obwinęła go za szyję, drugą ukradkiem podawał Janowi, a ten ją trzymał bez myśli i czucia, gdzieś daleko goniąc marzeniami, jak prawdziwe dziecię północy, tęskny chmuurnego nieba wychowanek, co zawsze ucieka od świata w mgliste krainy marzeń.

Annibal nucił przez zęby wyczoną od któregoś ze swych kochanek canzonę starą:

Peroch' amore no se po vedere.

Na schódkach dały się słyszeć chód i śmiechy, ale Włoszka nie cofnęła jednej, ani drugiej ręki, choć widziała nadchodzących. Byli to dwaj artyści. Niemcy, znajomi Annibala i Jana: Martin Grone i Jeremiasz Süssemann: dwa w swoim rodzaju typy.

Pierwszy z nich, Martin Grone, po swojemu pojmował tylko sztukę jako materiał do historyi postępów myślu ludzkiego i objawów jednej idei, coraz inaczej i pełniej się wyrażającej. Szukał zabytków starożytnych, śledził ich symbole, allegorye, myśli ukryte, a często nawet czytał hieroglify gdzie ich nie napisano. Czytał je powiedziawszy sobie wprzód, że tam być powinny, tak niemiecka postępuje uczoność. Archeolog więcćj jeszcze niż artysta, uganiał się po Rzymie za wszelkiego rodzaju starożytnościami, chcąc nimi, jak mówił, lepiej niż historyą pisaną, wytłumaczyć starożytne wieki, ich obyczaje, ich ducha. Miewał on nie raz szczęśliwe pomysły, a jakkolwiek wyłącznie i jednostajnie plastycznym ntworom nadawał większą niż należało i jedyną ważność, wiele przecie dla sztuki razem i historyi uczynił. Z jego notat późniój wydane zostały dzieła sławne w Niemczech, które choć imienia jego nie noszą, jemu początek swój winny. Grone był poważny, suchy, sztywny, i cały zajęty myślą, która mu jeść i spać nie dawała: wytłumaczyć Rzym i dawną cywilizacyą ich pomnikami, oto co zamierzał. Dla niego poczynające się naówczas Muzeum Katakumb

i Muzeum Neapolitańskie z Herkulanum i Pompei dobytých zabytków. były najrozkoszniejszych dumań przedmiotem. Rozczulał się nad rondelkiem, płakał nad lampą lupanaru i przysięgał, że trójnog całą w sobie zawierał historią poganizmu. Owe trzy nogi szerególniej były dlań pełne znaczenia!

Jeremiasz Süsselman, malarz czuły i słodki jak nazwisko, które nosił. robił obrazki z Idylli Gesnerowskich z wielkim wdziękiem. Dla niego ten wdźwięk, przyjemność kolorytu, wyraz słodczy, zawierał całą sztukę. Po za tém była już exageracya i obłąkanie. Poddać się oczom, wydrzeć westchnienie z piersi, nie więcej nie zamierzał: nie chciał ani głęboko wzruszyć, ani kazać myśleć. Z długimi włosy, jasnymi niebieskimi oczy, bez wielkiego wyrazu, Jeremiasz był pocziwy chłopak, a choć protestant, nie sceptyk, nie racjonalista, nie szyderca. Owszem pobożny i czuły, najlepsze w nim serce kryło się pod pozorem flegmy, oziębłości; a często oko szkliste i zimne pozornie zwilżało się łzą, której źródło on znał tylko. Jan kochał go i sympatyzował z nim; Annibal śmiał się z niego, ale go oceniał. Zbliżały ich niektóre prawdy, na które filozof i protestant godzili się, przeciwnie katolicyznowi.

Angiolina podniosła trochę głowy z ranienia Wenecyana, spojrzała i cicho szepnęła: Jeremi i Martin!

— A! witajcież, zawołał Annibal powstając ze schodów nagle i wyciągając dłoń. Jak się macie? gdzie idziecie? przerwaliście Janowi Inianą przedzę jego, którą obwija, nie wiem przeszłość, terażniejszość czy przyszłość. Dumał jak muł (przepraszani) gdyście przyszli.

Jan uśmiechnął się trochę złośliwie i podał dłoń Jeremiaszowi. Jak się macie? jak się macie?

Po co pytać? któż chorym może być w Rzymie? odparł poważnie Martin. Myśl daje tu siły, zajęcie, zdrowie. nie ma czasu słabnąć i chorować. Lecz do rzeczy, słuchajcie! chcecie jutro być z nami?

— Gdzie jutro? spytał Annibal, czy na jakiej villi,

czy przejażdżce w okolicy. czy może w jakimś starém zwalisku pod którego ruiną Martin odgrzebie myśl zaspaną od lat tysiąca i kartkę dziejom wydartą?

— W wielkiem zjawisku — kolebce, w Katakumbach. odrzekł Martin. Dość już pogańskiego świata, chcę zbadać tę nić co łączy dwie sztuki, dwa światy, dwie oddzielne historye. Pójdźcie z nami do Katakumb? Nie możecie nie być ciekawi! Był tam kto z was? Anglik Sir Artur Cromby, jego siostra, ja, Jeremiasz, idziemy jutro zwiedzić podziemia.

— Kolebkę przesądów i niewoli umysłowej, podchwycił Annibal.

— Nie, kolebkę ducha! poważnie odparł Niemiec.

— Groby męczenników! dorzucił Jeremiasz.

— Straszne pieczary! żegnając się szeptała Angiolina, mówią że w wielu z nich kryją się bandyci.

Jan jeden zniłczał.

— Idę, rzekł po chwili namysłu, dawno tam być pragnąłem, a dotąd nie miałem sposobności; wdzięczem wam jestem żeście o mnie nie zapomnieli.

— A więc jutro rano, zbieramy się u Paola Pansy, w kawiarni na rogu. Paolo nam sprowadza dobrego i umiętłego Cicerone, Angliacy wiozą swojemu powozami na miejsce. Będzie nas sześciu i weselęj.

A ty nie idź mój Nibalu, zawołała pieszcząc się z nim Angiolina, po co tobie? To cmentarz, pieczara, straszne, ciemne! zostaniesz ze mną, można się zabłąkać, można zginać, nie idź. Mówiąc to, tuliła się do Annibala a patrzyła w oczy Janowi. Weneccyanin rozśmiał się z proźnych strachów Carity i obiecał na jutro.

Nazajutrz u Paolo Pansy zastali już Anglików i dwóch artystów niemieckich. Anglik Sir Artur był oryginał jak prawie wszyscy jego współziomkowie, których mamy szczęście widzieć na stałym lądzie; lecz oryginalność jego zależała na tém, że chciał uchodzić za człowieka co się potrafi za-

stósować do wszystkich krajów i towarzystw; co umie wcie-
lić się wszędzie. Jedném słowem: Anglik był oryginał,
tém, że udawał wcale nieoryginalnego, a w głębi był nim
przecie.

Z artystami artysta, uczony z uczonymi, z ludem człek
prosty i przesądny, z filozofami sceptyk, Anglik z Anglikami,
Włoch z Włochami, Sir Artur Cromby stawil się na ozna-
czoną godzinę w kawiarni wierny swemu słowu. Ubrany
był za Transteveranina, ale z fizyognomią tak widocznie wy-
wiezioną z West-End. że wzbudzał tylko śmiech patrzących
na niego. Miał minę karnawałową. Błady, bardzo pociągłej
twarzy, dość niezręcznych ruchów, białawych włosów, długich
rąk i laskowatych nóg, typu zupełnie normandzkiego, Sir
Cromby przebrany za Włocha. wyglądał potwórnie, pocie-
sznie. cudacznie. Uprzejmy i grzeczny aż do zbytku dla
tego, że powszechnie obwiniają Anglików o dumę i ruba-
szność, ścisnął za ręce artystów; całował się z niemi i fra-
ternizował aż do przesady. Udawał popularnego i wesołego
towarzysza, choć go to męczyło i wiele kosztowało.

Ale potrzeba go było widzieć w towarzystwie różnoro-
dném: gdy zmuszony kilku osobom podobać się, do wszy-
stkich zastosowywać, z kolei najróżnorodniejsze miny i po-
stacie przybierał, najrozmaitszą odzywał się mową, zawsze
dosyć pociesznie. Sir Cromby pewien był, że ma talent
niepospolity jednoczenia się z tém co go otacza; ludzie co
z téj myśli jego korzystać umieli i za słabość podchwycić,
byli mu najulubieńsi. Od lat pięciu, bezwstydný jakiś Fran-
cuz bijąc w to, żył z jego kieszeni, całą za nim niemal
obiegłszy Europę

Dla dania sobie placu do popisu podróżował całe pra-
wie życie, w każdym kraju usiłując się stać jakby krajow-
cem: wyuczał się języka, którego wymawianie z angielska
przekręcał, uczył się obyczajów i do nich święcie stósował,
ale po większej części brał je nie z życia żywego, lecz z książ-
zek, to też pociesznie wyglądały niekiedy!

Słowem, był to jeden z najdziwniejszych może znanych oryginałów, a przy swych białych włosach, przeciągłej twarzy, w krasnym stroju Zatybrza n z sztyletem u pasa, zawiniętym na ramiona płaszczu, karykatura wyborna! Na widok jego Jan i Annibal, ledwie się od śmiechu powstrzymać mogli. Anglik powitawszy ich po bratersku, poufale, zamaszysto, dyalektem włoskim wymawianym po angielsku, którego zrozumieć nie potrafili; począł kląć na opóźnienie jakieś i wysypał cały słownik przekleństw i polajani miejscowych.

Lecz uwagę nowo przybyłych odwróciła na siebie wkrótce siostra Sir Cromby, Miss Rosa: postać jeśli nie dziwniejsza od pierwszej to przynajmniej w oryginalności jęj nieustępująca. Była to śliczna córa północy; biała, niebiesko-oka, wysmukła, lekka, powietrzna, na której widok serce Janowi wspomnieniem gorącym kraju uderzyło wrnszone. Twarze podobne Miss Rosie, tylko się na obrazach widują; tak była idealną, tak mroczną, tak piękną. Opisać wdzięk tego zjawiska, wdzięk nie w każdym z pojedynczych rysów a w ogóle tylko i zbiorze ich będący, nie można piórem, nie można! Miss Rosa biała była jak alabaster, złotowłosa, z wielkimi głębokiego lazuru oczyma, zbudowana jak Sylfy: skrzydeł tylko zda się brakło jęj aby nlecić z ziemi, a gdy się poruszała, myślałeś, że się zerwie i zniknie jak ptaszek. Ręka biała miała kształt arystokratyczny, a paluszki jęj cienko i zagięto kończące się, pozór artystycznego utworu nieco manierowanego snycerskiej roboty, nie żywych rąk ludzkich. Nóżka, kibić, szyja, ramiona, odjęte rzekłbyś z obrazu starego jakiegoś aniolowi, Aniola z Fiesole.

Lecz ubiór, wyraz oblicza, postawa, sprzeczały się dziwnie z rysami aniola i spojrzeniem anielskiem. Miss Rosa Cromby była ubrana na wpół po męzku: z chusteczką na szyi, w amazonce, w sznurowanych bucikach, w popielatym kapelusiku z piórem, z teką pod pachą, wyraz jęj oczów był pełen słodczy, usta uśmiechały się szydersko i złośliwie. Zdziwili się niepomalu artyści gdy ich powitała po an-

gielsku dając im rękę do uściśnienia, żartobliwym śmiechem przez któren poglądały białe ząbki, poczynając znajomość.

— Miss Cronby, rzekł prezentując brat.

Siadajmy i jedźmy do Katakumb, dodała Rosa zbliżając się do Jana, którego twarz widocznie ją szczególnie uderzyła od pierwszej chwili. Wy panie ze mną? Wszakżeście malarzem, artystą? spytała szybko.

— Tak jest.

— Zkąd? z północy pewnie? z Niemiec może!

— Z Polski.

— A! zawołała Rosa, bądźmy przyjaciółni. Polska to ojczyzna Sobieskiego??

Anglicy, jak wiele innych narodów, w ową epokę znali, za bohaterów naszych, tylko jednego co heroiczny błąd popełnił, ratując nieprzyjaciela; — Teraz im przybył Kościuszko.

Nim stanęli u wnijscia najdawniejszego podziemia na cmentarzu świętego Kalixa, przy kościele świętego Sebastjana, Jan miał się czas przekonać, że kobieta z którą w towarzystwie Martina Grone jechał, dziwniejszą jeszcze była niż mu się z razu wydała. Jój mężki strój, postawa i ruchy niczém były w porównaniu z mężkim aż do zbytku umysłem, który angielska filozofia materjalizmu przekręciła w naj-sceptyczniejszy sposób. Angielka, duszą artystka, cała żyła sztuką, oddawna nie oddalała się już z klasycznej ziemi włoskiej, czas swój dzieląc i godziny zupełnie swobodne między malowanie a czytanie dzieł co ją postawiły na najwyższym szczeblu niewiary. Wierzyła tylko w terażniejszość, w życie; przypuszczała coś nakształt duszy, ale oburzała się zarówno na tak zwane przesady religijne i przesąd nieśmiertelności po zgonie. Z wielu innymi dawniejszych i nowszych czasów marzycielami, wołała przypuszczać metempsychozę. — Żyć, nżyć, zapłakać, pokochać, umrzeć mówiła do Jana: z żywością kobiety, której pilno pokazać swe myśli, — a potem, zostać zapomnianym i drugim miejsca ustąpić. A może

może. odrodzić się robaczkiem. muszką. lub jeszcze człowiekiem. Jan osłupiały ją słuchał.

— Czytałeś pan Spinozę? spytała go po chwili.

— Nie, odparł Jan, ja jestem z kraju pobożności i wiary, z kraju katolicyzmu starego; ledwie tutaj spotkałem się z wątpliwością, sceptycyzmem i filozofią; tu dopiero oswoiłem się z niemi. A szczerze lękam się ich. krwawią mi serce.

— Tak, dodała Miss Rosa, kiedy ślepcinu zdejmując kataraktę, boli go także, on się także lęka; lecz później oswaja się za światłem i cieszy niemi.

Jan westchnął.

— Pani, rzekł — wyzuć się nieśmiertelności, rzec przyszłości, rzec nieba i nadziei nie łatwo.

— Człowiek jest śmiertelny. ludzkość nieśmiertelna, człowiek żyje w ludzkości zawsze. Wreszcie nie przemawiaj do pana stara idea metempsychozy?

Jan potrząsł głową, zamilkł znowu, lecz Rosa w milczeniu strzelała ku niemu oczyma, mówiła do niego spojrzeniem. Pomimo wstrętu i podziwu jaki w nim wzbudzała, Jan nie mógł się na nią napatrzyć, oderwać od niej. Jakaś dziwna sympatya łagodna dwojga dzieci północy spotykających się pod gorących Włoch niebem, łączyła ich dwoje.

Wysiedli z powozu, a gdy się przed niemi otwarły drzwi starych podziemiów podkopujących Rzym pogański, Grone jako antykwaryusz pospieszył naprzód ze swą erudycją. Umieściwszy się w pośrodku grupy, której ostatnie ogniwo stanowiła Miss Rosa i Jan, nie dał nikomu westchnąć, spojrzeć ani wyrzec słowa, póki nie wyrzucił z siebie, co nabierał przez dni kilka cytata i wiadomości.

— Katakumby, rzekł poważnie, albo raczej Kata tumbę jak je zwano początkowo. bo pierwszy Grzegorz święty użył wyrazu katakomby, mówiąc właśnie o tych, które zwiedzamy, nie są wcale dziełem chrześcian.

— Jakto? przerwał Anglik, dziełem pierwszych chrześcian, niezawodnie!

Przewodnik Cicerone w którego atrybucyę wdzierał się Grone, pokiwał z nienkontentowaniem głową i szepnął: Heretyk! — splunawszy ze wzgardą.

— Tak, nie są początkowie dziełem chrześcian całe, powtórzył Grone. Były to karjery z których dobywano puzzolane i tuf wulkaniczny do budowli. Zwano je arenariae. Cycero pisze o nich w mowach, mówiąc o Asiniusie.

— Tyś sam taki, szepnął zniecierpliwiony Annibal. Ja nie pojmuję, dodał głośno, co téż tu ciekawego? Labirynt kilku piętrowy ciasnych przejść, pułki i szufladki na grobowce, popsute i złego stylu sarkofagi, malowania pozacierane i brzydkie. —

— A myśl? a wspomnienie łez, męczarni, ofiar pierwszych bohaterów krzyża? zapalczywie podchwycił Anglik, broniąc miejscowości wedle swojego zwyczaju, i wcielając się w otaczające.

— Arenariae, ciągnął dalej poważnie Grone idąc ciasnym korytarzem, którego sklepienie to się zniżało, to podwyższało, a boki z kolei rozszerzały i zwężały nierówno; wspomina także Swetoniusz w Neronie o nich, powiadając że Faon radził cesarzowi schronić się in specum Egestae arenariae. Witruwiusz tymże wyrazem je oznacza. Pierwsi chrześcianie....

— Pierwsze ofiary! zawołała Miss Rosa, ofiary które za sobą tyle innych ofiar przesądu pociągnęły.

— Ofiary, machinalnie powtarzał archeolog, niezmiészany bynajmniej ciągle przerywaną rozmową. Zwano także katakumby latomiae, coemeteria, areae, cryptae. Tertullian i Hieronym temi wyrazy je oznaczają.

— A! co nam tam do twego Tertulliana i Hieronima, przerwał znowu Annibal, ot patrzaj lepiej z nami jeśliś ciekawy, a nie bałamuć nas.

— Katakumby, posłuchajcie, ciągnął dalej flegmaty-

cznie Niemiec, rozsuwały się w różnych kierunkach dokoła Rzymu. Te które zwiedzamy, uważają się za najstarsze. Ciągłą się one pod drogą Appijską i cmentarzem świętego Kalixa. Katakumby świętych Saturnina i Thrasona u Porta Salaria, świętych Marcellina i Piotra za Porta Maggiore, są także bardzo stare.

— Stare! spodziewam się, że stare, rzekł ruszając ramionami Anglik, nieznosny gaduło Niemcze. Nim powiesz o ich wieku i nazwaniu, złóż wprzód łzę u wnijsia. To schronienie świętych, to pierwsze kościoły wiary co świat odrodziła, tu uciekający od krwawych wyroków Numeriana, Maximina, co im nawet wstępu do katakumb broniły, mogli użyć w ciemnościach chwili spokoju i chwili modlitwy.

— Bracie szalejesz! przerwała Rosa, to byli biedni zaślepiący.

— To byli święci! rzekł zginając się przewodnik.

— To były wielkie dusze bohaterów chrześcijaństwa, wyjął Jan z uczuciem.

— Twórcy owej sieci co zagarnęła świat cały, uśmiechając się z politowaniem dokończył Annibal.

Wśród téj dziwacznie sprzeczącej się rozmowy, szli wszyscy za przewodnikiem w światła uzbrojeni, korytarzami które się ciągną pod Appijską drogą. Co chwila najmniej ciekawych coś uderzało, a Niemiec, który się był przygotował na lekcję i czytał dobrze Bosio, Boldetiego i Bottari, tłumaczył natychmiast na cokolwiek natrafiali. W owym czasie więcej jeszcze pamiątek, później do muzeum Watykańskiego przeniesionych, znajdowało się w Kryptach. Korytarze nicforemne, ciasne przejścia, wschodki niezgrabne, maleńkie bazyliki, studnie i cysterny do chrztów, ozdoby sklepień, symbola, napisy; w jednych szyderstwa, w drugich ciekawości, w innych uniesienia oznaki wywoływały. Jan silnie był poruszony widokiem téj kolebki chrześcijaństwa, gdzie ubodzy i biedni naukę nową dla świata, oblaną krwią męczenników pielęgnowali, gdzie spoczęły kości ofiar co chętnie

szyły na stosy, na pożarcie, na męczarnie, na śmierć Jak wielką, jak silną wówczas była wiara! myślał w duszy.

Niemiec tymczasem chwycił się pierwszej zrzeczności, aby paplać i objaśniać — Ta izba, mówił podchwytyjąc aby go kto nie uprzedził, była kaplicą — kościołem: te wyżłobienia w jej ścianach są to locula, z obu stron na grobowce przygotowane, w pośrodku to głównego męczennika: memoria, confessio, martyrum, testimonium, titulus. Wiara jak widzicie, opiera się na ofercie, świadczyła się krwią wylaną, na grobach pierwsze niekrwawe składała ofiary. Jak Chrystus za wszystkich, tak wszyscy za wszystkich poświęcić się powinni. Ofiara, miłość, głównymi są zasadami nauki chrześcijańskiej, całym jej symbolem.

— Dla czegoż to tak przekręcono? tak na złe umiano obrócić? zapytał Annibał.

— Tak! dla czego, powtórzyła za nim Angielka, dla czego co kruszyło więzy, więzami się stało, co świeciło gasi światło?

— Deklamacye czcze! pogardliwie odpowiedział Grone, słuchajcie lepiej.

— Będzie nam bez końca tłumaczył, rzekł Anglik, a my czuć, my się wcielać, my sercem pojmować chcemy.

— Jam tylko poprostu ciekawa, szepnęła Rosa i zaanowała się u jednego z przedstawień Jonasza, jakich pełne są katakumby.

— Jonasz! zobaczywszy to zawołał zaraz Niemiec. A wie pani co znaczy Jonasz? symbol, myth, allegorya. Nowi nawróceni chrześcijanie widzieli w Jonaszu, i nie bez przyczyny może, to co poganie w mycie Herkulesa, pochłoniętego przez wieloryba i po trzech dniach wyrzuconego przezeń. Są i greckie wazy z tego rodzaju przedstawieniami. Jonasz także krewni się z Jazonem połknionym przez smoka i wyswobodzonym z gardła jego. Mythy są wieczne, a odkrycie ich znaczenia.....

— Do was należy! rzekł łagodnie uśmiechając się z ukłonem Süssemann.

— Tak! rzekł naiwnie Niemiec, pewna jest, że to do mnie należy. Znajdziecie tu nie tylko Herkulesa, dołożył, ale i Orfensza, którego pierwsi chrześcijanie wzięli za emblemat misyi Chrystusa na ziemi. Ten Chrystus Pastor Bonus, to także postać, którą sztuka chrześcijańska wzięła od pogan i swym zwyczajem zastosowała do siebie. Kalamis był twórcą tego typu w starożytności. Jest to Merkury Kriophoros.

— Bredzisz kochany Grone, rzekł Anglik idąc dalej.

Przewodnik pluł i oczy wywraçał słuchając tego. Korzystając z chwili milczenia, które zdumiony nieco apostrofą zachował Niemiec, Anglik podchwycił, cały przejęty sytuacją, z oczyma dziwnie rozplómiętionemi:

— Wystawcie sobie owe wielkie, tajemne uroczystości, owe zgromadzenia wiernych i ofiary i uczty i braterski pocałunek tych, którzy wkrótce paść mieli pod katowskim mieczem. Co za obrazy! Jak wielkie i święte obrazy!

— Ten, to dobry katolik, mruknął przewodnik, Antonio, ale ten drugi tedesco diavolo, eretico.

Wtém Niemiec przyszedłszy nieco do siebie nie dał rozczulonemu dokończyć, bo go erudycja dusiła i zmuszony był rzucić ją z siebie.

— Zgromadzenia, zaczął krzyczeć szybko, zgromadzenia owe zwały się agapes, ἀγάπαι od ἀγάπη, charitas, miłość; były to zgromadzenia braci w Chrystusie. Miewały miejsce z różnych powodów, z okoliczności poświęceń, pogrzebów, urodzin, a ztąd zwały się connubiales, dedicatariae, funerales, natalitiae. Agapy nareście potępione jako zabobon pogański przez świętego Ambrożego, wkrótce zarzucone zostały. Oto dodał, malowanie jedno wyobrażające obchód tego rodzaju, ucztę z kilku tylko osób złożoną.

— Co za mizerna bazgranina! jakie linie! jakie twarze poczarne, rzekł Annibal zbliżając się.

— Okryłbym złotem ten kawałek ściany, gdyby mi go dla British Museum sprzedano, zawołał z uniesieniem Sir Artur.

— Proszę nie ruszać, rzekł żywo Antonio.

— Ten stół okrągły to cibilla, — na nim, uparty kończył Grone, — widzicie potrawy. Sługa trzyma w ręku szklanę do picia, cyathus. Oto chleby z wyciętymi na nich krzyżami (quedra), oto jaja symbol expiacji u starożytnych.

Tak szli ciągle dalej a dalej wśród tłumaczeń Niemca, uniesień Anglika, ironii Annibala, rozczenia milczącego Süssemanna i cichój rozmowy Jana z Miss Rosą Cromby. Ona go rozpytywała, on odpowiadał ale roztargniony, widokiem miejsca przejęty, pół słówkami. Ze wszystkich najmniej uważała Miss Rosa na to co ją otaczało: wspomnienia owych czasów tak żywe, tak dotykające, ani ją rozczulały, ani unosiły; dusiła się w ciasnych korytarzach, poglądała na niezgrabne malowania, śmiała się z Noego, który w arce małeńkiej, jak w pudełeczku, do wpół zanurknięty wyglądał i t p

Niemiec tymczasem porównywał Abrahama, Mojżę za, Jonasza i Daniela, do Perseusza, Bellereфона, Herkulesa i Thezeusza, prawil o nieśmiertelności symbolu, o jego znaczeniu, o symbolach słońca, wołu, jelenia u źródła, pawia na kuli stojącego i innych przedstawieniach, które się spotykają w Katakumbach. Tak przeszli znaczną część krypt, a Angielka nie zważając na zaostrzoną ciekawość towarzyszy swoich, poczęła się napierać do powrotu.

— Powietrze to dusić mnie zaczyna, rzekła, pomimo otworów.

— Forameu, szepnął Niemiec odwracając się

— Niedosć-że macie jeszcze tych jednostajnych przejść, schowane, grobów i ołtarzy? A! wracajmy już proszę!

Naprawdę uniesiony Sir Artur, chciał od świętego Se-

bastyna i Katakumb drogi Appijskiej, udać się zaraz do innych i dalej ciągnąć badania, które Niemiec ofiarował się wspierać swą erudycją; spóźniało się, Antonio przewodnik znużył i gniewał, że nie miał co tłumaczyć, Miss Rosa niecierpliwiła: trzeba było powracać, pośpieszali więc ku wnijściu za przewodnikiem: Jan smutny, Miss Cromby zamyślona, Sir Artur zawsze w extazach, Süssemann milczący ze łąką w oku; Annibal uczepiwszy się za rękę Antonia przewodnika prawił mu koncepta filozoficzne tłumaczone z francuzkiego, bawiąc się oburzeniem Włocha i lajaniem jego.

Głone szeptał wciąż pod nosem wyrazy jakiegoś niezrozumiałe.

Część dnia spędzona w Katakumbach, a raczej przypadkowe poznanie Anglika i jego siostry, większy wpływ wywarło na Jana, jego życie, wyobrażenia, może na przyszłość, niżeliby przewidywać było można. Tak często drobny na pozór wypadek, farbuję długą lat przestrzeń.

Rozstając się po przebyciu Appijskiej drogi, Anglik uściskał za rękę Jana, a Rosa chwyciwszy dłoń jego, długo ją wstrzymując i wpatrując w oczy rumieniącemu młodzieńcowi, szybko wysypała tysiąc grzeczności i złoconych słówek: zapraszała go aby ich odwiedził i usilnie żądała bliższego poznania, ściślejszych stósuńków. Annibal widząc to, świszcząc poszedł przodem, gdy Jan wstrzymany i nagłony, musiał wreszcie dać słowo Rosie, że ją odwiedzi, że częściej widywać się będą. Angielka dała mu bilet z adresem, a na rozstaniu rzekła — pamiętajże pan! pamiętaj! Tyle naszego co w tém życiu. Gdy w nióm spotkamy twarz i serce naszemu pokrewne, miłe, czemuż od nich odbiegać, czemu się do nich nie zbliżyć? czemu nie spróbować szczęścia?

— Brat tak się bawił swoim włoskim ubiorem i sztyletem, że końca rozmowy nie słyszał, a może nie chciał ję słyszeć. Jan milczący, zamyślony powrócił z Annibalem do cichęj izdebki gdzie zastali Angiolinę na łóżku leżącą i uśpioną z gitarą w ręku. Włoch ją przebudził brząknięciem po stró-

nach. Zerwała się żywo i poskakując ku obu razem, zawołała: A! wróciliście Bogu dzięki! i cali! nic się wam nie stało! Chwała Matce Bożej, ale już drugi raz szczęścia nie probujcie. Mówią, że tam łatwo zabłąkać się i zginąć można.

W kilka dni potem przypomniawszy sobie obietnicę, Jan musiał pójść do pałacu, który Anglik zajmował na Corso. Dwie zupełnie oddzielne jego części były mieszkaniem brata i siostry. Sir Artur tegoż ranka wyjechał był do Neapolu w celu zbadania życia Lazaronów i rybaków. Czekają go już najęte mieszkania w Castellamare, w Sorrento i samej stolicy. Miss Rosa Cromby była sama jedna.

Ona ze służącą tylko zajmowała obszerny, ale opuszczony choć dawniej wspaniały apartament. Dwóch murzynów przebranych po orientalnemu obsługiwało jęj; reszta liczego dość dworu i służby mieściła się na dole i nie była widzialna. Ogromna sala i gabinet do nięj przytykający pełne były kwiatów, dywanów, posągów, obrazów dość smakownie porozstawianych i porozwieszanych dokoła. Przepyśne naczynia marmurowe napełniały świeże i wonne pęki kwiatów, okna zasłaniały firanki pół przezroczyste; posadzkę wszędzie zwyczajem angielskim wyłożono dywanami. Miss Rosa na szezlongu leżała z książką. Czytała jedno z upodobanych dzieł Russa. Przed nią na trójnogu stał poczęty obrazek, na ziemi leżała paleta i porozrzucane pęzle.

— A! jak się masz! zawołała zrywając się — jak się masz artysto. Czekałam na ciebie i gdyby nie resztką wstydu kobiecego, głupiego wstydu którego pozbyć się nie umiem, byłabym cię pierwsza odwiedziła, tak byłam niecierpliwa.

Jan podziękował w milczeniu, nie umiał odpowiedzieć.

— Wiesz co, dodała śmiała Angielka, jestem Lawaterystka, rysy twojęj twarzy podobają mi się; chcę koniecznie bliżęj się poznać z tobą, chcę cię pokochać jak brata. Siadaj.

Przyjęcie, sposób powitania, mowa, ruchy prześlicznęj

Miss Rosy były tak dziwne i niepojęte dla Jana, który nigdy nic podobnego nie widział, nie wyobrażał nawet sobie; że miał się za uśpionego i marzącego dziwacznie. Dotknięcie białej ręki przywołało go do świata i uczucia życia: łza zakręciła mu się w oku. Ona go po mężku ścisnęła za rękę, i wskazywała na krzesło.

— A Sir Artur? spytał Jan nie wiedząc od czego porządkować rozmowę.

— Pojechał dziś do Neapolu, odpowiedziała śmiejąc się. Nie mów mi o nim, to dziwny szaleniec, dziwnie lekki człowiek! Serce dobre, ale głowa słaba. Cały w extazie, wszystko uwielbia a nic nie pojmuję. Ale szczęśliwy może, a to najważniejsza. Szczęście! rzekła z westchnieniem, szczęście zagadka życia, tysiąc razy zdaje się bliska rozwiązania i — wiecznie nieodgadniona!

— Szczęście, rzekł Jan pytając, wszakże to cisza w duszy, spokój bez żądz, zadowolenie pragnień i długi byt bez zmiany.

— Gdzież ono? gdzie ono? przerwała Miss Rosa. Nie! nie! nic podobnego nie ma na świecie. To szczęście stare, ideał niedościgniony; a ludzkie prawdziwe szczęście, to suknia arlekiina, złociste i czarne łachmany pozszywane razem; życie jakim jest: boleść z nadzieją, nadzieja i rozkosz w cierpieniu, ciągły ruch, ciągła walka, ciągła czynność. To szczęście nasze. Innego nie ma! dodała, nie ma! nie ma!

— Takiego ja szczęściem nie nazwę.

— Boś ty jedną z tych organizacyi szczęśliwych a biednych, co wiecznie łudzić się muszą i tęsknić za spokojem, nie mogąc go dostąpić. Powiedz mi, kochałeś ty?

To pytanie w różowych ustach Miss Cromby miało coś przykrego. Jan się zarumienił jak dziewczę i odpowiedział z bolesnym zająkaniem: Któż nie kochał?

— Kto? ja! ja! smutnie odpowiedziała Rosa. Możnaż to nazwać miłością, cośmy oboje zapewne doznali, chłodne jakieś uczucie, chwilowe, przemijające. Ciepły wietrzyk wio-

senny wiejący przez serce młodocianne? Ja inaczej wyobrażam sobie to uczucie, które sprawia, że zapominamy i nie znamy świata prócz w sobie, że w sobie mamy wszystko: przyszłość, niebo, Boga, a, to się wysłowić nie daje.

Zarumieniła się, spuściła twarz w dłoń białą i zamysliła. — Takbyś kochała, rzekła żywo, gdybym kochała kiedy.

— I szczęśliwy kogobyś Miss kochała, boby pewnie wart był tego, powiedział Jan zniższy i niespełna przytomny.

— Alboż koniecznie kochamy kto wart tego? Alboż my wiemy co miłość? Nie kochamy ani piękności, ani cnoty może ani przyniotów, ani nic z tego co się daje pojąć, określić, kochamy coś niepochwyconego, nieokreślonego, tajemniczego, kochamy to co kochamy, nie wiedząc dla czego; ciągnie nas siła fatalna. Ich liebe dich weil ich dich liebe, powiedział jakiś poeta. . . Serce uderzy raz, drugi, idziemy za nim; widzimy, że nas wiedzie ciemnymi drogami i nad przepaście prowadzi; cóż po tym, nie umiemy, nie możemy mu się oprzeć.

— Alboż nie można oprzeć się sercu?

(Pytania i odpowiedzi Jana tak były chłodne i pospolite, że wszelki inny nie Miss Rosa, byłby ostrygł słuchając ich; ona się coraz ożywiała).

— Tak! kto go niema! zawołała dumnie błyskając okiem. Ale po cóż ta rozmowa? Myśmy w zdaniach i wyobrażeniach daleko od siebie; uczuciem może bliżsi jesteśmy niż myślą. Ty wierzysz we wszystko, tyś dziecię jeszcze, ja! w nic!

O! omyliłam się, pochwyciła zrywając się z siedzenia i podając Janowi rękę, wierzę w sztukę i wierzę w miłość, wierzę: w przeznaczenie i fatalność.

— Jest to wiara tych, co inną nie mają

— Spokojnam z nią dosyć i inną nie żądam. Choć, zobacz obrazy moje i roboty.

Miss Cromby powiodła naprzód Jana przed stare płótna, które świeżo zakupiła była na licytacji po kardynale R... potem do swoich własnych robót. W tych wiele było ognia, zapалу, ale część mechaniczna słaba i nieumiejętna.

— Pokazuję ci moje, po tamtych, rzekła, aby ci się gorzej wydały, abyś je osądził surowiej, powiedz mi o nich prawdę: kocham szczerość, naprowadzisz mnie na drogę, będę ci wdzięczna.

Jan tak zagadniony, chwalił co było godne pochwały, lecz nie ukrywał co widział słabem. Rosa ścisnęła go za rękę: — Dobrze rozumiesz sztukę, a jeszcze lepiej obowiązki przyjaźni. Bo nieprawdaż, że jesteśmy przyjaciółmi od dzisiaj? A ty moim nauczycielem?

— Sam dotąd jestem uczniem.

— O! to nic nie szkodzi! uczym się do śmierci. Będziemy więc, nieprawdaż, uczyli się we dwoje? Podaj mi rękę, Janie, zgoda?

— A teraz, dodając siadając, chciałabym poznać cię lepiej, powiedz mi swoją przeszłość.

Zagadniony tak porywczo i niespodzianie, Jan chciał się od wyznań wymówić, chciał tę spowiedź nagłą odłożyć, ale Miss Rosa miała szczególny dar ośniewania, rozognienia człowieka najzinniejszego, przywiedzenia go ku czemu chciała. Wymogła więc nie ustępując, że Jan opisał jój szczegółowiec przeszłe swoje życie, a zeznanie to szczere nie jedną tajemną łzę go kosztowało. Kilka razy w ciągu opowiadania przerwała mu pytaniem, użaleniem, uściskiem ręki, a gdy skończył, z zapalem i uniesieniem zawołała:

— Jesteś dziecicę ludu i dziecicę natury! podwójną teraz czuję ku tobie sympatyą. Czém jesteś, winienesz tylko sobie. Szczery, szlachetny! otwarty! o! proszę cię, bądźmy przyjaciółmi. Ty mnie malarstwa, ja ciebie tego com sama z książek zaczerpnęła, nauki świata i życia, uczyć będę. Tyś ślepy jeszcze mój bracie.

— A teraz chodźmy do ciebie, chcę cię nawzajem odwiedzić. Mówią, że Lavater poznaje ludzi z pisma, ja uczę się ich z mieszkania. Chcę widzieć twoje.

— Miss Cromby, ja mieszkam daleko, i dodał, nie sam jeden.

— Jakto? z kimże? z kobietą może? spytała lekko się runieniąc.

— Nie, z Włochem Annibalem malarzem, który wczoraj był także z nami.

— Wiem! ten co mi potakiwał nieustannie. Nie lubię potakujących.

— Myśli jak wy!

— Tém lepiej dla niego. Chcę widzieć roboty wasze, chodźmy, bez wymówki.

— Pieszo?

— Czemuż nie? Chodzę wiele i szybko; podaj mi rękę. Zadzwoń!

— Lecz w ulicy, sami we dwoje.

— Właśnie negr mój Nero pójdzie za nami, a zresztą, co mi tam!

— Będą mówili....

— Niech mówią, i ja mówię o drugich, na zdrowie. — Chodźmy.

To rzekłszy chwyciła kapelusz popielaty z głowy posagu, wzięła laseczkę w rękę i zbiegła ze wschodów wołając Neroną. Neron ogromny, straszny negr rzucił się ich śladami. Ona ciągnąc za sobą Jana, śmiała, żywa, lekka i dumna, leciała ze swobodą niepojętą w kobiecie.

Nie postrzegli się jak stanęli u drzwi, przez które dawał się słyszeć brzęk gitary: Jan domyślił się po fałszach, że Angiolina grała.

— Pozwól pani, rzekł, pójdę naprzód, Annibal nie sam jeden.

— A! z kobietą zapewne?

— Zdaje mi się.

— Cóż nam to szkodzi! kto ona? model wasz? znam je wszystkie. Jój imię?

— Angiolina.

— Prześliczna! znam ją, to i moja Venus. Chodźiny! czegoż stoim? Cóż ona mi szkodzi? Annibal spał gdy weszli, Angiolina wyciągniona na ziemi na macie, oparta plecami o łóżko, grała z cicha na gitarze. Na widok Jana i Miss Cromby zerwała się żywo, zarmieniona i składając ręce spytała:

— A! Signora! wy tu co robicie?

— Widzisz Angiolino! przyszedłam zobaczyć roboty twoich dwóch malarzy; dwóch kochanków może?

— O! nie, Jan nie mój kochanek wcale, to kamień czy kawał lodu północny, to.... I skrzywiła się, ale w téj chwili z za drzwi czerniejąca twarz negra uderzyła ją, zapomniała o wszystkich i poczęła się w niego wpatrywać, łamiąc ręce i kiwając głową. A! jaki czarny! jaki czarny straszny heretyk! co za bestya okropna! a jak to ubrane! I wyszła na wpół złębiona, wpół rozdrażniona przypatrzeć mu się zblizka. Powiedzmy prawdę, zaczęła go bałamucić, aby się przekonać czy jest człowiekiem tak jak na Markizach dzikie niewiasty przed umarłym lubieżne przybierają postacie, by sprawdzić, że nie żyje. Annibal pochwycił się ze snu i powitał Miss Rosę. Ta zaledwie kiwnąwszy mu głową, poczęła oglądać roboty Jana. Zachwycona niemi unosiła się, chwaliła, przypatrywała i co chwila ścisnęła go z uczuciem za rękę.

Annibal trochę w miłości własnej obrażony, widząc że mu się ani cząsteczka pochwał nie dostaje, tak hojnie Janowi sypanych, usiadł w kącie zachmurzony. Nareszcie portret Angioliny w jój wdzięcznym narodowym stroju odmalowany dość szczęśliwie przez Włocha, zwrócił uwagę Miss Cromby; zażądała go kupić od Annibala.

— Nie jest do sprzedania, odparł zimno.

-- Moglibyście sobie zrobić drugi, wszak macie na zwołanie oryginał? sydersko rzekła Rosa

— Chcę mieć i kopią.

— Do woli. Adio! Wy ze mną, nie prawdaż? spytała obracając się do Jana, odprowadzicie mnie?

Opierać się było nie podobna, poszli razem. Angiolina długo jeszcze wyglądała niby za negrem, a może więcej za Janem. Za kim z dwóch? zagadka, może za obydwoima. Annibal położył się na łóżku z gitarą, ona przyszła po chwili oprzeć głowę na jego kolanach i śpiewała tak do późnej nocy, stare włoskie piosenki.

Jan tymczasem powracał z Miss Rosą do jej mieszkania, po drodze zastanawiali się razem u posągów i fontan, mówili o sztuce. Angielka umiała suchą i zinną teorię sceptycyzmu i materyalizmu z ogniem i zapałem wyklądać. Pod wpływem uroczych jej słówek, Jan czuł się silniej zachwiany w ciągu dnia jednego, niżeli długiemu obcowaniem z Annibalem.

Przekonania jego chwiały się, niepokój był w duszy. Kobieta jakby miała na sercu ku swój niewierze go nawrócić, o wszelkim przedmiocie w duchu swoim mówiła, wszędzie uniała wrzucić słówko znaczące, słówko co więzło w głowie słuchacza i rozwijało się później same w cichych dumania godzinach.

Nie ma nasienia coby łatwiej się przyjmowało nad sceptycyzm i niewiarę. Niszczyć daleko zawsze łatwiej niż tworzyć, trudniej nawracać niż wywracać. Nawrócenie jest dziełem natchnienia, wywrót robotą zimnej myśli. Natchnąć wiarę, cud tylko może, lada głupiec zachwiać nią w słabym potrafi, a potem nigdy już ona nie wróci.

Miss Rosa do późnego wieczora czytała Janowi, mówiła z nim i takie potrafiła wzbudzić zaufanie topiąc w nim niebieskie swe oczy, czarując niepojętym wdziękiem, że wyznał przed nią więcej niż przeszłe swe życie, bo stan terazniejszy duszy, walki z sobą, niepewność, pragnienie pozostania przy stariej wierze, którą miał za jedyną prawdę i jedyną szczęścia rękojmię.

Angielka śmiała się z niego jak z dziecka, śmiechem, wymową, opowiadaniem i maniacami wielkieni słowy filozofii, postępu, światła, zdeptania przesądów; oszalonego puściła nareszcie ściskając silnie za rękę i mówiąc mu na pożegnanie:

— Powrócisz jutro?

— Jutro, nie wiem, mam godziny nauki.

— Ja chcę, ja wymagam, przyjdiesz?

I Jan przyjść obiecał. Nazajutrz znowu zatrzymała go długo, a gdy się rozstawał: — Wiesz co, rzekła, mamy próżne mieszkanie. Sir Artur nie wróci tak prędko; każę ci malarnię urządzić u mnie, mieszkaj tutaj, to lepij będzie

— A ludzie?

— Zuów ludzie! co mi ludzie! rozsnuwała się.

— Lecz znaszże mnie dosyć?

— O! dziecię! Jakbyś cię znała od kolebki! Umiesz się zakryć? No? nieprawdaż, że zgoda? Twój Annibal z Angioliną to nudne towarzystwo, Anibal bazgracz, bez duszy artysty, Angiolina ładne zwierzątko. Zechcesz ję dla wzoru, przyjdzie i tutaj. A tak będziemy razem!

— Prawdziwie, nie śmiem, nie wiem.

— Wahasz się! biedny! a więc pomówiemy o tém jutro jeszcze, odezwała się żegnając go z uśmiechem. Bądź zdrów bracie. Chrześcianie zwali się braćmi w Chrystusie; myślny bracia przez sztukę i uczucia. Nie wiem co fatalnie ciągnie mnie ku tobie.

Jan słysząc te ostatnie wyrazy, które były prawie wyreczeniem się chrześcijaństwa, zasmuncił się odchodząc. Angielka zadziwiała go, pociągała ku sobie urokiem niewytłumaczonym, ale razem czuł jakieś politowanie nad nią, i jakby bolesne przecucie wiszącego nad nią uieszczęścia. Były chwile, w których jasne lazururowe oczy téj kobiety niepostrzeżenie nabierały wyrazu zdradzającego wewnętrzną ułękę, pokrytą pozorem tylko wesela i swobody.

Annibal i Angiolina byli w mieszkaniu, gdy Jan nad-

szedł. Jedli macaroni, których sobie przynieść kazali, i śmieli się do rozpuku. Obojgu ręce i policzki świeciły się od ciepłej oliwy, w których pływał przysmak ów włoski, ubarwiony sosem pomidorowym. Włoch zobaczywszy Jana nagle zamilkł i ukośne puścił nań spojrzenie. Na powitanie nie odpowiedział wedle zwyczaju i widocznie skrzywił się jakby zagniewany. Myśląc, że ten zły humor przejdzie, Jan zaczął coś mówić, ale mruczenie tylko odbierając miasto odpowiedzi, zamilkł także. Wieczorem o jakąś drobnostkę żywe wymówki począł Annibal robić Janowi; nazajutrz już się rozstawali.

O niewielkim zapasie, gdyż pensya królewska nie była wystarczająca i nieregularnie dochodziła, Jan musiał myśleć bardzo jak sobie nająć mieszkanie i utrzymać się, nie przypuszczając nawet aby Miss Rosa pod niebytność brata, chciała go u siebie unieścić. Lecz najniespodzianiej, Nero, dwóch tragarzy i służący Miss Cromby nadeszli po zabranie rzeczy Jana. Karteczka Rosy zapraszała go usilnie do przygotowanego mieszkania, pod pozorem lekcji, których od niego żądała. Nie bardzo mając czas nad tém co robił zastanowić się, Jan pozwolił zabrać obrazy i rzeczy. Annibal poglądał na to gniewnie i zazdrośnie, pożegnał go zimno i szydersko, odwrócił się pogardliwie i usiadł do roboty.

Przyszedłszy do hotelu Anglika, Jan nie zastał Miss Rosy, była na przechadzce w Villa Borghese; otworzono mu jego pokoje. Widocznie wybrane były jak dla malarza i wybornie oświetlone: jeden bardzo obszerny do pracy, drugi dla spoczynku chłodny, zacieniony i miły. Tu znalazł Jan małą biblioteczkę i naczynie z kwiatami na konsoli marmurowej: uderzyły go te przedmioty jako dowód troskliwości i pamięci Miss Cromby. Biblioteczka składała się z tych ksiąg chciwie naówczas czytanych, które gotowały wielkie burze świata w imię idei, postępu, ludzkości i światła; nowsi pisarze francuzcy i angielscy, kilka sławnych romansów, kilka ksiąg pseudo-filozoficznych zajmowały pułki.

Jan oczekując przybycia Miss Rosy, usiadł tymczasem czytać. W rękę mu wpadł Russo. Był tu cały zbiór pism jego, Heloizmu, Wyznania, Umowa społeczna, Listy. Pisarz ten zdawał zdawał się stworzony dla Jana, od pierwszych kart uczuł się pociągniętym ku niemu i chciwie go już pożerał; gdy niespodzianie otworzyły się drzwi i w ubraniu z przechadzki weszła Rosa.

— A! przecie! jużś tu bracie! zawołała, cieszę się, zobaczysz jak ci dobrze będzie.

Jan odpowiedział jój niewyraźnym podziękowaniem.

— Teraz, twoja godzina niewoli, godzina mojej lekcji, chodź do mnie

Poszli razem. Lekcje były wzajemne! Jan uczył malarstwa Angielkę, ona z całym zapalem nauczycielki co nigdy jeszcze nie miała ucznia, zasady szkoły filozoficznej któremi napojoną była, przelewała w niego. Wszystko co XVIII wiek wydobyl z prochu historii przeciwko wierze: uciski w jój imieniu dopelniane, inkwizycya, wojny, zabójstwa, zdrady, mordy przesuwaly się w obrazach żywo skreślonych przed oczyma Jana. A nauczycielka tak była natchniona! wyraz jój każdy tak gorąco z duszy wyrzeczony, tak mówiący i przenikliwy!

Nauka ta trwała długo, codziennie nauczycielka i uczeń, nauczyciel i uczennica stawali się sobie potrzebniejsi, miłsi, co dzień poufalsi z sobą. Już kronika gorsząca plotła dziwy o ich pożyciu; a jednak, jak zawsze prawie, w tych pozor-nych bardzo plotkach nie było prawdy. Rosa i Jan żyli z sobą jak brat z siostrą.

W jój sercu może od pierwszego wejrzenia obudziło się czulsze i gorętsze uczucie, usiłowało wyrobić wzajemność, ale dotąd napróżno. Jan patrzył z zachwyceniem na Miss Cromby, długie godziny wlepiął oczy w jój twarzyczkę tak uroczego wdzięku, ale w sercu nie czuł ku niej nic nad przyjaźń prawdziwą, nad spokojne przywiązanie brata. Żadna inna strona w nim nie zadrgała. Często wieczory całe pe-

dzili na długich samotnych przechadzkach, w których tylko zdala idący Nero im towarzyszył: często dnie całe przepędzili obok siebie, oko w oko, dłoń w dłoń, z całą szczerością młodości uczyć się swoich i myśli spowiadając. Ale Jan nie miał na sumieniu wielkiego grzechu miłości, z któregoby się choć mimowolnie wypowiadał Rosie. Czekala ona, czekała, serce jej biło, oczy płonęły lub łzą zachodziły, on pozostał jak był.

— To przyjdzie z czasem, mówiła sobie, to przyjdzie z czasem!

Ale czas nbiegał, a nic nie przychodziło; Jan kochał ją zawsze tylko jak siostrę, ona go już jak jedyną istotę na ziemi, z gwałtownością téj wyłącznej miłości, która się chwytła swego przedmiotu jak własności, która za nim, bez niego, nie widzi nic w świecie; — pustynię tylko. Miss Rosa kochała pierwszy raz w życiu. Długo, długo nikt tego uczucia nie potrafił w niej wzbudzić, tu jedno wejrzenie gdy go idąc do Katakumb spotkała, zrobiło wszystko. Dla tego Miss Cromby tak silnie przywiązała się do Jana, tak gwałtownie chciała go przyciągnąć ku sobie — obawiała się iż nigdy już więcej kochać nie potrafi. Względem urodzenia, nierówności stann, były dla niej przesądem, nie zważała na nie zresztą. Kochała. Miłość ta była już tak gwałtowną po kilku miesiącach pobytu razem, że jeden Jan uparcie w niej tylko szczerą przyjaźń mógł upatrzeć.

Dokola zaś powiadano głośno, że Miss Rosa była kochanką Jana, może nawet zaślubioną przez niego tajemnie. Annibal zazdrościł mu bogatego ożenienia!!! filozof! Jan tymczasem gorące objawienia czuć biorąc za właściwość charakteru Angielki, nie nie rozumiał, niczego domysleć się nie chciał.

Po kilku tygodniach próżnego usiłowania, nauczycielka stała się milczącą i smutną. Całe dnie przepędzała w milczeniu, oparta na kanapie lub przed trójnogiem z pędzlem w rękę a nie mogąc malować. Raz tak zastał ją Jan smu-

tnie zamyśloną i zbliżywszy się powoli, wziął za rękę, mówiąc po cichu:

— Miss Cromby, co to wam?

— Co mi jest? podnosząc łzawe oczy zawołała — Co mi jest? nie wiesz?

— Jakże mam wiedzieć? widzę tylko od niejakiego czasu: smutek, roztargnienie, zamyślenie, powodu nie wiem: powiedz mi go szczerze?

— Nie wiesz powodu! nie wiesz! powtórzyła smutnie. I nigdy go wiedzieć może nie będziesz, po co? dla czego? dodała jakby do siebie mówiąc.

— Spodziewam się że mi to powiesz! rzekł Jan, może potrafię cię pocieszyć, poradzić, może...

— Gdybyś chciał, a raczej gdybyś mógł?

— O chęci możesz wątpić? Lecz jestli w mojej to mocy?

— W twojej i nie w twojej! mógłbyś a nie możesz, o! nie pytaj Janie, nie pytaj, na co ci wiedzieć na co biedna twoja siostra choruje? Choroba nieuleczona, smutna, kończy się śmiercią. A śmierć, drogi mój bracie, to sen bez przebudzenia, to sen bez marzeń, mówi nasz Shakspeare, kto wie czy bez marzeń? kto wie sen to jaki?

I pierwszy raz pod panowaniem silnego nczucia Miss Rosa, za śmiercią i zniszczeniem cielesném, rzuciła to wielkie: *Pent être?* którego wprzód nie było dla niej. Wprzód widziała tam nieco, gdzie dziś bijące nczuciem serce, już jej jakieś wskazywało życie. Nigdy rozzum zimny nie zaprowadzi człowieka niewsparty nczuciem w te nieprzystępne krainy. Zawsze wodzem podróżnego serce. Wiara też nie w rozzumie ale w sercu, a w rękach ciekawego rozzumu ona się rozpada jak blaski tęczowe, gdy dziecię schwytać je pragnie.

-- Nie! dodała, to sen wieczysty, to zapomnienie, to zniszczenie i nic więcéj. I powstała od trójnoga rozrzucając wkoło siebie co trzymała w rękach. Padła na sofę i płakać poczęła.

— Miss Rosa, na Boga cię zaklinam, powiedz co to jest?

— Na Boga? powtórzyła z uśmiechem i straszne bluznierstwo z chorąg wyrwało się duszy. Jestże on tą istotą pełną dobroci której dzieci cierpią tyle? która patrzy nie wiem z kąd, patrzy i nie wyciągnie im ręki?

Jan osłupiał

— Cierpisz, rzekł, podzielmy to cierpienie, proszę, powiedz mi, powiedz je. Ty wiesz Miss Cromby, że cię Kocham jak brat, że dałbym życie dla ciebie.

— Tak, szepnęła Angielka po cichu, tylko jak brat! Na co mi twe życie? gdy nie mogę mieć serca! nie prosz, rzekła głośno, nie chciój wiedzieć tego, nie mi nie pomożesz, nie Janie; choroba to nieuleczona.

— Ulżyć jej przecie można?

— Nie! pogorszyć tylko!

— Droga Miss Cromby!

Ona spojrzała obłąkanym wzrokiem na niego: — Janie, rzekła, nie dopytuj się, na Boga, na tego Boga na któregoś mnie zaklinał!

— Tajemnica! Więc nie chcę jej wiedzieć.

— Nie mam dla ciebie tajemnic..

— Cóż więc takiego kryjesz?

Czoło dziewczyny pokryło się znów rumieńcem, westchnęła cicho, pomyślała, potem jak gdyby nagle myśl ją nderzyła.

— Słuchaj, rzekła, daj mi słowo, daj słowo uczciwego człowieka, a wiesz jak wysoko cenię godność ludzką, że cokolwiek się dowiesz odemnie, nie naszych stósunków nie zmieni.

— Możesz wątpić Miss Rosa? zawołał Jan, któremu myśl przebiegła po głowie, że ona kogoś kochać musi, że go posądza także o miłość ku sobie odpowiedzieć jej nie mogąc; zarumienił się, zatrząsł

— Jeśli kochasz kogoś, siostró, rzekł szybko, jeśli kochasz, czemuż mi powiedzieć nie możesz, myślisz że ja cię

także kocham tajemnie? nieprawdaż? Nie chciałabyś wyznaniem przywiązania dla kogo innego odepchnąć tego, któremu zostawiłaś tylko przyjaźń swoją? O Miss Rosa! jakże mnie nie znasz? Śmiałabym ja kochać ciebie, podnieść oczy tak wysoko? do tego domu do któregoś mnie ze szlachetnym zaufaniem wprowadziła, wejść z myślą zwodziciela, z podejściem? Zdradą opłacać przyjaźń! Ty myślisz to pewnie, lecz przysięgam ci, brat nie kocha cię więcej, nie kocha cię czyścić, nie kocha cię inaczej.

Te słowa wyrzeczone z zapalem porwawszy się z siedzenia wysłuchiwała Rosa i padła na nie, znowu zakrywając twarz rękoma. Wyznanie Jana uderzyło ją w serce.

— Co to jest? spytał po chwili, nie chcesz mi odpowiedzieć? gniewasz się? wątpisz.

Kobieta płakała.

— Na Boga. oszaleję. zawołał Jan, wytłumacz mi, zlituj się.

— I w tém nieszczęście moje, że rozumieć mnie nie możesz, płacząc i padając mu do nóg wyrzekła Angielka. Nie rozumiesz, że cię kocham, nie rozumiesz żeś mnie zabił; że chcę być twoją, żeś ty mi jeden na świecie, że bez ciebie jam ciało bez duszy, zginiona, umarła.

Jan słuchał i nie rozumiał, wlepił w nią oczy, zadrżał i rzucił się ku drzwiom. Rosa pobiegła za nim z gwałtownością niesłychaną, pochwyciła go za rękę, którą do bólu uściśnęła mu i żywo zawołała:

— Daleś mi słowo, że cokolwiek ci powiem, nie stósunków naszych nie zmieni. Daleś mi słowo, pamiętaj! Nie uciekaj bo umrę. Ja nie mój, nie uchodź, nie zostawij mnie samą. Nie nie chcę od ciebie, tylko żebyś ze mną pozostał. Zapomnij com mówiła, jeśli możesz; będę wesolą, będę spokojną, ale nie uchodź odemnie. Czego chcesz? uśmiechu? ztrzepania? śpiewu? udam uśmiech, roztrzepanie, zaśpiem, nawet spokojność odegram przed tobą, choć mi serce będzie, ale nie odchódz! Bo, dodała powołnie a mocą

największą, daję ci słowo kobiety i słowo człowieka, jeśli uciekniesz, umrę. Nie będę czekała śmierci i siedziała z założonemi rękoma, ale pójdę sama przeciwko nięj. Tak, umrę!

Po tój scenie poruszającej, Jan pozostał wprawdzie, ale ani wdzięki Rosy, ani nawet wyznanie nie obudziły w sercu jego uczucia, które nigdy na zawołanie nie przychodzi. Kochał ją jak brat. Rosa spodziewała się, że urodzi się miłość, czekała na nią, wyglądała, widziała czasem gdzie jęj nie było wcale, cieszyła się, to znów wpadała w zadumanie, milczenie i rozpaczliwą odrętwiałość.

— Gdybym wiedziała kogo on kocha, mówiła w duszy, poszłabym i zabiła ją. Ale on nikogo nie kocha, jakieś może wspomnienie... najniebezpieczniejsza z miłości, bo odczarować się nie może. Czekajmy, czas ją zwycięży.

Tak płynęły niesiące. Życie Jana nie zmieniło się; napróżno chciał kilkakroć usunąć się z domu tego i ukryć; nie mógł, nie puszczone go. Śpiegowany, otoczony slugami, kroku uczynić swobodnie nie potrafił. Brat Miss Rosy przybył z Neapolu, zastał gościa w domu, nie zadziwił się temu wcale, wstrząsnął go tylko silnie za rękę, opowiadał przez dwa wieczory o życiu rybaczem, które wiódł w golfie; a trzeciego odjechał do Sycylii, zostawując ich znowu samych.

Czy widział czy nie widział co się działo w domu, nie wiem. Cały teraz zajęty był ubraniem sycylijskiem i Sycylią, do której chciał już przybyć o ile możności Sycylijczykiem. Jan malował, czytał i rozczarowując się codzien książkami, które począ życia ścierały pod pozorem przesądów, doskonalił się w sztuce coraz bardziej. Landi uznał, że go nie mistrze nie nauczą więcęj, że sam sobie najlepszym być może. Ciągłe zapatrywanie się na arcydziela wyrobiło w nim smak, uczucie prawdziwego piękna i wtajemniczyło go w najtrudnięj nabywające się, językiem nigdy nieokreślone, arkana sztuki.

Miss Rosa już nie malowała wcale. Od pierwszej owęj

rozmowy, nie mówiła więc z Janem o miłości swój, stała się zimną na pozór, dumną, szyderską nawet czasem; ale w oczach to błyszczących ogniem, to płazących tajemnie, czytać było można uczucie tłumione. Siadała często na kości i latała po okolicy aż do umużenia, starała się o silnie wstrząsające wrażenia, szalała, zatapiała się w ulubionych książkach, ale na tę chorobę co ją trawiła, nigdzie, w niczym nie znalazła lekarstwa. Janowi zdawało się, że oddalenie być niém mogło jedynie, a chociaż Miss powtarzała mu często, że dał jej słowo pozostać, zamyslał usunąć się i pracował nad tém, aby ujść niepostrzeżony. Obrazy swoje przesłał powoli w różne miejsca pod różnemi pozorami i Angielka nie sprzeciwiała się temu; rzeczy nie miał prawie, i jednego wieczora niespostrzeżony zszedł ze wschodów z bijącym sercem i smutkiem w duszy; cierpienie zostawiał za sobą. Zdawało mu się, że nikt nie wie o jego zamiarze ucieczki, nikt go o nią nie posądza. Załedwie minął bramę pałacu, gdy z okna głos Rosy dał się słyszeć z cichem — Adio.

Podniósł głowę.

— Idziesz, rzekła łagodnie, idziesz bez powrotu, uciekasz odenmie! nie wstrzymuję cię więc. Bądź zdrów i szczęśliwszy odenmie.

Okno żywo się zauknęło.

Jan pozostawszy sam nie wiedział co miał czynić, powrócić czy uciekać?

— Al rzekł w sobie, żegna mnie spokojnie, zapomni i nie wstrzymuje, siła więc tej nieszczęsnej namiętności minęła już i wspomnienie czas zatrze. Spojrzał w okno, westchnął i odszedł.

Na odległej nlicze tydzień spędził zupełnie samotny, smutny nie wiedząc czemu, rozdrażniony, cierpiący. Zaczynał czuć rodzące się jakieś przywiązanie, którego wprzód nie miał; chciał ją widzieć, chciał ku niej powrócić, głowa mu się paliła, sny dzikie chodziły po niej, pytał się siebie sto razy na dzień: kochamże ją teraz? Może już kochał

ją biedny, ale silną wolą wstrzymywał się, by do niej nie wrócić. Tak kilka dni zeszyły, gdy wieczorem zastukano do jego izdebki.

Poznał głos Sir Artura i nim miał czas zaryglować się od niego, już Anglik wszedł z pudełkiem pod pachą, uklonił się i postawił je w milczeniu na stole, otarł pot z czoła, dobył papieru z kieszeni i podał go Janowi

Był to testament Miss Rosy.

— Co to jest? zakrzyczał Jan obłąkany.

— Co? ostatnia woła umarłej.

— Umarłej?

— Tak, utopiła się w Tybrze, dość zimno na pozór, rzekł Sir Artur.

— Kiedy?

— O! blisko tydzień już temu. Nie wiecie, per Baccho! nie wiecie! wy! a to pocieszenie! Cospetto! nie wiecie! przecież wam zapisała piękne dobra w starć merry England.

— Ona! mnie!

— A tak! czytajcie, siadając rzekł Sir Artur. Czytacie tylko; dowiedźcie się powoli wszystkiego. Cóż to za ciupka? mówił do siebie, jak trudno mi was wyszukać było!

Ale Jan pogrążony w boleści nieprzytomnej, która zdaje się na chwilę odbierać człowiekowi uczucie nawet jego osobistości i mąci wszystkie myśli, leżał na posłaniu zbladły, z zaciętymi usty, onidłał

Sir Artur dość niezręcznie zlał mu twarz zimną wodą i potrząsając go za rękę rzekł:

— Panie artyście! obudź się, lepić było nieco wprzód mieć trochę więcej uczucia. Mamy z sobą do pomówienia. Jan otworzył oczy, zawołał: Umarła dla mnie! i gorzko płakać począł.

— Tak, umarła dla was, zawsze na pozór zimno mówił Sir Artur, zapisując wam piękne majątności odziedziczone po matce i ciotce. To dobrze: ale kto mi za jęć śmierć od-

powie? Miałem jedną tylko siostrę i kochałem ją szczerze. Tak! kochałem ją choć po cichu i tajemnie, jak się kocha jadyną istotę co nas obchodzi na ziemi. Ona mnie wiązała z Anglią. Teraz nie mam nikogo. Jeden z nas musi paść, dodał wskazując na pudełko, będziemy się strzelać. Tak, strzelać się na śmierć.

Jan się wzdrygnął.

— Boisz się? spytał Anglik, musisz jednak bić się, powiedziałem ci. Strzelać się będziemy na grobie Rosy, którą kazałem pochować na cmentarzu świętego Kalixta, nad temi Katakumbami, które na nieszczęście nasze razem zwiedzaliśmy. Ażebyscie zaś nie myśleli, że was chcę zabić, abym wydarł spadek po siostrze...

— Spadek! majątek! gorzko rzekł Jan, możecież mówić nawet o tém, w téj chwili?

— Mogę mówić, bo bardzo cierpię i nie gram komedyi, dodał Anglik z flegmą. Jeśli was zabiję, to dobra rozdaję na szpitalę, zwrócę krewnym waćpana, jak zechcesz. Lub posłuchaj założę religijny jaki zakład wychowania; niewiara zabiła Rosę. Chrześcianka byłaby się modliła, płakała, zapomniała lub cierpiała z rezygnacją.

— Wolałbyś pan żeby cierpiała a żyła? cierpko rzekł Jan.

— Wolałbym, bo miałbym zawsze uleczenia jój nadzieję, pojechałbym z nią do Kairu, pod piramidy, do Indyi; nie ma bólu, któregooby czas i podróże nie uleczyły. Wierzcie mi, ale godziny leczę, a ja muszę was zabić jak najrychlej. A zatém, chodźmy.

— Dokąd?

— Na cmentarz świętego Kalixta, na grób Rosy.

— W nocy?

— Tém lepiej! strzelamy się na płaszczu, a bout portant, chybić nie można. Jeden z nas padnie. Ciągniemy losy o pistolety, jeden z nich tylko nabity.

Jan z zimną krwią poszedł za Anglikiem. chociaż zataczając się chwilami, łązy wielkie wzbierały i upadały mu

z powiek. Księżyc przyświecał idącym powoli, w milczeniu, starą drogą Appijską.

Na świeżej, gładkiej i zimnej płycie marmuru która pokrywała grobowiec biednej dziewczyny, Artur rozesłał swój płaszcz, ukląkł i pomodlił się naprzód. Jan już nie miał się modlić zapłakał, skrzyżował ręce, czekał. Anglik podał mu dwa pistolety Lazara do wyboru: chwycił jeden z nich Jan, stanęli przeciwko sobie, podali dłonie na znak przebaczenia i strzelali.

Artur upadł na wieko grobowe, a głowa jego, przez której usta krew się rzuciła, zatoczyła się zimna po za marmur, na zieloną murawę; chrapliwy głos konania dał się słyszeć, ucichło.

Nazajutrz tłum ludzi cisnął się na cmentarz świętego Kalixta, gdzie znaleziono trupa Anglika, który, jak powiadano, zastrzelił się z rozpaczy na grobie ukochanej siostry. Ręka jego skrzepla i skostniała cisnęła jeszcze pistolet wystrzelony. Wywleczono ciało biedaka za poświęcony obręb i pochowano gdzieś w ruinach bez żadnego obrzędu. Dwór tylko i ludzie Artura, którzy go niewymownie żałowali, towarzyszyli cichemu pogrzebowi.

Jan z gorączką wspomnień nieznośnych, wywłókł się z Rzymu, aby zwiedzić Włochy, przebiegł grody sławniejsze Italii, a dłużej niż w innych zamieszkał w ojczyźnie Batraniem, Florencyi.

Jako malarz zyskiwał on co chwila nowe siły, nowych dochodził tajemnic, nowych nabywał przymiotów; lecz jako człowiek utracił co miał najdroższego; wiarę, ze wszystkiém czém ona życie ozłaca. Ta nie czarodziejska co łączy duszę z niebem, zerwana była dla niego.

Obojętny, milczący, chłodny, machinalnie prawie szedł drogą, którą wprzód sobie wyznaczył.

Jedno wspomnienie matki sercem jego wzruszyło czasem, i to tylko wspomnienie rodziło tęsknotę za krajem,

gdzie nic więcej, nawet twarzyczka Jagusi zapomnianej, już go nie wabiła.

Na wygasłym popielisku miłość synowska stała jeszcze ostatnią świecąc iskierką.

Czasami zadumany tęsknił za domem, myślał o chatce gdzie nad kądzielą stara o nim myślała matka, w nieznany kraj za synem nie mogąc nawet puścić myśli. Czasem wyobrażał ją sobie chorą, w niedostatku, płaczącą nad synem, którego zobaczyć rozpaczala i porwany nieopisanym jakimś niepokojem, nagle z Florencyi puścił się do kraju. Podróż tę, pozbawiony zasilków, musiał odbyć powolnie i pieszo a z coraz wzrastającą niespokojnością. Niepokój ten równał się chorobie. Gdy stanął na granicy swój ziemi, pierwszy raz oddawna lżą zaszyły mu powieki, serce zabiło młodością. obejrzał i rozmierzył co utracił a co zyskał w podróży. Zyski nie nagradzały strat niepowetowanych: Jan nie mógł się już modlić.

Lecz ze wstąpieniem na ziemię rodzinną uczuł przynajmniej potrzebę modlitwy i wielkość swój straty.



7 2 8 2 2







Biblioteka Raczyńskich

JIK 353



JIK0353

~ 111
RA-576-27-1
SF1110
102-111
174